

DAVIES STRASZY, PARTIA TOLKIENA, MIŁOŚĆ MNIEJ FRANCUSKA

PRZE

Numer 14/2963 7 kwietnia 2002 r.

KRÓT

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**Zawód AMELIA:
AAAbsolutnie
uszcęśliwiam**

**Islam zarzuca sieć:
www.islamonline.net**



ISSN 0033-2488

14



Indeks 371424 • Y-9013-C

Licencja prawdę ci powie...

LICENCJE: KONIEC EKSTRAKLASY?

VIVA FUTBOL! ENCYKLOPEDIA MISTRZOSTW ŚWIATA 2002
nr 12
cena 4,90 zł
(zawiera VAT 8%)

TYLKO U NAS! OKUKA & LICZKA
„Tu każdy może wygrać z każdym. To dobre dla polskiej piłki, choć do jakości gry można mieć spore zastrzeżenia.”

FELIETONY
• SZCZEPLEK MADZIAR STAWIA NA POLAKA
• SMOKOWSKI & TWAROWSKI OLYMPIQUE LÓDŹ, JUVENTUS WRONKI
ZAGRANICZNI TRENERZY STOLECZNYCH KLUBÓW W WYJĄTKOWYM, PODWÓJNYM WYWIADZIE

UMIERZE • W NUMERZE • W NUMERZE • W NUMERZE • W NUMERZE
ACEK AK CIELI SZCZYĆ KARIERĘ
KAHN NIE MA SIĘ CO LUDZIĆ – MISTRZEM NIE BĘDZIEMY
SMOLAREK 1982: DLA MNIE TO BYŁO TYLKO TRZECIE MIEJSCE. POWINNIŚMY IŚĆ ZA CIOSEM!

AGRODAMI: SPRAWDŹ, CO WIESZ O BIAŁO-CZERWONYCH

Czy twoja drużyna zostanie w ekstraklasie? Od lipca będzie musiała mieć światła i dach na stadionie, a w kasie jawne finanse...

Wszystko o licencjach

w raporcie specjalnym

VIVA FUTBOL!

OPUS DEI – KOMANDOSI PAPIEŻA

Z zainteresowaniem sięgnęłam po artykuł Piotra Kowalczyka „Komandosi papieża” („P” 10/2959). To dobrze, że został podjęty temat ważny dla wielu osób ze względu na setną rocznicę urodzin Założyciela Opus Dei i zbliżającą się jego kanonizację. Jednak już od pierwszych słów tekst budzi podejrzenia, że autor nie starał się dotrzeć do obiektywnych informacji, a poprzestał jedynie na przedstawieniu plotek, pomówień i głosów wyraźnie wrogo nastawionych osób. (...)

Autor pisze: „Biografowie o zmianie nazwiska milczą”. Nic dziwnego, gdyż nic takiego nie miało miejsca. W Hiszpanii jest natomiast zwyczaj podawania także nazwiska rodzowego matki. Albas to nazwisko matki Założyciela, a jego nazwisko w pełnym brzmieniu brzmi Josemaría Escrivá de Balaguer y Albas. (...) W tekście jest też wiele nielogiczności. W jaki sposób ten „prymitywny hiszpański ksiądz”, w dodatku „niezrównoważony psychopata”, zdołał skończyć studia, obronić dwa doktoraty, opublikować wiele książek przetłumaczonych obecnie na większość języków świata? (...) W artykule niepokoi też maniera przedstawiania cytatów bez podawania odniesienia, skąd pochodzą. (...)

Od 10 lat jestem członkiem Opus Dei, mam własną rodzinę, męża, dzieci, żyję jednak tym samym duchem co moje koleżanki numerariuszki. Przez te lata zdążyłam bardzo dobrze poznać Opus Dei (...). Nikt nigdy nie „kontrolował” mojej korespondencji, nikt też nie „konstruował” dla mnie planu studiów i kariery zawodowej. Jedynie rady, jakie otrzymuję, dotyczą mojego życia duchowego (...). Ośrodek, w którym odbywa się większość spotkań formacyjnych i w którym stale mieszkają numerariuszki, nigdy nie był „domem zamkniętym”, wręcz przeciwnie, przychodzi tu tak wiele osób, że czasem trudno przeci-

śnić się przez korytarz. (...) Wbrew temu, co pisze autor, jest tu miejsce „zarówno dla profesora, jak i dla sprzątaczk”. Wbrew opinii o „niepomowanej żądzy władzy i pieniędzy”, o elitarności i wpływach, nigdy nie widziałam tam nikogo z pierwszych stron gazet. (...) Szkoda też, że autor nie przedstawił jakże licznych inicjatyw podejmowanych przez członków Opus Dei na rzecz ludzi biednych, pochodzących z trudnych środowisk, dotkniętych bezrobociem itp. Może wtedy znalazłoby się „miejsce dla opuszczonych, chorych i nieszczęśliwych”.

KATARZYNA DOBRZYŃSKA,
Miłanówek

OD AUTORA

Spieszę wyjaśnić, że ambicją mojego artykułu nie było sportretowanie Opus Dei ani tym bardziej zajmowanie stanowiska w sporach dotyczących organizacji. Chciałem przedstawić wątpliwości i zarzuty, które organizacji towarzyszą od lat. Jak sądzę, przy odrobinie dobrej woli i obiektywizmu czy choćby uważnej lekturze można było zauważyć, że cytując zarzuty, starałem się równocześnie pisać o tym, jak członkowie Opus Dei je odpierają, lub miejscami samemu wskazać, na jak wątych podstawach te zarzuty się opierają. Co więcej, niemal wszystkie przytoczone przeze mnie zarzuty i wątpliwości pochodzą z łona samego Kościoła i ludzi, którzy z Opus Dei odeszli, a w Kościele pozostali.

Waga nazwisk i autorytet teologów, którzy je formułują, podobnie jak niepodlegająca wątpliwości reputacja pism, które je przytaczają (między innymi „The Times”, „Newsweek”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „The Tablet”), pozwalają żywić obawy, że, niestety, o plotki i pomówienia bynajmniej tu nie chodzi.

Nie ma też w moim artykule żadnych sensacji. Przytoczyłem opinie, wątpliwości i fakty

ogólnie znane, które w większości pojawiły się najpóźniej z okazji beatyfikacji Escrivy w roku 1992, a więc 10 lat temu.

PIOTR KOWALCZUK

BOBOS – DANDYS PRACUJĄCY

Gratuluję! Tekst o bobosach mądry, zgrabny, fascynujący i pouczający. Wynika z niego, że bobos to dandysi XXI wieku dostosowani do życia w świecie wolnorynkowym: ci „oryginalni” – Brummell, Baudelaire, Montesquieu, a także nasz Słowacki – przeważnie mogli sobie pozwolić na wcielanie w życie swej niechęci czy nienawiści do pracy... Współcześni muszą pracować, by pozwolić sobie na zaspokajanie wyrafinowanych gustów. Tekst uzmysławia też, w jakim stopniu kultura niezależna „uzależniona” jest od tego typu społecznych fenomenów. To bobosów właśnie stać na prawdziwy mecenat wspierający poszukujących twórców. Nie dziwi więc stan polskiej kultury – wystarczy przypomnieć słowa Marii Podraży-Kwiatkowskiej, która napisała ongiś tekst o modelu polskiego dandysa, Jarosławie z powieści Micińskiego „Mene-Mene-Tekel Upharism... Quasi una phantasia”, stwierdzając między innymi: „Wyrafinowany dandyzm nie mógł się u nas rozwinąć z wielu powodów; ale najważniejszym z nich była chyba polska bieda. O ileż łatwiej było u nas zostać pijącym absynt cyganem niż rozkoszującym się symfonią likierowo-dźwiękową dandysem”. Jak bardzo zmieniła się sytuacja? Nietrudno o odpowiedź.

PS A propos kultury niezależnej: martwi mnie trochę brak tekstów o wiodących trendach muzyki undergroundowej. Może Pan Hawryluk, po Anderszewskim i Minkowskim, mógłby się zająć Morr Music, Ninja Tune albo chociaż Domino? Jest wszakże wielkim znawcą tej materii.

TOMASZ SWOBODA

„REDAKTOR WSZĘDOBYSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.



Ako. 34/2003

SPOTKAJMY SIĘ W KINIE!

Drodzy Czytelnicy „Przekroju”, będzie nam miło spotkać się z Wami podczas przedpremierowego pokazu filmu „On, Ona i On” w reżyserii Ferzana Özpeteka.

Pokaz odbędzie się 18 kwietnia o godzinie 20.00 w kinie Galeria Mokotów Ster Century, ul. Wołoska 12.

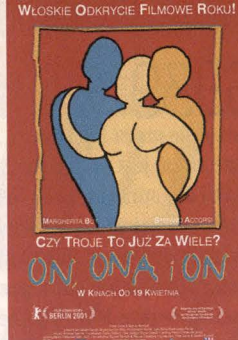
Aby otrzymać zaproszenie dla dwóch osób, wystarczy zadzwonić pod podany niżej numer telefonu i zostawić swoje dane. Pierwsze 60 osób, które się do nas dodzwonią, będzie naszymi gośćmi na pokazie.

O wygranej powiadomimy Państwa telefonicznie.

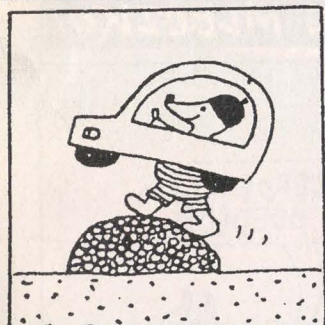
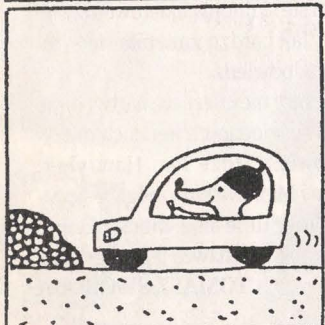
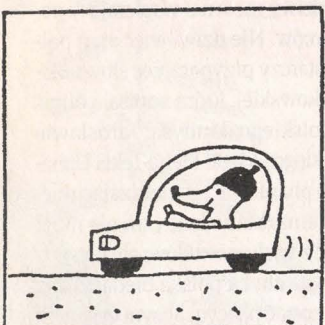
Linia będzie czynna od 4.04 do 12.04.2002 przez całą dobę.

Telefony*: ze stacjonarnego: 0-700 683 037, z komórkowego: 700 683 037, dla abonentów IDEI: *740 883 037

*Legion Polska, koszt połączenia wynosi 2 zł + VAT za minutę



BIBI



PRAWDA O HEMARZE

W numerze 12/2961 „P” redaktor Jan Gondowicz, pisząc o Marianie Hemarze, błędnie podał zarówno datę jego urodzin, jak i datę śmierci.

Marian Hemar urodził się 6 kwietnia 1901 roku we Lwowie, zmarł 11 lutego 1972 w Dorking. Nieprawdziwa jest również informacja, jakoby w Londynie znajdowało się „pod kluczem nie mniej niż 500!” sztuk Hemara. Na emigracji autor około trzech tysięcy piosenek sztuk dramatycznych napisał zaledwie kilka, z których najbardziej znana jest „Piękna Lucynda” (grana obecnie w warszawskim teatrze Syrena).

Zainteresowanym losami poety, satyryka i kompozytora najpiękniejszych szlagierów polecam książkę „Marian Hemar. Od Lwowa do Londynu”, którą z okazji setnej rocznicy urodzin „klasyka rozrywki” wydała Polska Fundacja Kulturalna w Londynie.

Z poważaniem
ANNA MIESZKOWSKA

OD AUTORA

Datę urodzin pisarza podałem za książką „Kabaret Hemara” Ryszarda Marka Grońskiego (1988). Ani mi w głowie nie postało, że ów znawca i we własnym mniemaniu kontynuator tradycji przedwojennego kabaretu mógł być w tej mierze nieściśły. Przy błędnej dacie śmierci zatrudnił się anonimowy autor prasowych informatorów.

Imponujący dorobek Hemara na emigracji kreujący go na nowego Lope de Vegę zaświadcza w swej wydanej w Paryżu pod koniec lat 60. książce „Asy i damy” Juliusz Sakowski: „Hemar napisał dla teatru w Londynie, lekko licząc, 500 utworów. Pomijając inne tytuły jego chwały – buhaj płodności twórczej, gigant pióra, Kraszewski emigracji”. Tak długo nam wpajano, że publicyści emigracyjni kłamią, aż wierzyły każdemu ich słowu...

JAN GONDOWICZ

ORZEŹWIAJĄCE GOLASY

Podobają mi się Wasze okładki, nieprzewidywalne i dające do myślenia. Szczególnie dwie niedawne – Yves Saint-Laurent (nr 9/2958) i pan z siwą brodą, bez majtek (nr 10/2959).

Brawo! Wreszcie coś nowego i orzeźwiającego na tle młodzieżowych, wyretuszowanych buź, zawsze tak samo uśmiechniętych, zawsze w ten sam sposób reklamujących pasty do zębów. (...)

BARBARA JÓZEFOWICZ,
Węgierki

Redakcja „PRZEKROJU”

ul. Wiejska 16

00-490 Warszawa

e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

ASYSTENTKA REDAKTORA NACZELNEGO:

Maria Świątklik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorska

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika Jasinimo

FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29, faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW

MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit

DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233,

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY: Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek,

Bartek Kluczyński, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09,

626 96 17

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA – informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

NUMER 14/2963
7.04.2002



3 Listy

6 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia

11 Zauważone

Suplement do „Alfabetu...”

12 Oswajanie Europy

– z NORMANEM DAVIESEM rozmawiają

WOJCIECH MAZIARSKI i DARIUSZ ROSIAK

17 Zapiski na pudełku od zapalek

UMBERTO ECO

18 Słownik Swabody

22 Premiera o premierze M.

– dziennik scenarzysty MACIEJA KOWALEWSKIEGO

i reżysera JACKA GŁOMBA

26 Pára ji dmýcha z horkého břicha...

z JACKIEM BALUCHEM, tłumaczem „Lokomotywy”

na czeski, rozmawia LESZEK MAZAN

28 Klikanie w islamie

– BEATA PAWLAK

31 List z Paryża

– LUDWIK LEWIN

32 Galeria AMELIA

– więcej niż w filmie

38 Smok z porcelany

– MAJA WOLNY

40 Strach przed jedzeniem

– z KRZYSZTOFEM

KRYGIEREM rozmawia OLGA WOŹNIAK

43 To i owo naukowo

44 Zgoda buduje

– JAN STRADOWSKI

45 Koń by się uśmieł

– MARZENNA NOWAKOWSKA

46 Życie i śmierć malarza kwiatów

– MARCEL ANDINO VELEZ

51 Okienko z wierszem

– ANDRZEJ SOSNOWSKI

52 Chłopcy tolkienowcy

– RAFAŁ SMOCZYŃSKI

56 Piątka klepka

STEFANIA GRODZIENSKA,

MORDILLO, Polska Angola,

WILHELM SASNAL

58 Muzyka z ANNA MARIĄ JOPEK

rozmawia ROBERT ZIĘBIŃSKI

60 Książki Kabaret Starszych Panów

jako kraina Muminków cierpiąca

na klęskę urodzaju PIOTR CZERNIAWSKI

62 Literatura

JOHN IRVING „Czwarta ręka”

66 Kulinarne PIÓRO Polski

67 Tradycja

– HOFF

68 Kici, Kici

MAŁGORZATA BARANOWSKA

70 Jerzy Bralczyk, Wyteż wzrok,

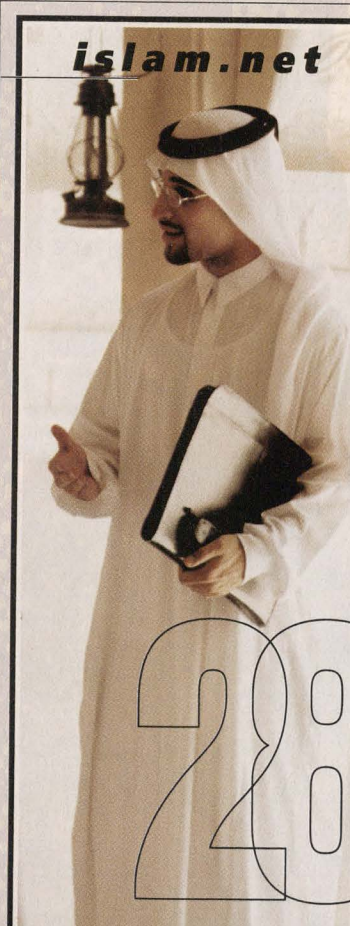
Inne pytania BARBARA LABUDA

w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK

72 Krzyżówka, zagadka i jolka

74 Co Pan na to, Panie LEIM?

76 Rozmaitości





FOT. AP / PAP

Preana, Audreana, Natalie i Melody
— tak nazywają się czworaczki, które przyszły na świat 25 marca w kalifornijskim Sacramento. Czworaczki jednej płci trafiają się raz na 11 milionów porodów.



FOT. DENNIS STOCIMAGNUM/PIK

Wybitny amerykański reżyser i scenarzysta Billy Wilder zmarł w Beverly Hills w wieku 95 lat. Wilder urodził się w w Suchoj Beskidzkiej w zaborze austriackim. Zdobywca sześciu Oscarów zasłynął z takich filmów jak „Bulwar Zachodzącego Słońca”, „Pół żartem, pół serio” i „Garsoniera”.

Hiszpańscy żołnierze wzięli udział w uroczystościach Wielkiego Tygodnia w Maladze.

FOT. AP



Ten zawodnik ubiegał się o tytuł najlepszego jeźdźcy na festiwalu rolniczym w Urugwaju. Niestety, koń okazał się za krótki. Pokazy rodeo odbywają się w Montevideo co roku w Wielki Tydzień.

MYŚL TYGODNIA



Zawsze chciałam podróżować przez morza, na przykład do Kanady i innych takich.

Britney Spears, amerykańska piosenkarka

Prezydent Łodzi Krzysztof Panas 28 marca osobiście wypróbował nowoczesny tramwaj zakupiony dla miasta.



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

...o aktorach, którzy wedle propozycji ministra kultury Andrzeja Celińskiego mają opuścić teatry i udać się do szkół, aby nauczać dzieciaki niezbędnej w trzecim tysiącleciu ekspresji. Przeciwno uprzywilejowaniu aktorów w drodze do szkół zamierzają zaprzestować organizacje zawodowe suflerów, którzy są przekonani o większym zapotrzebowaniu na ich usługi. Potem przyjdzie czas na strażaków, inspicjentów, pracownicy bufetów teatralnych, menedżerów szatni.

...o kolejnym sukcesie polskich piłkarzy, czyli przegranej 0:2 z Japończykami. Sukces polega na tym, że Polacy wiedzą już, jak mają zagrać na mistrzostwach świata – grać lepiej, a najlepiej tak jak Japończycy, o czym zapewnił nas, kibiców, trener Engel Jerzy.

...o sensacyjnym odkryciu amerykańskich uczonych, którzy bezspornie dowiedli, a tygodnik „Science” poinformował, że codzienne, wielogodzinne oglądanie brutalnych, okrutnych, krwawych filmów przez dzieci i młodzież jest szkodliwe. Według uczonych przemoc na ekranie skłania młodych do używania brzydkich wyrazów, a nawet zachowań agresywnych oraz aktów wandalizmu i przemocy.

czeczot PRZE
KRÓJ



Bez ostrzeżenia i uprzedniego strzału w powietrze – tak będą mogli strzelać policjanci, jeśli Sejm przyjmie poprawki zaproponowane przez rząd do ustawy o policji. W strzelaninie, do której doszło 23 marca pod Nadarzynem, gangsterzy zabili policjanta.



Wielki Czwartek, poznańska Katedra. Arcybiskup Juliusz Paetz odchodzi

Tak – tak, nie – nie

Tym razem młyny kościelne mełły nawet dość szybko – tyle że jakoś tak niewyraźnie. Arcybiskup Juliusz Paetz wprawdzie odszedł z urzędu, ale na odchodnym oświadczył: „Nadużyto mojej dobroci i spontaniczności. Wypaczono i przewrotnie interpretowano moje słowa, gesty, zachowanie. Do wielu wiernych insynuacje ze szkodą dla dobra mojego imienia docierały szeptem i plotką, co miało rozsiewać pogłoski o domniemanym zamieszaniu i zagrożeniu archidiecezji. Znam promotorów tej szeroko zaprogramowanej akcji”.

Arcybiskup mówił tak, jakby nie był sprawcą zgorszenia i skandalu, lecz niewinną ofiarą wrogich knoń. A jego kościelni zwierzchnicy, słysząc te słowa, zgodzili się na zachowanie resztek pozorów i pozwolili mu odejść z twarzą. Episkopat Polski – miast głośno i publicznie pouczyć hierarchę: „Kończ, waść, wstydu oszczędź” – stwierdził ustami rzecznika o. Adama Schulza, że rezygnacja arcybiskupa „przyczyni się zapewne do uzdrowienia trudnej sytuacji w archidiecezji poznańskiej”.

Tak jakby trudna sytuacja instytucji kościelnej była w tej sprawie największym zmartwieniem. I tak jakby spuszczenie zasłony milczenia na prawdziwe powody odejścia arcybiskupa miało dobrze służyć prestiżowi i autorytetowi Kościoła.

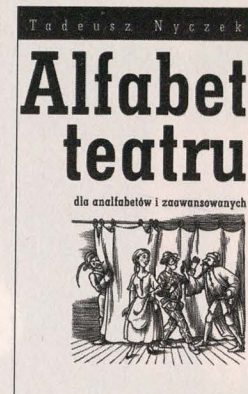
Dwa tysiące lat temu świat usłyszał wezwanie: „Niech wasza mowa będzie tak, tak; nie, nie”. Przy okazji dziwnego odejścia arcybiskupa Paetza warto te słowa przypomnieć.

WOJCIECH MAZIARSKI

Nowym metropolitą poznańskim został dotychczasowy biskup pomocniczy archidiecezji gnieźnieńskiej Stanisław Gądecki



FOT. PRAWEL LACHETA / SUPER EXPRESS



Kto ocenzurował nową książkę Nyczka?

Suplement do „Alfabetu...”

Zgłosił się do nas redakcyjny kolega, pan Tadeusz Nyczek, z oburzeniem demonstrując swoją niedawno wydaną książkę „Alfabet teatru dla analfabetów i zaawansowanych”, z której – jak stwierdził – jakieś nieznane a wpływowe moce usunęły trzy hasła. Przeczytaliśmy i książkę, i brakujące teksty. Podzielając oburzenie autora, postanowiliśmy opublikować przynajmniej jeden z nich. (red.)

wszyscy demokratycznie grali główne role, toby tej głównej znów nie było i wszystko trzeba by zaczynać od początku. Podgryzają się więc przede wszystkim aktorzy i aktorki, różnych tu używając wymyślnych sposobów. Ale gdybyż tylko oni! Wiadomo powszechnie, że procederowi podgryzania ulega także cały pion administracyjny. Jest to wszak urząd, czyli państwo w państwie, zaś

urzędnicy każdego szczebla w każdej instytucji podgryzają się solidarnie i z upodobaniem. Podgryzaniu podlega też oczywiście stanowisko dyrektorskie. Może nawet ono szczególnie – jako najbardziej łakomy kąsek w administracyjnej strukturze. Bywa, że akto-

rzy i urzędnicy po prostu podgryzają nieubliwanego dyrektora, i rzeczywiście czasem udaje się go wygrzyść. W następstwie tego dyrektor ląduje na identycznym stanowisku w innym teatrze, skąd właśnie został wygrzyziony dyrektor dotychczasowy. Ten ostatni ma teraz spore szanse zostać dyrektorem w teatrze opróżnionym przez swego następcę. I tak toczy się podgryzany światek.

TADEUSZ NYCZEK



PODGRYZANIE

Czynność popularna w wielu zakładach pracy wszystkich branż, ale w teatrze zadomowiona dosyć specjalnie. Może stąd, że wszystko tam zależy od sukcesu, a sukces – ponieważ także od jak najczęstszego przebywania na scenie możliwie w głównych rolach i oczywiście w blasku jupiterów. A wiadomo, że dotyczyć to może tylko niektórych, bo gdyby

TAJEMNICA PADMY 28

Nowoczesna medycyna odkrywa tajemnicę skuteczności starych receptur

Padma 28 – LEK 3 POKOLEN

Dla dzieci – naturalny sprzymierzeniec układu odpornościowego

Dla rodziców – kompleksowa profilaktyka miażdżycy, zapobiega zawałom serca i udarom mózgu

Dla dziadków – leczy zaawansowane postaci chorób krążenia, utrzymuje w formie fizycznej i psychicznej



TYMOFARM LECZYMY PRZYCYNĘ CHOROBY
00-790 Warszawa ul. Willowa 8/10 lok. 41
tel. (0-22) 646-02-38, internet: www.tymofarm.pl



Oswajanie Europy

O jedzeniu żab, siusianiu w stajni, piłce nożnej i nieuchronnym kryzysie Unii Europejskiej

– mówi **NORMAN DAVIES** w rozmowie z Wojciechem Maziarskim i Dariuszem Rosiakiem

WOJCIECH MAZIARSKI, DARIUSZ ROSIAK: Czym dla Pana w dzieciństwie była zagranica?

NORMAN DAVIES: Dla mieszkańców Wielkiej Brytanii, szczególnie dla Anglików, zagranica to była Francja. Po drugiej stronie kanału La Manche był dziwny, obcy, egzotyczny świat. Niewielu Brytyjczyków nie czuło się tam swojsko, choćby nie wiem ile lat spędziło na Kontynencie.

A Pan kiedy po raz pierwszy pojechał do Francji?

– Gdy miałem 11 lat. Rodzice zabrali mnie na groby moich wujków, którzy polegali w I wojnie światowej. Na północy Francji jest przeszło milion grobów brytyjskich żołnierzy i pod koniec lat 40. i w 50. Anglicy bardzo często urządzali takie jednodniowe wycieczki. Płynęli promem z Dover na drugą stronę, odwiedzali cmentarze i wieczorem wracali.

NORMAN DAVIES – ur. 1939, brytyjski historyk i publicysta, profesor School of Slavonic and East European Studies Uniwersytetu w Londynie, członek British Academy i Polskiej Akademii Umiejętności. Doktoryzował się na Uniwersytecie Jagiellońskim z historii wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Praca miała tytuł „Orzeł biały, czerwona gwiazda”. Jednym z jego najbardziej znanych dzieł o Polsce jest książka „Boże igrzysko”. Davies jest też autorem historii naszego kontynentu „Europa. Rozprawa historyka z historią”. Na początku marca ukazała się w Wielkiej Brytanii jego najnowsza książka o historii Wrocławia pt. „Microcosm: a Portrait of a Central European City”. W maju ukaże się równocześnie jej polski i niemiecki przekład.

Co Pana tam dziwiło?

– Najbardziej zastanawiało mnie zachowanie samych Brytyjczyków. Na przykład nie jadaliliśmy wtedy we francuskich restauracjach. Moja mama wzięła jedzenie dla rodziny na cały dzień. Nawet wodę ze sobą przywoziliśmy.

Bała się, że Francuzi Was otrują?

– Naturalnie. W tamtych czasach Francja była dla nas krajem brudu i nędzy, obszarem leżącym poza kręgiem cywilizacji. Z punktu widzenia przeciętnego Anglika Francuzi to byli ludzie, którzy nie mają łazienek, piją bez przerwy wino, jedzą... te... jak one się nazywają...

Żaby.

– No właśnie. Żabojady, co za horror dla Anglika! Francuska wieś żyła wtedy rzeczywiście w bardzo prymitywnych warunkach, które mogły szokować angielskiego mieszcza. Moja szkoła organizowała wymianę młodzieży z francuskimi uczniami spod Clermont-Ferrand. Gdy miałem 15 lat, trafiłem tam do takiej wsi, gdzie nie było kanalizacji ani elektryczności. Na siku musiałem chodzić do stajni, w której stał ogromny, przerażający koń. To był obcy, dziwny i dwuznaczny kraj – kraj wielkich pisarzy i filozofów żyjących jak nędzarze – z którym przeciętny Anglik nie chciał mieć nic wspólnego. Nasze poczucie wyższości podsycala jeszcze najnowsza historia: przecież my wygraliśmy wojnę, a oni w roku 1940 się poddali. A w dodatku byli katolikami.

Teraz oczywiście nikt już tak nie myśli. Lubicie się z Francuzami. Dziś setki tysięcy Brytyjczyków wyjeżdżają na wakacje do Francji bez własnej wody i prowiantu.

Jeździcie nawet na jednodniowe zakupy do Calais – po to obrzydliwe wino i koszarne jedzenie.

– Tak, teraz mamy tunel. Wystarczy pół godziny i człowiek jest na miejscu. Ale to oczywiście nie znaczy, że stosunek Anglików do Francuzów całkowicie się zmienił. Dla wielu Brytyjczyków Francja to ciągle podejrzany kraj.

A dla Pana osobiście kiedy przestała być podejrzana?

– Ja nie jestem typowym Anglikiem, bo od dawna kocham Francję. Francja mnie zafascynowała i zauroczyła. Już w szkole wybrałem francuski jako główny przedmiot. Jedne z moich pierwszych wakacji to był spływ kajakowy Loarą. Gdy miałem 17 lat, zrobiłem maturę i ponieważ wojsko nie chciało mnie przyjąć, bo byłem za młody, wyjechałem na roczne studia do Francji. Byłem emocjonalnie związany z Francją, która do dziś jest moim drugim krajem. Również żonę poznałem we Francji.

Mówi Pan, że nie jest typowym Anglikiem, ale czy to właśnie nie jest typowa droga życiowa wielu Anglików i w ogóle Europejczyków? Począwszy od lat 60., młodzi ludzie w wieku studenckim podróżują po Europie, włączają się, poznają obce kraje.

– To nie jest samo. Młodzieżowe wódcęgi rzeczywiście stały się modne, ale służą gromadzeniu dość powierzchownych wrażeń. Chodzi o to, by przespać się w stodole czy pod gołym niebem, przeżyć jakąś przygodę, zgubić się, znaleźć drogę itd. Ale pojechać do obcego kraju, żeby studiować, poznać język, ludzi – na to decyduje się garstka Brytyjczyków. Do dziś młodzi Anglicy nie umieją mówić obcymi językami.

Dziwne. Anglicy i Francuzi już od dawna nie mieli poważnego zatargu politycznego. Brytyjczycy masowo jeżdżą na wakacje na Kontynent, a nawet wykupują całe połacie ziemi we Francji czy w Hiszpanii. Z drugiej strony w Walii czy Szkocji masowo kupują ziemię Holendrzy i Niemcy. A równocześnie Pana zdaniem mapa Europy w głowie przeciętnego Anglika pozostaje niemal niezmieniona. Dlaczego nic się nie zmienia, skoro tak dużo się zmienia?

– Francja jest dla Anglików inna, bo historia tak ukształtowała naszą tożsamość. Wychowujemy się na Szekspirze, który pisał o Francu-

uczą się o wojnach, jakie toczyliśmy przeciwko Francji. To fundament naszej kultury.

Poczucie obcości wobec Francuzów jest kulturowo zakodowane w Anglikach, tak jak w Polakach jest zakodowana obcość wobec Rosjan czy Niemców?

– Tak, to podobny mechanizm. Nasze dzieci uczą się o bitwach prowadzonych przez Imperium Brytyjskie. Z kim się biliśmy? Oczywiście z Napoleonem. To niby było dawno temu, ale zostaje w kolektywnej pamięci.

Moja żona, która jest Polką, przyjechała pierwszy raz do Londynu na Dworzec Waterloo i zapytała mnie: dlaczego Anglicy nazwali cen-

nie dla wszystkich jest to ponury kraj po drugiej stronie granicy cywilizacyjnej.

– Każde pokolenie Anglików patrzy na Francję inaczej.

Weźmy taką rzecz: w moich czasach reprezentacja Anglii w piłce nożnej była najlepsza na świecie. Francuzi się nie liczyli. Teraz role się odwróciły, Francja jest najlepsza, i to nie tylko przez to, że wygrywa mistrzostwa świata i Europy. Najlepsze kluby angielskie mają francuskich menedżerów, grają w nich francuscy piłkarze. Mój syn, który sam jest bardzo dobrym piłkarzem, najwyżej ceni właśnie Francuzów. Thierry Henry [skrzydłowy Arsenalu Londyn i reprezentacji Francji

– przyp. red.] nie jest dla niego obcym, a przeciwnie – mieszkańcem tego samego świata.

A jak się czują na Wyspach ci obcokrajowcy, którzy do Was przyjeżdżają? Jak u siebie w Europie czy jak w obcym kraju?

– Myślę, że niektórzy, na przykład Holendrzy, czują się w całej Europie jak u siebie w domu. Niemal wszyscy Holendrzy mówią co najmniej dwoma lub trzema językami i praktycznie mogą mieszkać w dowolnym kraju na Kontynencie. Inni, choćby Francuzi, będą mieć z tym problemy, bo nie znają języków obcych.

To, o czym w tej chwili mówimy, to przykłady prawdziwej integracji europejskiej. Anglik chce pracować we Francji, więc zakłada firmę i pracuje. Holender chce kupić dom w Szkocji, więc płaci i kupuje. Niemiec chce studiować w Belgii, więc zapisuje się tam na studia. Ale czy do tego potrzebny jest cały ten projekt polityczno-administracyjny? Przecież do tego, żeby Pan przestał się bać Francji, nie trzeba było Komisji Europejskiej. Czy nie wystarczyłoby otworzyć granice i niech sobie ludzie handluja,

niech jeżdżą, gdzie chcą? Po co nam jakaś wspólna polityka, po co wspólny prezydent, dlaczego Komisja Europejska ma decydować o prawach, dajmy na to, w Szkocji?

– Myślę, że struktury i wspólne prawa są niezbędne. Mój kuzyn nie mógłby pracować w firmie francusko-angielskiej, gdyby nie było wspólnego prawa. Przedtem Brytyjczycy po prostu nie mogli zakładać firm we Francji, a Francuzi w Anglii. Dziś nagle okazuje się, że wielkie francuskie przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne robią ogromne interesy w Wielkiej Brytanii. Dostarczają ludziom wodę taniej niż firmy brytyjskie i nikt się nie boi, że jest zatruta. Bez Unii Europejskiej nie byłoby to możliwe.

Ale co jest przyczyną, a co skutkiem? Czy prawo zmienia mentalność, czy też dostosowujemy prawo do nowych zachowań ludzi?

– To jest oczywiście proces równoległy. I to bardzo wolny proces. Poza tym pamiętajmy, że prawo europejskie to jest zaledwie kilkanaście procent ustawodawstwa danego kraju. 85 proc. prawa angielskiego stanowione jest w Westminsterze, a nie w Brukseli.

Jednak nawet ta ograniczona ingerencja Brukseli wywołuje często sprzeciw. Czy na przykład Brytyjczycy pogodzili się z europejskim systemem miar?

– Obecnie przed Izbą Lordów, która jest u nas Sądem Najwyższym, toczy się sprawa przeciw ludziom odmawiającym posługiwania się kilogramami i metrami. Uważają to prawo za obce, narzucone siłą. Oczywiście nie mają szans na wygranie procesu, bo ustawodawstwo brytyjskie w tej dziedzinie jest całkowicie europejskie. Ale zwyczajów brytyjskich, które ciężko nam porzucić, jest dużo więcej. Choćby ruch lewostronny. To dla Brytyjczyków świętość.

Ale tego nikt Wam nie chce zabrać.

– Za późno, żeby było to możliwe. Nasze drogi, autostrady, rozjazdy są przystosowane do ruchu lewostronnego i zmiana wywołałaby kompletny chaos. Szwedzi jeszcze zdążyli przestać się na ruch prawostronny przed budową sieci autostrad, ale dla nas jest za późno. Pewne zwyczaje czy prawa na zawsze już pozostaną domeną niektórych narodów Europy.

Czy projekt europejski jest nową jakością w historii powszechnej, czy raczej powtórką z budowy – może innymi metodami – kontynentalnego imperium?

– To coś zupełnie nowego w historii. Imperia były budowane przemocą, na drodze podbojów dokonywanych zbrojnie, naciskami politycznymi albo finansowymi. Unia Europejska jest pierwszą wspólnotą budowaną na zasadzie dobrej woli i wolnego wyboru. W latach 60. Brytyjczycy zorientowali się, że sytuacja gospodarcza Francji czy Niemiec jest lepsza niż nasza. Dlatego zdecydowaliśmy się wstąpić do wspólnoty. Podobnie dziś jest z Polską. Nikt nie zmusza Polaków, by do niej wstępowali – sami chcą.

Sęk w tym, że wspólnotę wymyślono na potrzeby sześciu członków i do takiej liczby są dostosowane jej mechanizmy wewnętrzne. Ta struktura nie może sprawnie funkcjonować w składzie 25 czy 30 członków. Komisja jest zbyt mało dla państw członkowskich, które na spotkaniach Rady Ministrów urządzają targ własnych interesów. To wcześniej czy później doprowadzi do paraliżu Unii. Moim zdaniem reformy wewnętrzne idą zbyt powoli i dlatego przewiduję poważny kryzys. Albo Unia się zmieni w sprawną sojusz, albo w europejski odpowiednik martwej, fikcyjnej Wspólnoty Niepodległych Państw.

Bo pamiętajmy, że Unia Europejska jest eksperymentem, który może, ale wcale nie musi się udać.

Czy ten prorokowany przez Pana kryzys może udaremnić rozszerzenie Unii?

– Nie, do pierwszego rozszerzenia dojdzie i będzie w nim Polska. Nie jestem pewny co do na-

stępnych rozszerzeń: o Bułgarię, Rumunię, Turcję, Ukrainę. Ale wystarczy już 20 państw członkowskich realizujących swoje własne interesy, by sparaliżować Unię. Wyobraźcie sobie, że decyzje w Komisji podejmuje ktoś taki jak Andrzej Lepper i jego odpowiednicy w innych krajach...

Integracja europejska prowadzi, jak Pan mówi, do lepszego rozumienia i głębszej współpracy mieszkańców Kontynentu. Jednak nie zawsze. W latach 80. w naszej części Kontynentu ogromną popularnością cieszyła się idea Europy Środkowej. Rodziła się więc solidarności w grupie takich państw jak Polska, Czechosłowacja, Węgry. Po roku 1989, w czasie gdy cała Europa zaczęła się jednoczyć, z wizji Europy Środkowej niewiele zostało. I to właśnie wtedy, gdy wszystkie państwa środkowoeuropejskie zdążają, wydawać by się mogło, w tym samym kierunku. Dlaczego?

– Ten mit, którego ojcem był Milan Kundera, okazał się nietrwały, bo stanowił tylko narzędzie oporu przeciw sowietyzacji. W sowieckiej części kontynentu władze próbowały zredukować tożsamość narodową. Opór i bunt przeciwko temu przybrał między innymi formę projektu środkowoeuropejskiego. To był jednak wyraz sentymentalnej tęsknoty za normalnością. Niektórzy nawiązywali do Habsburgów, inni do niezależnych państw sprzed II wojny, ale to wszystko było jakimś kulturowym pozorem. Istotą rzeczy był bunt przeciwko Sowietom. I taki bunt miał sens tylko dopóty, dopóki trwał Związek Radziecki. Gdy komunizm runął, przestała istnieć pożywką dla mitu Europy Środkowej.

A jak Europa Środkowa widziana jest dziś z perspektywy przeciętnego Anglika, Francuza, Włocha? Czy dla zachodnich społeczeństw to jest już część wspólnego świata?

– Świadomość ludzi zmienia się powoli, ale się zmienia. Jeszcze w roku 1938 premier brytyjski mógł mówić, że Czechosłowacja to „daleki kraj, o którym nic nie wiemy”. Dziś już żaden brytyjski premier tak nie powie. Miliony ludzi z Europy Zachodniej jeżdżą co roku do Pragi i poznają tę część Europy. Niezmiernie ważne dla waszych krajów było rozszerzenie NATO. Przeciętny Brytyjczyk patrzy w gazetę i widzi, że na zdjęciu obok Tony’ego Blaira stoi jakiś Aleksander Kwaśniewski. Ten facet, którego imię jest nie do wymówienia, stoi obok „naszego”, czyli jest jednym z nas. W ten sposób w potocznej świadomości Polska staje się częścią tego samego klubu, do którego i my należymy. Takie obrazki stopniowo zmieniają stosunek zachodnich Europejczyków do Polski.

Ważny jest też futbol. Kiedyś zapytałem mojego syna (miał chyba 12 lat), gdzie leży Mołdawia. Byłem pewny, że nie wie, bo niby skąd miał

Unia Europejska jest eksperymentem, który może, ale nie musi się udać. Bez wewnętrznych zmian grozi jej paraliż. Te reformy idą zbyt wolno i dlatego przewiduję poważny kryzys

tralny dworzec w mieście na pamiątkę tak wielkiej klęski? Bo dla niej Waterloo było klęską. Dla Polaków Napoleon był wielkim cesarzem, dla nas – wrogiem i despotą. Waterloo było naszym triumfem, nie klęską. Te zaszłości historyczne zostają w nas głęboko.

Z tego, co Pan mówi, wypływa wniosek niewesoły dla zwolenników integracji: realizowany od prawie 50 lat wielki projekt europejski na dobrą sprawę nie zmienia mentalności ludzi. Archetyp Obcego trwa niezmiennie.

– Jednak powstanie wspólnoty europejskiej zmieniło i wciąż zmienia emocjonalny klimat na Kontynencie. Natomiast nie zmieni się, a przynajmniej nie zmieni się szybko, mentalna mapa w głowach Europejczyków. Obcy pozostanie Obcym, bo historia uczona w Anglii jest inna od tej, której uczy się we Francji, a polska historia jest inna od niemieckiej. Jednak kiedyś obcość Francji była dla Anglików niebezpieczna. Mogła przerodzić się w konflikt państw i narodów. Dziś stereotypy, o których mówiliśmy, mogą co najwyżej bawić, a różnice między narodami nie są groźne. Podstawowym celem Unii jest przecież budowa kontaktów między ludźmi. Mój kuzyn skończył studia w Oksfordzie, potem wyjechał na studia do Francji i dziś prowadzi francusko-brytyjską firmę. On nawet nie pyta, czy Francja to zagranica. Dla niego jest to po prostu dom i miejsce pracy.

A więc jednak część młodego pokolenia Brytyjczyków inaczej już patrzy na Francję. Czyli



Pierwszą pasją Normana Daviesa jest historia Europy. Drugą – gra na akordeonie

wiedzieć? A okazało się, że doskonale to wie. Manchester United grał jakiś mecz w Mołdawii, więc sprawdził to w atlasie. To samo z tradycją polsko-angielskich pojedynków piłkarskich. Nie tylko historycznych. Dziś jednym z najlepszych ambasadorów Polski w Anglii jest bramkarz Liverpoolu Jerzy Dudek.

Przydałoby się, żeby Polska chociaż raz z Anglikami wygrała.

– Wtedy jeszcze bardziej by was cenili. Weźmy taką Chorwację. Mały kraj, ale mają świetnych piłkarzy i nagle każdy w Europie wie, gdzie leży Chorwacja.

Stadion piłkarski to dziś jedno z niewielu miejsc w Europie, gdzie ludzie mogą okazywać swoje przywiązanie do wartości narodowych bez posądzeń o szowinizm. Mogę przyjść na stadion, machać białą-czerwoną flagą i czuć się

Polakiem bez wyrzutów sumienia. Czy tak naprawdę może się dziś karmić duma narodo-

wa? Wyłącznie sukcesem sportowym?
– Sport jest bardzo ważny. Adam Małysz jest dziś znany na całym świecie, więc i Polska jest znana kibicom skoków. My zdobyliśmy w Salt Lake City mało medali, ale Szkotki wygrały w curlingu. I nagle, jak w Polsce od roku wszyscy się znają na skokach, tak u nas wszyscy stali się ekspertami od curlingu.

Ale sport to oczywiście nie jedyny powód do dumy narodowej. Brytyjczycy są dumni z tego, że mają wybitnych twórców muzyki pop, pisarzy, architektów. W naturze ludzkiej tkwi silna potrzeba konkurencji i jeśli nie konkurujemy na polu bitwy, to będziemy walczyć w sporcie, kulturze, sztuce, kuchni itd. Nawet nie macie pojęcia, jacy dumni byli Anglicy, gdy na jakimś konkursie win we Francji angielscy producenci wina zdobyli nagrodę!

Polacy są teraz bardzo proamerykańscy, ale w całej Europie poparcie dla USA maleje. W sensie psychicznym Europa oddala się od Ameryki i ta luka będzie się powiększać z każdym rokiem



FOT. MACIEK SKAWIŃSKI

Ważnym powodem do dumy narodowej albo narodowego kaca może być stan gospodarki. Na przykład brytyjska gospodarka jest dziś w bardzo dobrym momencie: niskie bezrobocie, niska inflacja, stosunkowo duży wzrost. Z drugiej strony służby publiczne, takie jak służba zdrowia czy transport, są w opłakanym stanie. Patrzymy z podziwem na koleje francuskie, sprowadzamy chirurgów z Niemiec, wysyłamy chorych na operacje do Polski – i to oczywiście nie poprawia samopoczucia Brytyjczyków.

Są setki takich sfer konkurencji i Unia Europejska rozszerzy to pole pokojowego współzawodnictwa na nowe dziedziny.

Jednak w ludzkiej psychice zakodowana jest nie tylko potrzeba współzawodnictwa. Potrzebujemy też Obcego, który będzie naszym wrogiem. Integracja europejska sprawia, że wszyscy mieszkańcy Kontynentu są postrzegani jako swoi. Kto więc będzie dla nas Obcym? Arab, terrorysta, Afgańczyk, muzułmanin....?

– Myślę, że dla Europy Obcym może stać się Ameryka. Europa będzie wielkim blokiem konkurującym ze Stanami Zjednoczonymi i załóżki tej rywalizacji już widać...

Brytyjczyk albo Polak będzie postrzegat Amerykanina jak wroga?!

– Nie powiedziałem „wroga” – konkurenta. Polacy są w tej chwili bardzo proamerykańscy, ale Brytyjczycy mniej. Poparcie Europejczyków dla Ameryki maleje.

Europa ma zupełnie inne podejście do świata muzułmańskiego niż Ameryka. W Ameryce nie ma praktycznie nikogo, kto sympatyzuje ze światem arabskim. W Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech, Hiszpanii, Niemczech żyją miliony muzułmanów i Arabów. Ich obecność sprawia, że Europa inaczej niż Ameryka odczytuje konflikty tamtego regionu, szczególnie konflikt izraelsko-palestyński. W Europie próbujemy przynajmniej rozumieć Palestyńczyków, a w Ameryce występuje prawie totalne poparcie dla Izraela.

Inaczej też niż Amerykanie reagujemy na hasło „wojny z terroryzmem”. My już wiemy, że ten termin jest wykorzystywany w różnych celach. Dla Putina cały naród czeczeński to terroryści, dla Izraela terrorystami są Palestyńczycy. Niepokoi mnie taka selektywność. W Europie też mamy terrorystów: w Kraju Basków, w Irlandii Północnej, na Korsyce. W Irlandii Północnej zginęło więcej ludzi niż w konflikcie izraelsko-palestyńskim, a jednak my reagujemy na hasło „terroryzm” znacznie spokojniej niż Amerykanie.

Myślę, że w sensie psychicznym Europa oddala się od Ameryki i że ta luka będzie się zwiększać z każdym rokiem.

Rozmawiali **WOJCIECH MAZIARSKI**
i **DARIUSZ ROSIAK**

Wiecej kanałów niż żeglarzy

Na łamach

„Corriere della Sera” znany krytyk telewizyjny Aldo Grasso podzielił się z czytelnikami swoją radością, że telewizja nadaje stare programy rozrywkowe. Przy okazji stwierdził, że kiedyś telewizja była niewyczerpaną kuźnią komizmu, a dzisiaj bełkoce bez sensu. Wyciągnął z tego wniosek, że kiedyś telewizję tworzyli zawodowcy, a obecnie opowiada się w niej życiowe przypadki ludzi przeciętnych. Ta uwaga jest z pewnością słuszną, lecz uwzględnia tylko jeden aspekt zjawiska.

Na początku telewizja dysponowała jednym kanałem, do którego po kilku latach dołączył drugi. Musiała znaleźć dwóch komików do dwóch programów rozrywkowych na tydzień. Mogła zatem przebierać wśród ludzi, którzy mieli za sobą wieloletnie doświadczenie jako twórcy teatru rozrywkowego i autorzy humoresek, a więc byli mistrzami sztuki komicznej. Dziś, skromnie licząc, mamy 10 kanałów, z których każdy proponuje co najmniej dwa programy rozrywkowe dziennie. Nie mogąc pokazywać wciąż tego samego numeru, komik prowadzący potrzebuje tygodniowo 20 komików współpracujących. 20 razy 10 równa się 200. Czy istnieje taki kraj, taka kultura, która jest w stanie wydać 200 wspaniałych komików w jednym 10-leciu? Nawet Hollywood nie może poszczycić się takim rezultatem. Trzeba więc rzucić na wizję nie tylko debiutantów, lecz także aspirantów, wciąż jeszcze błądzących po drodze, która prowadzi od wiejskiej knajpy do kabaretu w najbliższym miasteczku gminnym. Co jakiś czas pojawia się gigant, na przykład Roberto Benigni, za którym podąża cała kolejka postaci przeciętnej postury, a wreszcie plejada karłów.

Ludzie, którzy narzekają na programy telewizyjne, za niski poziom obwiniają ich autorów. Lecz podstawowy problem dotyczy nie tyle programów, ile niepomaganego rozrostu kanałów, który jest prawdziwym dramatem naszych czasów.

Mówi się, że telewizja to medium, lecz nikt dobrze nie wie, co to jest medium. Czy medium telewizyjne to to, co widać na ekranie? A może medium to aparat technologiczny, który sprawia, że sygnał wysłany z Rzymu dociera do Brindisi? Czy jest to zespół zainstalowanych tam urządzeń? A co sprawia, że to medium może przenosić zarówno orędzie papieża, jak i wyznania Maurizii Paradiso [gwiazda filmów porno – przyp. tłum.]?

Prawdziwym dramatem współczesnej telewizji jest zbyt duża liczba kanałów. Jest ich o wiele więcej niż komunikatów zasługujących na przekazanie. Cały ten niezwykle wyrafinowany aparat technologiczny na siłę szuka dziś treści i przekazuje rzeczy błahę

To bardzo ważne pytania, ale nie chcę się teraz nimi zajmować. Powiem tylko, że telewizję wymyślono przede wszystkim jako kanał – miała pełnić podobne funkcje jak telefon albo ludzki narząd słuchu, który doprowadza bodźce zewnętrzne do mózgu, a ten je przetwarza. Kanał jest czymś zasadniczo neutralnym, czymś, przez co może przedostać się każda informacja. Przy czym kanał służy nie tylko do przenoszenia informacji, ponieważ kanałami są również drogi, koleje oraz kanały wodne, którymi podróżują ludzie i towary.

Tak więc od zarania dziejów ludzie tworzyli nowe kanały z potrzeby przekazania czegoś, co inaczej nie mogłoby dotrzeć do celu. Zwróćmy uwagę, że zawsze było więcej rzeczy do przekazania niż kanałów, które mogłyby to przepuścić. Dlatego budowano rzymskie drogi, akwedukty, systemy pocztowe, a potem

statki parowe, kolej, aż po autostrady, linie lotnicze i Internet. Aż w ciągu tego odwiecznego procesu osiągnęliśmy punkt krytyczny (ciekawie, kiedy konkretnie), w którym wymyślanie kanałów zaczęło wyprzedzać konieczność wysyłania. W konsekwencji liczba kanałów przewyższa liczbę rzeczy (i informacji), które trzeba nimi przekazać.

Pomyślcie o autostradach (i o samochodach przewożących ludzi): nadszedł moment, w którym ludzie mogą się komunikować za pomocą kanałów elektronicznych i nie muszą już przemieszczać się tak energicznie. Tymczasem dla wzmocnienia przemysłu transportowego zintensyfikowano turystyczną presję, przez co mieszkańcy Genui latają na Malediwy, żeby spotkać innych genueńczyków na urlopie, a gdyby pozostali na wybrzeżu liguryjskim, wypoczywaliby na całkiem pustych plażach. Pomyślnie o telefonach komórkowych – ich liczba przekracza liczbę komunikatów, które ludzie mają sobie naprawdę do przekazania. W efekcie produkuje się niezwykle wyrafinowane technologie, żeby zachęcić do błahych przesłań.

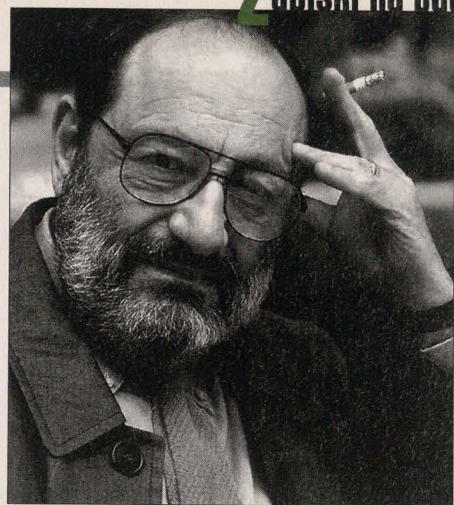
Współpracowałem przy realizacji serii encyklopedycznej na CD-ROM-ie i pamiętam, że kiedy tylko ten kanał został wymyślony, zgłosili się do mnie jego wynalazcy. Powiedzieli: „Wymyśliliśmy to, a teraz szukamy ludzi, którzy nam powiedzą, co z tym zrobić”. Dzięki temu zjawisku (które, jak wszystko, ma również aspekty pozytywne) powstaje wiele możliwości zawodowych dla absolwentów, od których żąda się rozpaczliwie, by dla mnożących się w nieskończoność kanałów znaleźli odpowiednie treści. Lecz nic nie jest za darmo – jeśli kanały za szybko się mnożą i komplikują, również pogoń za treścią staje się sztuczna i nie odpowiada żadnej realnej konieczności.

To ważny problem naszych czasów. Nie moralizuję. Mówię tylko, że trzeba zrozumieć konsekwencje, jakie z niego płyną.

UMBERTO ECO

tłumaczyła Magdalena Mikota-Jewska

Eco



FOT. SIPWAST NEWS

Słownik Swobody

ILIAR BABKOU
EUROPA

XX wiek w języku białoruskim

To było przedsięwzięcie na przełom stuleci. Rozgłośnia białoruska Radio Swaboda nadawała ten słownik przez cały rok 1999 – jedno słowo każdego dnia. 1 stycznia zabrzmiało słowo „Bóg”, a 31 grudnia – „Słowo”. W tej kłamrze zamknęła się białoruska rzeczywistość XX wieku. Pomiędzy Bogiem a Słowem mieści się mnóstwo różnych rzeczy: Europa, banan, krupnik, toaleta...

Opracowanie każdego hasła było dziełem autorskim, a wśród autorów byli – jak pisze jeden z inicjatorów przedsięwzięcia Alaksandar Łukaszuk – poeci, nauczyciele, duchowni, prozaicy, filozofowie, historycy, archeolodzy, bardowie, tłumacze, artyści, dziennikarze, Białorusini, Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, Cyganie, Polacy, uchodźcy polityczni, bezpieczeństwa, docenci, dyrektorzy, bezrobotni, wierzący, agnostycy, ateści, karani i nie, zwolennicy partii, bezpartyjni, 20- i 70-latkowie, optymiści, realiści, naturalne blondynki, farbowane brunetki i nawet dwóch całkiem łysych autorów.

W ostatni dzień roku w Radiu Swaboda odczytano w eterze wszystkie 365 słów po kolei, co zajęło mniej niż sześć minut – sekundę na słowo.

Pełny tekst słownika ukazał się w białoruskim miesięczniku literackim „Arche”

Nikt nie wie – daleka czy bliska, gdzie się kończy i gdzie zaczyna. Nikt nie wie, czy w ogóle istnieje, czy to nie kolejny miraż w wieloletniej białoruskiej wędrówce przez pustynię.

Przez cały wiek XX była przyjazna albo wroga, ale przede wszystkim niedostępna, ukryta za żelazną kurtyną. Dziś świeci nam jak Gwiazda Zaranna – gdzieś z daleka, z niedosiężnych wyżyn. Wzywa do drogi.

Kiedy tam przyjdziemy, zrozumiemy, że to nie żadna gwiazda świeciła, lecz zwykła latarnia na prawym brzegu Sekwany, na ulicy Żłotników. Ale to tylko dla nich jest zwyczajna latarnia. Dla nas – Gwiazda Zaranna, złote runo, Eurydyka.



ANTANINA CHATENKA
OBLIGACJE

Cienkie papierki, na dłoń szerokie, babcia zawijała w bielusięki lniany gałkanek i wkładała na dno kufra. Tam, gdzie chowała fotografie synów, którzy zginęli na wojnach, i węzełek z ubraniem, które nazywała „śmiertelnym”.

Do kufra ani przystęp – mieszkają w nim los i nadzieja. Klucz od małej kłódki nanizany na jeden sznurek z krzyżykiem babcia nosi za pazuchą.

Od czasu do czasu otwiera w ciszy swój skarbiec, wyjmując pociemniałe zdjęcia i niewidzącym wzrokiem wpatruje się w przeszłość. Potem, jakby dla równowagi, wyciąga z mrocznego zakamarka przewiązany sznurkiem pakunek i czule rozprostowuje zielonkawo-szare papiery podobne do pieniędzy. Uśmiecha się, opowiada, jak dobrze będzie, gdy ktoś dobry i szlachetny odda jej pożyczkę, i to jeszcze z procentem.

Leżały w domu obligacje, nawet kiedy babcia była już wysoko ponad swoimi nadziejami.

Jedna z prawnuczek nadała zwinieć w rulonik papierom własną nazwę – obelgacje. I puściła je kiedyś na wiatr – niech polatają. Wypuszczone na wolność wznosiły się i powoli opadały.

Nieziszczone marzenia, niespełniona wiara. Niedoczekana zapłata. Papierowe nadużycie ludzkiego zaufania. Obelgacje.

WALANCIN AKUDOWICZ
PRZYSTANEK

W życiu miejskiego człowieka, który nie ma własnego samochodu, przystanek zajmuje miejsce niezwykle ważne. Na przystanku koło domu i pracy człowiek bywa częściej niż gdziekolwiek indziej – oprócz domu i pracy. W efekcie najbliższy przystanek zostaje psychologicznie oswojony jako moja własność i niepostrzeżenie staje się pewnym prywatnym terytorium.

I chociaż na przystanku jest zazwyczaj sporo ludzi, to każdy z nich pozostaje sam na sam ze sobą niczym na bezludnej wyspie. Gdzieś indziej zurbanizowany człowiek codziennie dołącza do otwartej przestrzeni wielkiego kosmosu, od którego ostatnimi czasy zawsze odizolują go sufity i sklepienia?

W Mińsku wielu aktywnych uczestników opozycyjnych mityngów po ich zakończeniu milicja i tak zwani panowie po cywilnemu wyłapywali właśnie na przystankach albo w ich okolicy. Może było tak dlatego, że człowiek nigdzie nie jest bardziej odgradzony od innych ludzi, nigdzie nie jest tak samotny jak na przystanku.

Kiedyś, po „gorącej wiosnie” roku 1996, mimo woli zacząłem przysłuchiwać się rozmowie dwóch chłopaków, bo mówili po białorusku. „To mówisz, że na którym przystanku cię zgarnęli?” – spytał pierwszy. „Na Krasnoarmiejskiej” – odpowiedział drugi i też zapytał: „A ciebie?”. „Aż na Warwaszeni”.

Ta rozmowa też miała miejsce na przystanku, koło stacji metra Wschód. Zanim podjechał trolejbus, zdążyłem pomyśleć: dla wielu ludzi z mojego pokolenia ten czy inny przystanek na zawsze zapisał się w pamięci jako miejsce pierwszego spotkania z ukochaną. A ci chłopcy nigdy już nie zapomną ani przystanku „Krasnoarmiejska”, ani „Warwaszeni”. Bo tam po raz pierwszy pozbawiono ich wolności z patriotyzm.

WŁADZIMIER ARLOU
STRYCH

Strych – słowo uwarzone z tajemnic. Na strychu żyją nietoperze i odżywają bajki.

Strych wabi babcinym kołowrotkiem i szablą dziadka.

Strych straszy zarośniętymi pajęczyną krosnami, za którymi w ciągu dnia śpi duch Domowik.

Strych cieszy starymi białoruskimi książkami i kalendarzami.

W Wigilię dziewczęta na strychu przeglądają się w lusterku swojego narzeczonego.

Na strychu rzadko umawiamy się na spotkanie.

Strychy lubią szpiedzy i samobójcy.

Strych straszy, ale też strych ratuje.

Na strychu chowa się zakazana literatura.

Na strychu kryją się ci, którzy występują przeciw władzy.

Ze strychu wychodzi na dach z białoczerwono-białą flagą legendarny Miron*.

Strych to nieodłączna część narodowej konstrukcji świata.

Strych łączy Białorusinów z kosmoem.

My mieszkamy w domu, nad nami mieszka strych, nad strychem – niebo.

* Tajemnicza postać białoruskiej opozycji. W najbardziej niedostępnych miejscach (linie elektryczne, trakcje kolejowe itp.) wiesza zakazane białoczerwono-białe flagi narodowe.

SIARŻUK SOKALAU-WOJUSZ
KRUPNIKWALANCIN AKUDOWICZ
GRAALENA CICHANOWICZ
TOALETASIARHIEJ CHAREUSKI
BANANWALANCIN AKUDOWICZ
NIE MA

Szklanka miodu, szklanka wody, pół litra spirytusu, ćwiartka gałki muszkatołowej, ciut wanilii, troszkę cynamonu, kilka goździków, skórka z cytryny, do tego różne zioła w zależności od gustu kucharza. Jeśli będziecie przestrzegać określonej technologii, po godzinie z tego wszystkiego powinniście uzyskać krupnik.

Na dźwięk słowa „krupnik” większość dzisiejszych Białorusinów wyobraża sobie miskę stawy, którą nasi przodkowie prędzej nazwaliby „krupianką”. Tradycyjnie jednak za krupnik uważano opisany wyżej napój alkoholowy.

Cechy charakterystyczne prawidłowo przygotowanego krupniku: moc w granicach 40 proc., przyjemny smak, zakąska niepotrzebna. Krupnik pije się na gorąco, w przeciwieństwie do wódki nie wywołuje negatywnych skutków ani podczas użycia, ani później. Co najwyżej odejmuje człowiekowi nogi, umysł pozostawiając czystym, a język giętym.

Według językoznawców słowo „krupnik” w tym samym znaczeniu używane jest w Polsce i na Ukrainie, ale najczęściej spotyka się je na Białorusi. Pod koniec XX wieku razem z odrodzeniem narodowym zaczęła się odradzać również tradycja krupniku. Odszukano stare receptury i młodzież z różnych krańców Białorusi zaczęła eksperymentować. Do tradycyjnych składników dodawała miejscowe. W efekcie krupnik połocki różni się od grodzieńskiego czy mińskiego. Na bazie mińskiego krupniku zaczęto w Mińsku robić jeszcze jeden trunek, żyżał, a na bazie połockiego w noc świętojańską przygotowuje się miejscowy pogański napój – Czarny Sys. Narodowa inteligencja lubi krupnik.

A jednak ostatnimi czasy proces odrodzenia krupniku uległ spowolnieniu. Największą winę ponosi sytuacja gospodarcza, która nie tylko zrobiła z krupniku przyjemność kosztowną, lecz także przypomniała amatorom tego trunku, że mieć dziś jedynie głowę to za mało. Mocne nogi też są sporo warte.

Co to, ja Białorusinów nie znam? Białorusin albo pracuje, albo pije wódkę. Jak wypije, może się i pobawić. Ale żeby świądomy Białorusin nie pracował, tylko grał w gry – to się po prostu nie zdarza.

Białorusin może wynaleźć koło, siekierę, młyn. Ale wymyślić szachy czy piłkę nożną, nie mówiąc już o wyścigach karaluchów, nawet by mu do głowy nie przyszło. Mamy chyba tylko jedną narodową grę – w chowanego. Z dawien dawna bawiliśmy się głównie w chowanie się przed różnymi przybyszami. Jak nie w lasach, to w sobie samych. Aż wreszcie tak się pochowaliśmy, że kiedy można już wyjść na zewnątrz, to w żaden sposób sami siebie nie możemy znaleźć.

Białorusin jest pewnie z natury niezdolny do jakiegokolwiek gry, a zwłaszcza do politycznej gry w białoruskie państwo. Każde państwo to gra w prawa i obowiązki między władzą i obywatelami. A Białorusini, zamiast tworzyć swoje drużyny i grać z władzą w białoruskie państwo, zazwyczaj chowają się za firankami.

I tak do dziś żyją jakby nie we własnym domu, lecz w gościach. Żydzi rozrzućeni po całym świecie po dwóch tysiącach lat wygnania stworzyli narodowe państwo, dlatego że przez te dwa tysiące lat grali w swoją grę o regułach wyłożonych w Biblii, pod opieką sędziego, którego zwali Bogiem. Ale Białorusini, jak wiadomo, to nie Żydzi. Białorusini zbyt poważnie podchodzą do życia, żeby grać w życie. A jak uczy historia, jeśli nie umiesz sam się sobą zająć, to zajmą się tobą inni.

A ich generał przyjechał z własnym klozetem. Taka budka dla ptaków, stała u nas na podwórku. Generał siedział w środku, a wartownik go pilnował” – to najbarwniejsze wojenne wspomnienie pewnej Białorusinki, która przeżyła w dzieciństwie niemiecką okupację.

Inna kobieta po powrocie z zagranicy na pytanie: „Co najbardziej panią zachwycało?” odpowiedziała: „Toaleta. Chciałabym tam umrzeć, na tych różowych kafelkach”. Cóż, nie ona pierwsza: zagraniczni turyści, którym przyszło odwiedzić toalety na naszych dworcach, również chcieli umrzeć.

To-a-leta – jak echo Wielkiej Rewolucji Francuskiej – jakoś niemrawo przedziera się przez lesistą Białoruś. Ze wszystkich życiowych potrzeb tutejszych ludzi najważniejsza i najbardziej gardłowa była zawsze potrzeba pracy. Haśło „nic, co ludzkie” realizowano zwykle w mocno okrojonej postaci: damy ze wszystkich toalet najbardziej ceniły waciaki i buty, mydło toaletowe bywało towarem deficytowym, papier toaletowy przez dłuższy czas można było dostać jedynie na legitymację kombatancką.

Za to gazety wychodziły w ZSRR w milionowych nakładach. A publicznych toalet wiecznIE brakowało. Dostępność toalet czyni człowieka wolnym i radosnym. Niedostępność zmienia zaspokajanie potrzeby w egzekucję potrzebą. Dlatego też wielu więźniów i aresztantów pozbawia się toalety. W kacie każdej więziennej celi stał i po dziś dzień stoi – jako symbol brudu, udręki i poniżenia – kibel.

Białoruskie autobusy kursujące po drogach Europy jak dawniej zatrzymują się w lesie, żeby pasażerowie mogli skoczyć na stronę. „Płatna toalety” nadal nas przeraża.

W Brześciu, w strefie przygranicznej, przenośne toalety zamyka się w nocy na kilka godzin. Dalej wszystko zależy od tego, w którą stronę pojedziecie. Tam gdzie ludzie żyją w strachu, śmierdzi kibelem. Tam gdzie stoją toalety, czuć powiew wolności.

Ten tropikalny owoc po raz pierwszy pojawił się na Białorusi w XVIII wieku, kiedy w magnackich rezydencjach zaczęła się moda na egzotyczne oranżerie. Ale nic nie trwa wiecznie, panów wypędzono i skończyły się banany.

Powrócili na białoruskie stoły dopiero w latach 70. XX wieku jako przykład solidarności z narodami Afryki i Azji, które obrały drogę socjalizmu. Jednak obok poczucia dumy z bratnich narodów pojawiło się głębokie rozczarowanie. Mięsz dzwnego owocu pachnący szamponem był tak rozmiękły i kleisty, że z trudem można było rozewrzeć szczęki. W tamtym okresie banany na Białoruś przyjeżdżały zielone i niedojrzałe, by nieruchawy sowiecki handel mógł je długo przechowywać. „Dostać banany” – w latach 70. to powiedzenie oznaczało kupić przez przypadek owoce dobrze znane z książek, ale o nieznanym sposobie użycia. Przedsiębiorczy Białorusini dla przyspieszenia ich dojrzałości kładli je na kaloryferach albo wkładali do zamrażalnika, a potem polewali wrzątkiem.

W roku 1980 podczas olimpiady w Mińsku nareszcie pokazały się dobre, dojrzałe i pach-

nące banany, ale natychmiast zjedli je studenci z tychże bratnich krajów Azji i Afryki.

Pod koniec lat 80. znaczenie słowa „banan” uległo gwałtownemu rozszerzeniu. Banany w uszach – to kac. Banan – spodnie o modnym niegdyś kroju zwężające się na łydkach. Nowe mody!

„Ruski! Big-banan!” – krzyczano do spieszonych Białorusinów w dzielnicach uciech zachodnich stolic. Ten eufemizm jednakże w naszym języku się nie przyjął.

Białoruska młodzież natomiast dobrze poznała to słowo jako synonim milicyjnej pałki. Niejeden demonstrant dostał OMON-owskim „bananem”. Po raz pierwszy takie banany zostały użyte na szeroką skalę w czasie marszu na Kuropaty w roku 1989. Od tamtej pory liczba tych bananów i ich wariantów znacznie wzrosła. Pojawiły się pałki dłuższe i grubsze, z różnymi trzonkami, z paralizatorem elektrycznym i bardzo efektywne z ukrytymi ostrzami rozdzierającymi ubranie i skórę. Białoruś stała się wielką oranżerią milicyjnych bananów.

A dla większości białoruskich dzieciaków banan tak jak wcześniej pozostaje rzadkim przysmakiem.

Parthenides utrzymywał, że jest tylko to, co jest, i nie ma żadnego „nie ma”. Ale człowiek na własne oczy widział, jak przeszłość rozplywa się w braku samej siebie.

Przy czym w każdym języku istnieje pojęcie „nie ma”, ale bodaj żadne z nich nie da się porównać z naszym. I nie oskarżajcie mnie pochopnie o patriotyzm lokalny. To białoruskie „nie ma” nazbyt przesyczone jest wszystkim, co nie zdarzyło się, nie odbyło, nie znalazło. Zbyt wiele w nim tego, co dobrze się zaczynało, ale potem rozplynęło w niebycie.

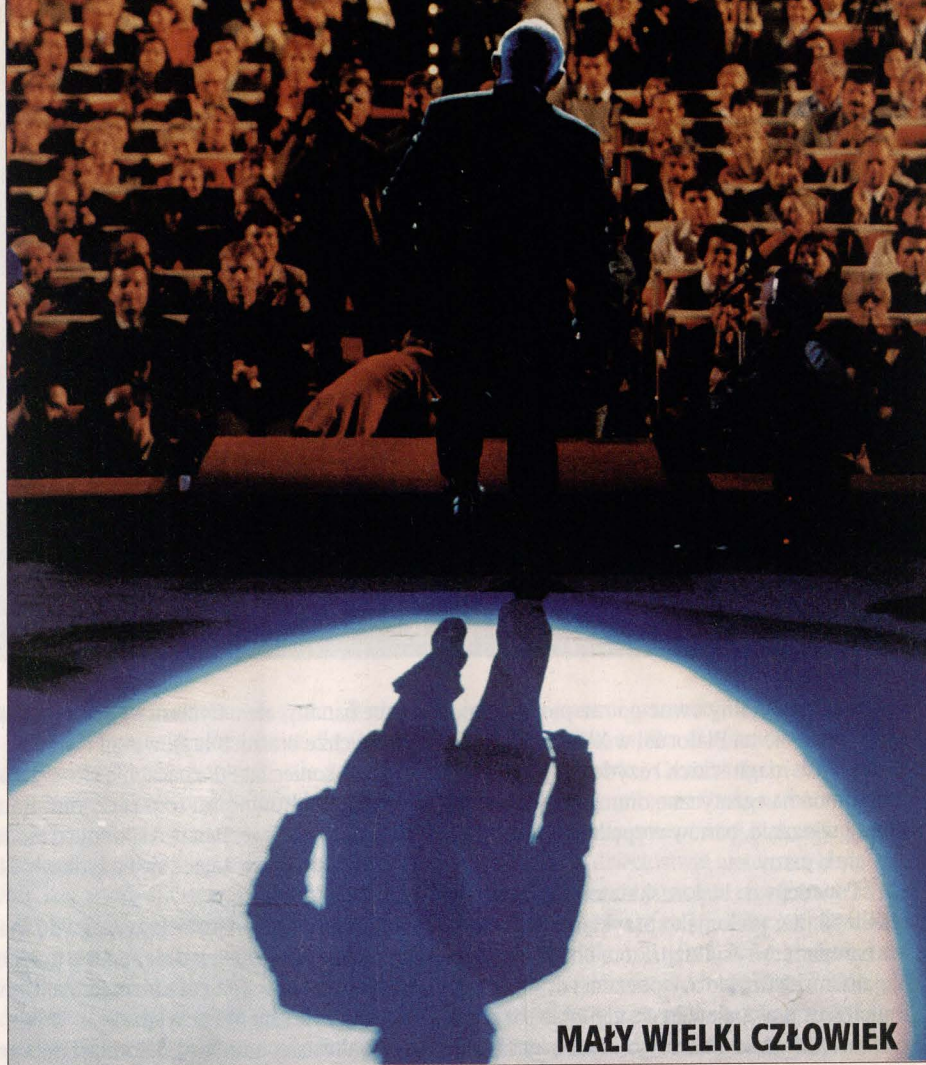
Kiedy inne nacje obrastały w piórka, nas hartowały straty. Dzisiaj bogatsi jesteśmy w „nie ma” niż ktokolwiek inny. Nie ma u nas historii, nie ma języka, nie ma wolności, nie ma porządku i może wkrótce nie będzie nawet państwa. Któż zresztą odważy się z czystym sumieniem powiedzieć o Białorusinach, że są – albo że ich nie ma?

Chociaż, kto wie, może pojęcie to kryje w sobie nie tylko nasz pechowy los, lecz także przeznaczenie? Może właśnie przeznaczenie każe nam realizować się w „nie ma”, które nosimy w sobie już całe tysiąclecie? Ileż żywioł „nie ma” połknął w tym czasie imperiów, narodów i kultur chlubiących się swoimi zdobyczami i zwycięstwami? Dawno nie został po nich nawet ślad. A my, kolekcjonerzy strat i klęsk, spowici we własną nieobecność, wkraczamy w trzecie tysiąclecie może tylko po to, by zaświadczyć, że nasze wielkie „nie ma” jest najpewniejszą drogą wiodącą przez czas i byt.

Tłumaczyła KATARZYNA KOTYŃSKA

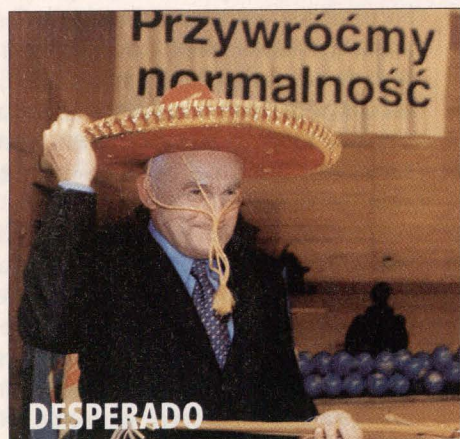
Wybrane fragmenty ukażą się w książce wydawnictwa Czarne „Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem”

Bohater
legnickiego
spektaklu
odegrał już
niejedną rolę



MAŁY WIELKI CZŁOWIEK

FOT. BARTOMIEJ ZBOROWSKI/REPORTER



DESPERADO

FOT. FILIP CWINKE/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER



WIELKI SZU

FOT. FILIP CWINKE/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER



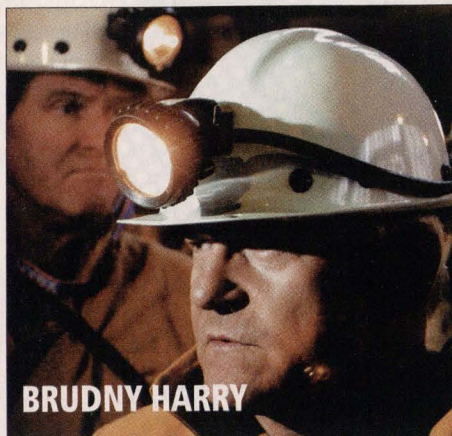
FACECI W CZERNI

FOT. WITOLD RZEBICKI/REPORTER



WIELKI BŁĘKIT

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTUM



BRUDNY HARRY

FOT. RAFAŁ KLIMKIEWICZ/REPORTER



DWOJE NA HUŚTAWCE

FOT. FILIP CWINKE/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Premiera premiera



„Obywatel M” – czas próby

FOT. ANDRZEJ LUC

Autor sztuki
„Obywatel M – historia”
odbiera głuche telefony.
Premier M. pytany o nią
czerwieni się.
Wszystko się wyjaśni
6 kwietnia w teatrze.
Tylko „Przekrojowi”
scenarzysta i reżyser
uchylają rąbka tajemnicy...

**Zaczynamy
od końcowego
fragmentu
sztuki.
Leszek M.
występuje
w niej
jako Ludwik**

Na pustą scenę wychodzi dwóch
LUDWIKÓW ubranych w garnitury,
LUDWIK W. i LUDWIK. Nasz LUDWIK
trzyma w ręku kontakt elektryczny.

LUDWIK: Jaki masz problem, Ludwik, z tym kontaktem?
LUDWIK W.: Nie umiem go podłączyć.
LUDWIK: Przecież to jest proste. Jeden kabel podłączasz do jednego styku, a drugi do drugiego, a masę pozostawiasz wolną.
LUDWIK W.: A która to jest masa?
LUDWIK: Brązowa.
LUDWIK W.: A nie biała?
LUDWIK: Białą to masz siłę.
LUDWIK W.: Eeeee?
LUDWIK: Ludwik, ja ci wytłumaczę od począt-

ku. I nie gadaj, że ty kontaktu nie umiesz podłączyć, bo ja widzę, że prąd to ty dawno zrozumiałeś.
LUDWIK W.: Tłumacz.
LUDWIK: Od punktu A aż do punktu B płynie sobie prąd. Nawet kiedyś taką piosenkę napisałem.
LUDWIK W.: No i co?
LUDWIK: No i przecinasz ten przewód i tam montujesz gniazdko w ten sposób, jak już ci tłumaczyłem.
LUDWIK W.: No tak.
LUDWIK: A z dołu to biegnie ci jakby taki drugi przewód.
LUDWIK W.: No.
LUDWIK: I to jest przewód fazowy, tak zwana faza, czyli przewód jaki?

LUDWIK W.: Zasilający.
LUDWIK: No właśnie. I ta siła ci płynie, a ty masz w rękach kontakt.
LUDWIK W.: No mam.
LUDWIK: No i jak pstrykniesz, to przerywasz obwód i siła, czyli prąd, nie płynie, a jak pstrykniesz z powrotem, to znowu uruchamiasz siłę, rozumiesz, prawie jak Bóg.
LUDWIK W.: No, łapię.
LUDWIK: Więc jak chcesz, żeby świeciło, to wystarczy pstryknąć.
LUDWIK W.: No tak.
LUDWIK: A jak nie chcesz, żeby im świeciło, to wystarczy pstryknąć i zobacz, co się dzieje.
LUDWIK (pstryka i zapada ciemność).

KONIEC

Z notatnika scenarzysty

Wszystko zaczęło się w Starej Miłosnej, gdzie mieszkam, koło Wesołej, niedaleko Radości. Właśnie odebraliśmy nagrodę w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego za „Balladę o Zakaczawiu”. Opiliśmy sukces. Zaprosiłem cały legnicki teatr do mnie na grilla. Grilla kupiłem w promocji za dwadzieścia złotych, węgiel i kiełbasa też z promocji. Moje córki z wiankami na głowach pośród kwitnącej koniczyny płaśły z aktorkami. Wyglądały jak anioły. Lekko nietrzeźwy rozmawiałem z Jackiem Głombem.

– Co będziemy teraz robić?

– Coś współczesnego.

– OK.

Kilka dni później byłem w Gdańsku w odwiedzinach u mojego przyjaciela astrologa Piotra. Rozmawialiśmy o fraktalnej budowie rzeczywistości, kiedy zadzwonił mój telefon komórkowy. Po drugiej stronie słuchawki usłyszałem entuzjastyczny głos Jacka Głomba, który spytał, czy chcę pisać o M.

– O Arturze M.?

– Nie, o Leszku.

– Wchodzę!

Co ja wiem o M?

Kiedy wracałem pociągami z Gdańska do Warszawy, zacząłem się zastanawiać, co ja wiem o M., i natychmiast doszedłem do wniosku, że nic oprócz kilku powszechnie znanych faktów z jego życiorysu. Może pośpieszyłem się z tym „wchodzę”? Postanowiłem poszerzyć swoje polityczne horyzonty. Kiedy dojechałem do Warszawy, od razu udałem się do Empiku przy Nowym Świecie. W informacji pytam panią, czy są jakieś książki o M.

– O Arturze M.?

– Nie, o Leszku. Nazwisko to samo, reszta nie.

– Chwileczkę, muszę wejść w komputer.

Weszła w komputer, ale przedtem miałem wrażenie, że popatrzyła na mnie z dezaprobatą czy jakoś tak.

– Są dwie, ale jednej już chyba nie ma, a z drugą ma pan szczęście, bo został ostatni egzemplarz.

Obejrzy pan spektakl o sobie?

Następnego wieczoru oglądałem „Monitor Wiadomości” w telewizji, bo rozmawiali z M. Po lekturze książek patrzę na niego nieco inaczej. Premier jest czarujący i rozluźniony, do momentu kiedy rozmowa zaczyna toczyć się mniej więcej tak:

Dziennikarz: – Czy często chodzi pan do teatru?

M (*lekko zmieszany*): – No, raczej obowiązki mi nie pozwalają. Bardzo rzadko.

Dziennikarz: – A czy wie pan, że teatr w Łom-

ży przygotowuje o panu spektakl pod tytułem „Niesamowite przypadki Leszka M”?

M (*czerwony jak znane warzywo*): – Nie wiedziałem. A co to za teatr?

Dziennikarz (*patrzy w kartki i widać, że nie wie, co odpowiedzieć*): – Na pewno jakiś eksperymentalny. (*Zorientował się nagle z kartek, że popełnił gafę*). Przepraszam, nie w Łomży, ale w Legnicy. (*M nadal jest czerwony*). Obejrzy pan spektakl o sobie?

M (*trochę mniej czerwony*): – Jak taki spektakl powstanie, to przyjadę na niego na pewno.

Wyłączyłem telewizor i zacząłem się bać.

Cisza po drugiej stronie telefonu

W nocy obudził mnie telefon. Podniosłem słuchawkę, ale nikt po drugiej stronie się nie odezwał. Czyżby M już wiedział, że to ja? Długo nie mogłem zasnąć. Chyba żałowałem wtedy, że nie piszę o Kuroniu.

Niedługo później wysłałem do Legnicy gotowy konspekt scenariusza. Jackowi się spodobało. Co z tego, skoro sztuki nie było, bo jej nie pisałem, a zbliżał się koniec roku.

Postanowiłem chwycić byka za rogi. Zadzwoniłem do ojca, żeby przysłał mi obiecane białe biurko, gdyż jedynym stołem w moim domu jest stół w jadalni, wokół którego skupia się życie rodzinne, czyli żona i dwie córki, które nigdy nie przestają hałasować. Biurko ustawiłem w sypialni, a potem przez miesiąc nie spałem.

Ryba i ślimak w jednym stoją domu

Pod koniec stycznia rękopis sztuki o Ludwiku – bo tak w końcu ochrzciłem, czy raczej przechrzciłem, Leszka – był gotowy. Czułem tylko pewną niechęć do mojego aparatu telefonicznego, gdyż w trakcie tego minionego miesiąca ilość telefonów wykonanych do i odebranych od Jacka osiągnęła liczbę dziwną. Ja dzwoniłem, ilekroć wpadłem na kolejny „genialny” pomysł, a Jacek oddzwaniał, bo też „genialne” pomysły miewał. Ja wolałem swoje.

W końcu zjawiłem się w Teatrze Modrzejewskiej z rękopisem pod pachą. Janusz Chabior, aktor z Legnicy, powiedział mi, że w jakimś morzu żyją razem ryba i ślimak. Ślimak jest ślepy, ale potrafi wic gniazda; ryba gniazda nie umie sobie zbudować, ale za to doskonale widzi. Więc ta ryba mieszka z tym ślimakiem w jego domu, a w zamian zabiera go na spacer. Nikt nie wie, czy się lubią, w każdym razie wydają się dobrze uzupełniać. Do dzisiaj nie mam pojęcia, co Janusz miał na myśli, kiedy mi to mówił. Zresztą nie było już o czym myśleć, bo za kilka dni zaczynały się próby...

MACIEJ KOWALEWSKI

Antyczne złośliwości

Pod koniec V wieku przed Chrystusem Ateńczyk Kleon był jednym z najbardziej wpływowych polityków, odnoszącym sukcesy w wojnach ze Spartą. Powiadano o nim, że demokrację cenil ponad wszystko i że bardziej był lojalny wobec ludu niż wobec najbliższych przyjaciół.

Arystofanes w komedii „Jeźdźcy” ukazał Kleona jako skorumpowanego oraz pozbawionego jakichkolwiek zasad moralnych tchórza i karierowicza. Nie był to zresztą jego pierwszy atak na tego polityka. Dwa lata wcześniej Kleon wytoczył nawet poecie proces za obrazę. Arystofanes nie był też wynalazcą komedii politycznej. Za tego uchodził Kratynos. On z kolei atakował bezlitośnie Peryklesa, być może najsławniejszego przywódcę demokratycznych Aten, twórcę klasycznych budowli na Akropolu, hojnego sponsora poetów i artystów. Kratynos wyśmiewał cebulowatą głowę Peryklesa, oskarżał go o lekkomyślność i uleganie wpływom sławnej i ekscentrycznej kochanki Aspazji – była od niego mądrzejsza, nauczała wszak retoryki i prowadziła uczone debaty z samym Sokratesem. Arystofanes po latach kontynuował seksistowskie ataki Kratinosa i przypisał nawet Aspazji winę za rozpętanie bratobójczych wojen peloponeskich pomiędzy Atenami a Spartą.

Kilka razy próbowano wprowadzić w Grecji cenzurę, ale instytucja się nie przyjęła. Zarówno poeci w teatrze, jak i mówcy podczas procesów sądowych wyzywali się bez ogródek, i to w czasach największych kryzysów i zagrożeń. Trudno dziś osądzić efekty owych krytyk. Sztuki Kratinosa nie zaskodziły chyba zbyt wiele Peryklesowi, bo pod koniec życia ponownie został wybrany na wodza, a zmarł podczas zarazy. Kratynos tymczasem na starość potwornie się rozpił, dał nawet temu zadziwiające świadectwo w swojej ostatniej sztuce pt. „Flaszka”.

Nie wiadomo, jak Kleon zareagował na „Jeźdźców” Arystofanesa. W dniu premiery był przecież najpotężniejszym człowiekiem w państwie. Może dlatego żaden rzemieślnik nie odważył się wykonać teatralnej maski z jego podobizną.

Ateńczycy nie wzięli sobie jednak przelania komedii Arystofanesa zbyt do serca, bo w następnym roku ponownie wybrali Kleona na najzaszczytniejsze stanowisko w państwie i dalej walczyli ze Spartą.

A Arystofanes? Pisał kolejny dramat... tym razem przeciwko filozofom.

MIROSLAW KOCUR

Z notatnika reżysera

5 lutego 2002. Wreszcie zaczynamy próby. Biorę tutaj głęboki oddech, bo nie było lekko doprowadzić do tego momentu. Najpierw przecież musieliśmy ustalić, co Maciek ma pisać i w jakiej teatralnej przestrzeni rzecz się ma odbywać.

Ustalamy więc (tu niezmiernie pomógł Irek Guszpit, teatrolog z Wrocławia, nasz „konsultant programowy”), że opowieść o M jest i nie jest o tym właśnie M. Tłumaczymy to tak. Niezależnie od faktu, u zarania pomysłu były konkretne, jednostkowe cechy, zdarzenia, sytuacje – szybko okazało się, że tak naprawdę są bardziej typowe niż wyjątkowe. I nie ma tu znaczenia żaden konkretny moment historii. To tylko kontekst, zmienny i ulotny jak moda na tego czy innego naczelnika Jedynie Słusznej Partii. Dlatego tak rozumiana opowieść musi się kojarzyć z moralitetem – przypowieścią na temat uniwersalnych prawideł losu ludzkiego, w którym nasz M (Man – człowiek) jest Każdym.

Każdego otaczają postaci-maski kształtujące jego osobowość i towarzyszące mu w życiu. To rodzina – Matka, Wujkowie, Ciotki, Sąsiadka. To inżynierowie dusz i autorytety – Ksiądz, Profesor, Naczelnik, Dyrektor, Kolega z Komitetu. To wreszcie środowisko – Przyjaciel, Koleżanka, Dziewczyna, Kochanka.

Wreszcie przydzieliliśmy naszemu M. Anioła Stróża. Kim jest? Losem, sumieniem, wszechwiedzą?

Anioły są bezpłatne

Irek Guszpit wypisuje z mądrych książek cechy Anioła Stróża:

– że troszczy się o duszę i ciało podopiecznego;

– że jest dyskretny i delikatny w działaniu;

– że wyjątkowo ukazuje się w widzialnej postaci, najczęściej jednak działa na zmysły i wyobraźnię jako natchnienie podczas snu lub na jawie;

– że działa w sferze naszych wspomnień, oddala niebezpieczeństwa, o których istnieniu często nie mamy pojęcia;

– i – co dla nas szczególnie ważne – nie zawsze zapobiega nieszczęściu i złu ani nie może przenikać tajemnic boskich i myśli ludzkich.

Zupełnie serio czytamy głośno te złote myśli Anicie Poddębniak, która gra Anioła. W tym, że gra go kobieta, nie ma żadnego podtekstu. Przecież anioły są bezpłatne albo ponadpłaciwe.

Przez kilka dni gadamy o istocie Komitetu. Jak wiadomo, ten najważniejszy nazywał się (sto lat temu) Centralny. Chcąc uciec od jednoznaczności, wymyślamy różne nazwy budujące hierarchię komitetów. Duży i Mały, Okręgowy i Terenowy. W końcu pada na Naczelnego i Podrządnego. Takie zderzenie pojęć dobrze oddaje wzloty i upadki naszego bohatera.

W co ubrać M?

Jakoś tak na początku prób jadłem obiad z profesorem Jerzym Limonem, prezesem fundacji Theatrum Gedanense, która za cel postawiła sobie upowszechnianie Szekspira; co roku organizuje w Gdańsku znane festiwale. Profesor sugeruje mi, jaką rolę w spektaklu o M odgry-

wać winien stróż. Przywołuje „Życie Galileusza” Brechta i postać Papieża, który w sztuce rośnie i nakładając coraz to nowe szaty, staje się coraz bardziej okrutny. Faktycznie, racja. W przypadku M to będą przede wszystkim mundury, swetry, garnitury... Jezus Maryja, ileż garniturków będziemy musieli uszyć...

Najpierw wysłałbym wywiadowców

Kancelaria M. milczy. Ze znacznym wyprzedzeniem i absolutną elegancją złożyliśmy tam zaproszenie, którego fragmenty cytuję:

„Tego typu przedsięwzięcia literackie nie są niczym nowym, tak postępują artyści od wieków, wzbudzając społeczne emocje. Nasza opowieść teatralna jest nie tylko historią bohatera, ale także próbą opisanego kilkudziesięciu lat historii Polski. To nie jest rzecz tymczasowa, to jest rzecz o świecie, który był i jest” (...).

Nie nalegam na szybką odpowiedź. W końcu na miejscu tego konkretnego M najpierw wysłałbym wywiadowców.

Kolega zrozumiał prąd

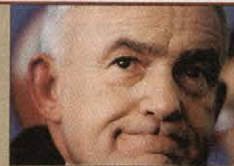
Wiecej tajemnic o tym, jak przygotowywaliśmy spektakl o M, nie zdradzę. Muszę tak postąpić, bo taką przysięgę złożyłem Aniołowi Stróżowi, który wyszedł, hmmm... z komputera i pogroził mi palcem.

Do zobaczenia na spektaklu, opowieści o wciąż mnożących się Ludwikach.

Niektórzy mają na imię Leszek.

JACEK GŁOMB

Teatr władzy

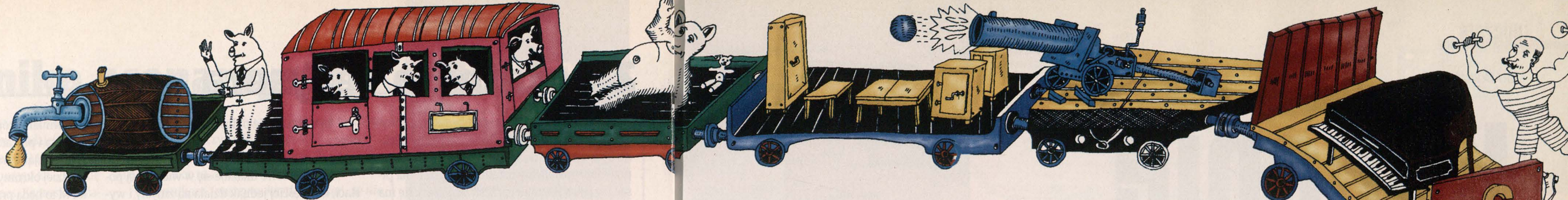


Gastona Salvatore'a „Stalin”, gdzie bierze lekcję gry od starego żydowskiego aktora. W dramaturgii polskiej, niestety, gada dość tylko, jak dziad do obrazu, bohater „Portretu” Mrożka. Natomiast KC jako ciało zbiorowe w akcji prezentowane przez Szatrowa w sztukach, z których tytułem wyróżnia się „Dyktatura sumienia”, nie przetrwało pieriestrojki.

Na zgnilym Zachodzie teatr faktu (tym razem autentycznego) odżył w gorących latach 60. Często masowo rekonstruować co bardziej złowieszcze epizody XX wieku: sprawę Sacco i Vanzettiego (Weideli), morderstwo Trockiego (Enzensberger), zamach na Sikorskiego i milczenie Piusa XII podczas Holocaustu (Hochhuth), przesłuchanie J.R. Oppenheimera i proces Eichmanna (Kipphardt), tchórzostwo Brechta podczas wypadków berlińskich 1953 (Grass), budowę muru berlińskiego (Hauser), zabójstwo Malcolma X (Conteris). Niepobitym wciąż rekord aktualności jest pamflet „Mac Bird” Barbary Garson (1966), gdzie prezydent L.B. Johnson na wzór Makbeta morduje braci Kennedych.

Dramaturgię faktu przeciwstawia się zwykle dramaturgii modeli, gdzie mechanika władzy ważniejsza jest od nazwisk. „Alfa” Mrożka odbywa się bez nazwiska Wałęsy. Jan Maciej Karol Wścieklica Witkacego nie musi nosić krawata w biało-czerwone paski. Każdy obsadzi bez trudu postaciami z pierwszych stron gazet „Demokrację” Brodskiego, „Prezydenta” Bernharta, a zwłaszcza „Franka V – operę bankierską” Dürrenmatta: „Balansujemy na krawędzi, jedna błędna akcja, zbyt przejrzysty bilans i spadamy w przepaść”. Może nie?

jagon



Pára jí dmýcha z horkého břicha...

Wszystko wskazuje, że wjedziemy do zjednoczonej Europy „Lokomotywą”. Arcydzieło Tuwima robi po latach międzynarodową karierę, mnożą się przekłady. Rozmawiamy z autorem najświeższego tłumaczenia na czeski profesorem UJ JACKIEM BALUCHEM, byłym ambasadorem RP w Pradze

LESZEK MAZAN: Panie Profesorze, skąd ten nagły wysyp „Lokomotyw”?

PROF. JACEK BALUCH: Rzadko się zdarza w światowej literaturze, by znakomity, uznany poeta pisywał tak wspaniałe wiersze dla dzieci. Tuwim stworzył autentyczne arcydzieło polskiej poezji dziecięcej i chyba – przy całym szacunku dla „Litwo, ojczyzno moja...” – „Lokomotywa” to wiersz najbardziej wśród nas znany i popularny. Pamiętam, jak przed dwoma laty, w czasie przyjęcia po cieszyńskim festiwalu „Kino na granicy”, powiedziałem do Jifego Menzla, że Polacy mają do jego „Pociągów pod specjalnym nadzorem” stosunek szczególny, bo kochają lokomotywy. I pewny reakcji obecnych zacząłem deklamować: „Stoi na stacji lokomotywa...”, a cała sala natychmiast podchwyciła: „...ciężka, ogromna i pot z niej spływa”.

Może należałoby wysłać mu teraz tę czeską „Lokomotywę”?

– Już to zrobiłem.

To tłumaczenie to Pańska inicjatywa?

– Z inicjatywą wydania „Lokomotywy” w języku potomków praojca Czecha zwróciło się do mnie wydawnictwo Universitas. Jego dyrektor Andrzej Nowakowski słyszał na targach książki we Frankfurcie powszechne i ogromne zachwyty nad „Lokomotywą” – wierszem, jak powszechnie tam sądzono, niemieckim. Tak znakomite było tłumaczenie! Jest już, jak się dowiedziałem, również przekład na niderlandzki, nie wyobrażam sobie, by nie było rosyjskiego, będzie francuski i hiszpański. Będzie i hebrajski, choć osobiście sądzę, że właściwszy byłby jidisz, zrozumiały dla kogoś, kto zna niemiecki.

To chyba piekielnie trudna robota – przekładać tego typu wiersze – rytmiczne aż do bólu, dźwiękonaśladowcze, reprezentatywne dla melodii polskiego języka. Jak przetłumaczyć to: „Nagle gwizd, nagle świst, para buch, koła w ruch...”?

– No, to jeszcze nie było najtrudniejsze, bo przypomniał mi się stary i trochę brzydki,

przepraszam, czeski dowcip: Ktoś się wychyla z okna pociągu na peronie i woła: „Hoto-vo!”. Na co urażony w kompetencjach konduktor prostuje: „Hovno hotovo, ja jsem od toho!”. I wyszło: „Náhle svist! Náhle hvizd! Do to-ho... Hotovo!”.

Okrzykiem do to-ho Czesi dopingują swoich na boisku czy bieżni.

– Na szczęście, bo mi się to okrutnie przydało.

„Buch” i „ruch” już Pan zjadł. Banany – cały wagon – też.

– Ha, nie wszystko da się zmieścić w naprawdę trudnym rytmie i rymie. W moim tłumaczeniu nie ma bananów, nie ma słonia, żyrafy, ale jest za to znacznie większy niż w oryginale niedźwiedź („w devátém medvěd – metráky sádla!”). „Kufry, szafy i skrzynie” zastąpi stojak na bagaże. No bo skříň to po czesku szafa. Atletów też było u Tuwima więcej niż u mnie:

„I choćby przyszło tysiąc atletów,
I każdy zjadłby tysiąc kotletów,
I każdy nie wiem jak się wyteżał,
To nie udźwigną. Taki to ciężar!”
Te kotlety kosztowały mnie sporo zdrowia, bo się nijak w dopełniaczu liczby mnogiej nie chciały rymować.

Może trzeba było zastąpić knedliczkami?

– Lepsze były serdelki, czyli buřty. Liczbę atletów można było zmniejszyć do 300, poecie używającemu liczby „tysiąc” chodziło przecież tylko o demonstrację siły. Ze starego wiersza czeskich anarchistów o uniesionych w geście protestu ramionach wziąłem 300 (paři) podnoszących naszą lokomotywę:

„I kdyby třista vzpěračů vstalo
I kdyby třista paři vzhůru se vzpálo,
A každé zbařtil by buřtu třista,
Lokomotivu nepohnou z místa”.

Nawiasem mówiąc, takich maleńkich słownych zapożyczeń, a właściwie inspiracji z czeskich piosenek biesiadnych – a nawet z tłumaczonej na czeski starej, amerykańskiej ballady – jest w moim przekładzie więcej. No, ale przekład ma być przecie zgodny i z duchem języka, i z duchem narodu. I tak się Tuwimowski wiersz szcieszczył.

To dlatego czeska lokomotywa w książeczce dla dzieci ciągnie cały wagon z piwem?

– Dlatego. Piwo to tam napój narodowy, dzieci przynoszą je w dzbankach tatusiom z gospody. Gdyby Tuwim pisał ten wiersz po czesku – ręczę, że o piwie by nie zapomniał. Zwłaszcza w trzecim wagonie, w którym

„...sami špekouni sedí
Sedí a tlusté špekáčky jedí”.
Špekáčky, czyli rodzaj ulubionych kiełbas, musi się jeść z piwem, inaczej czeskie dziecko natychmiast wyczuje fałsz. A ta „armata – och, jaka wielka” to w moim tłumaczeniu těžká barbora – jak Czesi nazywają Grubą Bertę. Tego sobie nie daruję, choćby dlatego, że mam córkę Basię.

Panie Profesorze, jako tłumacz może Pan sobie zmieniać prawie że do woli, ale tekst, osobiście dla dzieci, musi się zgadzać z obrazkiem.

– I to jeszcze jak wiernie! Kiedy Bohdan Butenko ilustrował „czterdzieści szczygłów” to miał świadomość, że dziecko je natychmiast policzy, i rysował dokładnie 40. W wypadku „Lokomotywy”, ponieważ nowy ilustrator nie bardzo był do tej prawdy przekonany, sięgnęliśmy po stare, piękne ilustracje Jana Marcina Szancera i za zgodą spadkobierców dokonaliśmy niezbędnych korekt.

I poszło?

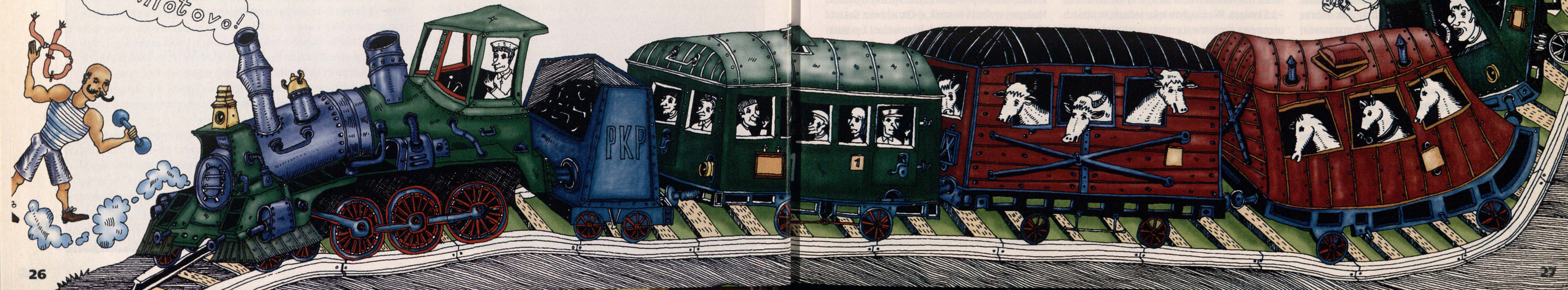
– Od końca. Najtrudniejsze wydało mi się osiem ostatnich wierszy i kiedy napisałem, że

„Na písty tlačí tak tlak,
Tlakem té páry se pohání vlak,
Kola se točí a rachotí to:
Do toho, do toho, do toho, do!...”,
wiedziałem już, że mogę podpisać umowę z wydawnictwem. No, a teraz tylko kwestia, czy „Lokomotywa” w nowym tłumaczeniu (bo już raz przełożył ją Czech Jan Pilarz) spodoba się i czeskim dětem, maminkám, tatinkům czy babičkam.

Rozmawiał **LESZEK MAZAN**
Rysunek **IGNACY CZWARTOS**

Náhle svist i Náhle hvizdi

Do toho... Hotovo!



Klikanie w islamie

Po co nawracać niewiernych na islam zbrojnie, skoro można to robić za pomocą Internetu? Bóg islamu czuje się w sieci jak u siebie w domu

Amerykanka Trish niedawno przeszła na islam. Miała wyjść za mąż za Egipcjanina i wyjechać z nim do Arabii Saudyjskiej. Gnębiło ją pytanie, czy w nieznanym kraju będzie się umiała zachować jak dobra muzułmanka. Znalazła w Internecie stronę Yahoo, wstukała adres klubu dla muzułmank i poprosiła o radę. Pospały się odpowiedzi.

Sara z Emiratów Arabskich napisała: „Bierz jedzenie i jedź prawą ręką; lewa służy do toalety. Wchodząc do pokoju, w którym jest dużo kobiet, znajdź najstarszą i najpierw pocałuj ją w policzki, a potem powitaj się z innymi. Pytaj: »Jak się masz? Jak się ma twój ojciec? Twoja mama? Twoi bracia i siostry? Twój syn w Ameryce?«. Jeśli siedzisz z Palestyńczykami, nie podnoś tematów politycznych. To samo zapewne dotyczy Egipcjan. Mów o pogodzie, ślubie, Ameryce. Gdy jesteś w gościach i gospodarze nalegają, żebyś została u nich kolejne sześć godzin, przypomnij im, co powiedział prorok Mahomet: że najlepsza jest krótka wizyta”.

Trzy dni później Sara zaniepokoiła się jednak losem Trish i wysłała kolejny list: „Jak dobrze znasz swojego przyszłego męża? Porozmawiaj z nim, czego oczekuje od ciebie po ślubie. Czy będziesz mogła siedzieć w obecności jego braci? Iść sama na targ? Czy weźmie sobie inną żonę? W jaki sposób zostaną wychowane wasze dzieci?”.

Klub, do którego trafiła Trish, jest jednym z ponad 250, jakie stworzył dla muzułmanów portal Yahoo. Mężczyźni mogą spotkać się z kolegami w klubie męskich przyjaźni, kobiety pogawędzić w klubach dla sióstr albo zajrzeć do wirtualnego sklepu ze strojami odpowiednimi dla muzułmank.

Internet, w którym aż roi się od stron poświęconych sprawom islamu, przypomina orientalny bazar. Można znaleźć i wschodnie przepyszne dywany, i podróbki zachodnich firm, i męża, i ha-

szysz. Można pogadać na czacie, poczytać o islamie, dowiedzieć się, co słychać w Pakistanie i Maroku, zerknąć do gazet w Omanie i Egipcie.

Muzułmanie świetnie się czują w tej wirtualnej rzeczywistości. Łączy ich religia, język, obyczaje, a ponadto należą do *ummy*, czyli wspólnoty i – przynajmniej teoretycznie – ważniejsze powinno być dla nich, że są muzułmanami, a dopiero w drugiej kolejności – Egipcjanami, Pakistańczykami czy Indonezyjczykami.

Niemoralna kafejka

Władze krajów muzułmańskich mają z Internetem kłopot. Z jednej strony boją się rozbuchanej wolności słowa, z drugiej – pociąga je dostęp do informacji naukowych czy handel elektroniczny. I dlatego od kilku lat rzeczywistość wirtualna podbija ziemię islamu – choć z ograniczeniami.

W Iranie dzięki liberalnej polityce prezydenta Chatamiego powstały w końcu lat 90. setki kawiarenek internetowych, w samym tylko Teheranie – 1,5 tysiąca. W ubiegłym roku jednak, w ramach ofensywy konserwatystów, zamknięto ponad 400 z nich. Arabia Saudyjska zainstalowała filtry *firewall*, dzięki którym może blokować nieprawomysłne strony. Przeciętny Saudyjczyk nie ma dostępu do około 400 tysięcy stron. Spory szum wywołało zamknięcie dwa lata temu kafejki internetowej dla kobiet w Mekce. Podobno używano jej w celach niemoralnych. Na czarnej liście państw blokujących dostęp do wirtualnego rogu obfitości jest też między innymi Syria, Irak, Tunezja.

Uczeni islamscy biedzą się, czy w ogóle Internet jest w muzułmańskim świetle *halal* (dozwolony), czy *haram* (zakazany). A co z czatem? – przecież zdarza się tam tyle nieprzyzwoitości. Czy można się rozwieść za pomocą Internetu?

– Prawo koraniczne nie zabrania rzeczywistości wirtualnej – uważa Hichem Elarafa, dyrektor Instytutu Studiów Islamskich w Paryżu. Nie wszyscy uczeni są tego samego zdania.

Wśród duchownych muzułmańskich są też zapaleni internauci. Odkryli, że Internet to doskonałe narzędzie rozpowszechniania wiedzy o islamie. Najlepiej wyłożył to szejik al-Qaradawi z Kataru, idol młodych europejskich islamistów i fan Internetu: „Islam Online – napisał o stronie, którą założył – niesie posłanie islamu na cały świat”. Po co nawracać niewiernych zbrojnie, skoro można to robić za pomocą Internetu i telewizji satelitarnej?!

Kwitną strony internetowe wyjaśniające, czym jest islam, prezentujące jego historię, a także strony proponujące porady religijne i usługi islamskie. Bogobojny muzułmanin może na nich znaleźć listę produktów *halal* dostępnych w amerykańskich supermarketach, a także skalkulować *zakat* – przepisany przez islam dobrowolną darowiznę na biednych (jej wysokość zależy od dochodu). Może zapłacić *zakat* kartą kredytową czy nawet przez Internet kupić owcę dla potrzebujących.

Jeśli pobożny muzułmanin ma wątpliwości, jak się w jakiejś sytuacji zachować, może zwrócić się o fatwę, czyli poradę, do biegłego w Koranie uczzonego. Na wielu islamskich stronach internetowych znajduje się „zaulek fatw” (*fatwa corner*).

Fatwa to nie klątwa, jak często sądzą Europejczycy, lecz opinia prawna. – W islamie sunnickim nie ma instytucji, która by była jedyną wykładnią – tłumaczy Baudouin Dupret, francuski prawnik i uczony pracujący w Egipcie. – Nie ma Watykanu ani papieża. Uczeni w islamie mogą dawać tylko porady. Może to robić każdy mufti, zaś muzułmanin wybiera sobie taką radę, jaką chce.

Pytania do szejka

Ponieważ życie pobożnego muzułmanina powinno być przepełnione islamem, dlatego pytania do internetowego szejka ze stron al-sunnah.com czy islamonline.net są bardzo szczegółowe:

– W mojej łazience wisi zasłonka w motylki. Mam wątpliwości, czy to dobrze, bo przecież zakazane jest wieszanie na ścianach obrazów ży-

wych istnień. Czy mam zdjąć zasłonkę? (Lepiej zdjąć).

– Czy muzułmanin może obchodzić walentynki? (Obchodzenie świąt niemuzułmańskich jest zakazane).

– Czy kolorowe szkła kontaktowe są dozwolone w islamie? (Tak, o ile nie ranią oczu).

– Czy sztuczne zapłodnienie jest dozwolone? (Tak, pod warunkiem że używa się do tego spermy męża).

– Co islam mówi na temat nadwagi? (Prorok powiedział: człowiek powinien napełniać żołądek w trzeciej części pożywieniem, w trzeciej – napojem, a trzecią część pozostawić pustą).

– Czy ruch feministyczny jest zgodny z islamem? (Nie jest).

Wydanie fatwy wymaga niebywałej wiedzy. Trzeba na przykład wiedzieć, że przebijanie uszu jest zgodne z islamem (bo upiększa kobietę), a brzucha – niezgodne (bo bezzasadnie kaleczy ciało). Trzeba znać cały Koran i w dodatku hadisy, które opowiadają, jak w takiej czy innej sytuacji zachował się i co mówił Mahomet. Jednak Mahomet

mówił różne rzeczy, zależnie od sytuacji. Koran naszpikowany jest sprzecznościami. Dlatego i fatwy dotyczące jednego problemu bywają różne.

Wiele fatw dotyczy spraw dość – wydawałoby się – odległych od islamu. Zijad, księgowy z Egiptu, cierpi katusze, gdy ma w pracy dokonać prezentacji: „Czuję, że wszyscy na mnie patrzą, zapominać słów. Jak z islamskiego punktu widzenia mogę rozwiązać ten problem?”. „Powinieneś udać się do psychiatry – radzi szejik. – Ale też pogłębić wiarę w siebie poprzez rozmowy z dobrymi ludźmi oddanymi pracy charytatywnej”.

Szerif z Wielkiej Brytanii mąż bez przerwy poucza, na co ma wydać zarobione przez siebie pieniądze. Czy słusznie? Szejik stawia sprawę jasno: według islamu kobieta ze swoimi pieniędzmi może robić, co chce.

W większości państw muzułmańskich obowiązuje prawo, które jest mieszkanką prawa koranicznego oraz europejskiego. Werdykt miejscowego sądu nie zawsze zadowala osoby głęboko wierzące. Syn pewnego bogobojnego muzułmanina zabił w wypadku samochodowym ośmioletnie



FOT. AP

Kawiarnia internetowa, hotel Riyadh w stolicy Arabii Saudyjskiej

dziecko. Sąd państwowy zasądził od niego odszkodowanie w wysokości tysiąca dolarów. „Czy jest coś jeszcze, co w świetle islamskiego prawa powinien zrobić mój syn?” – pyta szejka zmartwiony ojciec. (Tak – dwa miesiące postu i, jeśli tego sobie życzą rodzice dziecka, więcej pieniędzy, aż do równowartości stu wielbłądów).

Mahomet nie był człowiekiem pruderyjnym. Lubił kobiety i otwarcie rozmawiał nawet o najbardziej intymnych sprawach. Dlatego i w kwestiach bardzo osobistych można się zwracać do szejka o poradę. Czy można kochać się z żoną od tyłu? (Tak). Czy *coitus interruptus* jest w islamie dozwolony? (Jeśli żona się zgadza). Czy mąż i żona mogą się oglądać nago? (Tak, ale nie nazbyt docieklawie). Czy dozwolone jest używanie różnych gadżetów w łóżku? (Nie ma dowodów, by to

Fatima: „Jakie jest islamskie orzeczenie co do muzułmanów pomagających władzom schwycić innych muzułmanów?” (Jeśli jakaś osoba konspiruje przeciwko bezpieczeństwu kraju, na przykład w USA, należy ją najpierw upomnieć, a jeśli nie porzuci tych działań – należy na nią donieść).

Pytania po WTC

Po ataku na WTC wielu muzułmanów chciało wiedzieć, co uczeni islamscy myślą na temat aktualnych wydarzeń. Jak rozumieć dżihad? Poprzeć czy potępić naloty na Afganistan? Czy islam jest zły? – zapytał uczzonego pewien muzułmanin. Czy Koran uczy gwałtu? – pytał jakiś Amerykanin. Odpowiedzi szejków są często dość zawiłe, gęsto okraszone cytatami z Koranu. Różnią się w zależności od uczzonego i portalu.

Na stronie islamonline.net uczeni przekonują: wszystkie trzy wielkie religie czynią rozróżnienie między wojną sprawiedliwą i niesprawiedliwą. Muzułmanie mogą walczyć tam, gdzie są prześladowani, a zatem w Kaszmirze, Czeczenii, Palestynie. Ale nie wolno im przenosić wojny na przykład z Palestyny do Ameryki, mimo że USA popierają Izrael. W WTC były tysiące cywilnych pracowników, w tym kobiety, starsi, muzułmanie i niemuzułmanie, których nie można nazwać wojownikami. Koran mówi, że zabicie człowieka bez sprawiedliwej przyczyny jest jak zabicie całej ludzkości. To prawda, że w Koranie znajdują się też zdania nawołujące do przemocy. Jednak takie zdania są również w Biblii. Należy je odczytywać w kontekście historycznym. Wzywają one do obrony przed atakiem, a nie do agresji.

Bomby i szczęki

W Internecie można też poczatować z muzułmanami z różnych państw. Na www.arabia.com są pokoje-kraje. W czasie amerykańskich ataków na Afganistan wielokrotnie czatowałam z arabskimi internautami. Musiałam być ostrożna. Zadawałam głupawe pytania, takie na miarę średnio rozgarniętego Europejczyka. Bo kiedy pokazywałam, że znam Bliski Wschód, wtedy moi rozmówcy natychmiast się uszytniali. Pewnie boją się szpiegów, i to różnej maści. Starałam się wykreślić, gdy pytano mnie o kraj, miasto, zawód, wiek. Jednak nie kłamałam. Wciągałam kogoś do rozmowy i dopiero potem mówiłam, że jestem dziennikarką. Przeczatowaliśmy niejedną godzinę.

– Nikt was nie chce nawracać! Atak na WTC to sprawa czysto polityczna! – uspokajała Nadia z Maroka.

– Pytasz, co powinni zrobić Amerykanie? – mówił mi Rahal ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. – Zobaczyć, jakie są korzenie terroryzmu. Nikt nie leci do Nowego Jorku czy Waszyngtonu, żeby się zabić dla przyjemności. Musi mieć bardzo ważne przyczyny.

W czasie nalotów na Afganistan któryś z internautów zabawił się i puszczał nam przez ekran samoloty i bomby, więc czatowaliśmy wśród wybuchów pocisków, którym towarzyszył podkład muzyczny ze „Szczęk” – ten, który słyhać, gdy rekin ma zaatakować ofiarę.

Ostatnio na czacie jest spokojniej. Niewinne flirty. Daleko do seksualnego rozbuchania europejskich rozmów. Internauci grzecznie pytają: „Dzień dobry, miło cię tu spotkać, czy mogę z tobą pogawędzić?”.

– Czy to koniec z terroryzmem? – pytam 27-letniego grafika z Abu Zdabi.

– Tu, w Emiratach, nic się nie dzieje – odpowiada ostrożnie.

30-letni Ahmed, inżynier, uważa, że wojna jest skończona. – Trudno prowadzić ją w innym miejscu niż Afganistan.

– Ataki terrorystyczne można przeprowadzać wszędzie.

– To co z twoim chłopakiem?

– To co z tą wojną?

– Bush próbuje rozpętać nową.

– Myślisz o Iraku?

– Przecież USA co roku bombardują Irak!

– Nie powiedziałabym, żeby Saddam był za nadto demokratycznym władcą.

– Ja też cię lubię.

No tak, nie pogadamy. Ahmed jest z Arabii Saudyjskiej, rozmowę śledzi Wielki Islamski Brat.

Na bazarze idei

Zachód naiwnie wierzył, że Internet to narzędzie do rozpowszechniania wyłącznie zachodnich wartości. Tymczasem sieć przyjmuje wirtualne objęcia i liberałów, i bogobojnych. Muzułmanie mogą się spierać, czy Internet jest *halal* czy *haram*, ale Bóg chyba już od dawna nie ma wątpliwości. Przynajmniej Bóg muzułmanów czuje się w Internecie jak u siebie w domu.

Wiodą tu wirtualne ścieżki wszystkich idei związanych z islamem, od liberalnych do ortodoksyjnych. Tylko te agresywne, wzywające do dżihadu czy oferujące kursy strzeleckie, po ataku na WTC zniknęły albo się zakamuflowały.

Internet jest częścią maszyny, która przeora świadomość muzułmanów, bo tu właśnie szukają rady przeciętni chłopcy z Egiptu czy Malezji. Tacy jak Muhammad, który na stronie www.islamonline.net poprosił o fatwę: „Szejku! Niektórzy muzułmanie uważają, że absolutnym obowiązkiem muzułmanina jest walczyć w imię islamu, ale ja nie jestem pewien. Niektórzy muzułmanie uważają, że nie ma nic wspanialszego, niż zabić albo być zabitym, walcząc o islam, ale ja nie jestem pewien. Myślę, że w świecie jest za dużo przemocy i że to niewiele rozwiązuje. Chciałbym, byśmy my, muzułmanie, służyli raczej pokojowi. Czy się mylę? Dziękuję za Twoją pomoc. To naprawdę mnie niepokoi”.

BEATA PAWLAK

Paryż pełen zmysłów

Gdzież się podział

francuski kochanek?

Najczulszy, najsprawniejszy,

przybierający rysy Maurice’a Chevaliera,

Jeana Gabina, Gérarda Philipe’a

czy Jean-Paula Belmonda,

od stu lat co najmniej był marzeniem

wszystkich pań świata.

Dziś jest na wymarciu

Według najnowszego sondażu brytyjskiej firmy Durex francuskie osiągnięcia w sztuce kochania są dosyć przeciętne. Nad Sekwaną pierwsze miłosne zbliżenie następuje później niż nad Potomakiem albo Tybrem. A po tym pierwszym razie łóżko służy Francuzom prawie wyłącznie do spania. Amerykanie, Grecy, Chorwaci, Południowi Afrykańczycy kochają się dużo częściej. Mimo to kobiety całego świata wciąż uważają, że najwspanialsze i niezastąpione jest towarzystwo Francuza i że najbardziej seksownym miastem świata jest Paryż.

Weryfikację tego stwierdzenia można rozpocząć w bistro U Księdza, na placu Pigalle. Klientela obojga płci przyklejona do baru lub przy stolikach sącząca piwo i drinki składa się z prostytutek i z uprawiających ten sam zawód transwestytów. Co wieczór przychodzi tu ksiądz. Od dwóch lat jest nowy duszpasterz. Jego poprzednik, proboszcz niedalekiego kościoła Świętej Trójcy, został biskupem Tulonu.

Ta knajpa, w której nierząd ludzka ma twarz, wygląda jak dekoracja ze starego filmu francuskiego, którego nie nakręcił Marcel Carné. Prawdziwa prostytutka i tu doszłusowała do epoki globalizacji. Większość stołecznych prostytutek to dziewczyny z Albanii i Kosowa sprowadzone

tu przez tamtejsze mafie muzułmańskie. Potem idą (no, raczej stoją) Rumunki, Ukrainki i Rosjanki, choć te ostatnie pracują głównie na Lazurowym Wybrzeżu.

W Paryżu nawet bardzo fanatyczni i samotni amatorzy seksu nie są skazani na usługi profesjonalne. Są tu coraz modniejsze, coraz lepiej widziane „kluby wymieniające” albo *swingerów*. Nazwa jest już tylko tradycyjna, bo choć sugeruje, że wchodzi się tam parami, to samotni mężczyźni są tolerowani, a samotne panie witane z otwartymi ramionami (dosłownie i w przenośni – nie płacą za wejście). Najszynniejszy z tych klubów to Les Chandelles. Po drobnej formalności, jaką jest uiszczenie nie drobnej opłaty, wchodzi się do wnętrza, po którym oprowadza przemiła, łagodna pani. Na wielkim parkiecie tanecznym kręca się pary przytulone do siebie jak w filmie dozwolonym od 18 lat.

– W zwykłym klubie człowiek pije kieliszek szampana, patrzy na tańczące pary i wyobraża sobie, jak się kochają. A w takim klubie pijesz drinka, patrząc, jak się kochają – powiedział mi bywalec Les Chandelles.

W każdym prawie klubie jest *darkroom*, czyli sala, w której pośród absolutnej ciemności, całkiem na ślepo, każdy z każdym próbuje intymnych dotyków. Rzadziej tra-

fia się na *glory hole*. Jest to na ogół parkan z desek, w których mniej więcej na wysokości bioder wywiercono dziury. W te otwory panowie wkładają swe gotowe do użytku atrybuty. Po drugiej stronie przechadzają się panienki.

W Paryżu coraz częściej słyszy się też o „wieczorach prywatnych” przeznaczonych dla członków prywatnych stowarzyszeń.

Mitu francuskiego erotyzmu dorabiali się Francuzi przez stulecia. W XVII wieku zwanym we Francji Wielkim Stuleciem powstał pałac w Wersalu i to, co do dziś zwie się wersalem – salonowa kultura, w której należało być kurtuazyjnym, eleganckim, dowcipnym. A celem tej błyskotliwej wirtuozerii słownej było doprowadzenie pani na wersalkę. Marie Darrieussecq, autorka poczytnej powieści „Świństwo”, uważa, że epoka sprzyjała rozwinięciu się takiego sposobu bycia. Życie Francuzów, przynajmniej tych lepiej urodzonych, przebiegało w nieprzerwanym poszukiwaniu rozrywki i przyjemności. Było dosyć czasu, by wyostriżyć sztukę flirtu i intrygi intelektualnej.

Aby wprawić przedmiot marzeń w odpowiedni nastrój, częstowano panie szampanem. Do erotycznych trunków należało też pospolite dziś kakao. Pito je z pianką, co zbliżało je do musującego szampana.

Marie Darrieussecq tłumaczy, że prawdziwy francuski kochanek jest wszechstronnym sensualistą – opisanie smaku kawałka czekolady interesuje go na równi z wyrażeniem uczucia podczas wspaniałego orgazmu. Ponad 200 lat temu francuski pisarz Fourget de Monbron kazał mówić swej bohaterce, że rozkosz jest dla ducha tym samym co dobre jedzenie dla żołądka.

Mój przyjaciel Bronisław Wildstein dzieli pisarzy na takich, którzy we wszystkim znajdują seks i są mierni, oraz na takich, którzy w seksie odnajdują wszystko. I ci są lepsi. Francuzi w swej kulturalnej wyjątkowości potrafią jednocześnie siedzieć po obu stronach tej metafizycznej barykady.

Nawet mity nie są jednak nieśmiertelne. Kiedy je się na śniadanie płatki kukurydziane, a na obiad hamburgery z McDonalds’a, trudno wierzyć we własną wyjątkowość. Kiedy sprzedaż viagry bije rekordy, trudno nazywać stosunek płciowy „bagatelką” do załatwienia w przerwie obiadowej. Załamuje nad tym ręce Jean Dutourd z Akademii Francuskiej: – Niegdyś wiadano, że Francuzi żadnych lubczyków nie potrzebują. Byliśmy zawsze gotowi, kiedy było trzeba, i natychmiast, gdy było trzeba. Ta pigułka to upadek Francji.

LUDWIK LEWIN



FOT. VISUAL/FREE



FOT. FFM

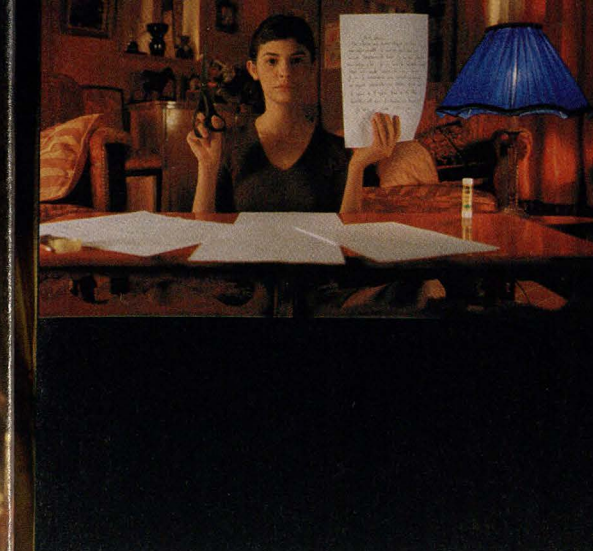
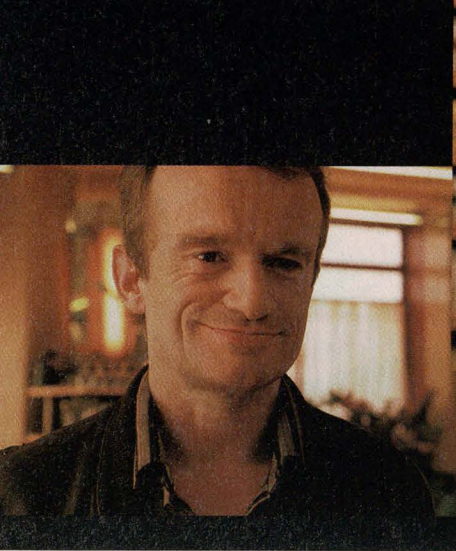
Choć film
o Amelii Poulain
nie dostał Oscara,
kochamy ją bardzo.
Tak jak ona uszczęśliwiała,
kogo popadnie,
„Przekrój”
uszczęśliwia dziś
jej wielbicieli,
prezentując wyjątki
z opublikowanej właśnie
w Polsce
przez wydawnictwo Muza SA
książki „Amelia Poulain
i jej magiczny album”.
Więcej niż w filmie!

AMELIA

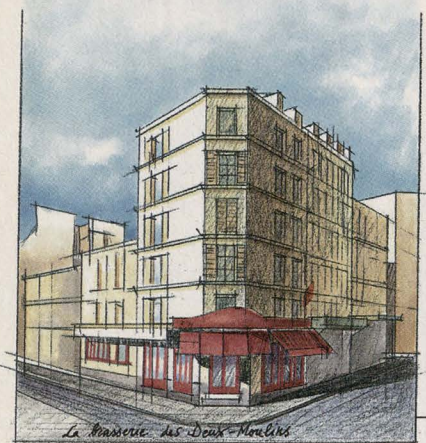
WIĘCEJ NIŻ W FILMIE



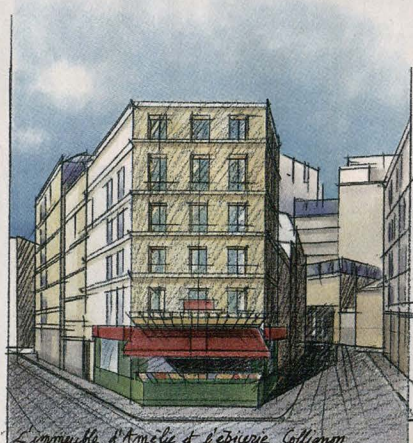
Amelia Poulain
i jej magiczny album
MUZA SA



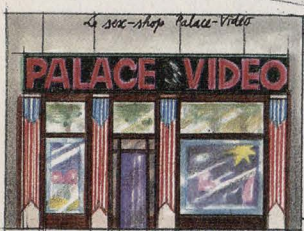
MONTMARTRE AMELII



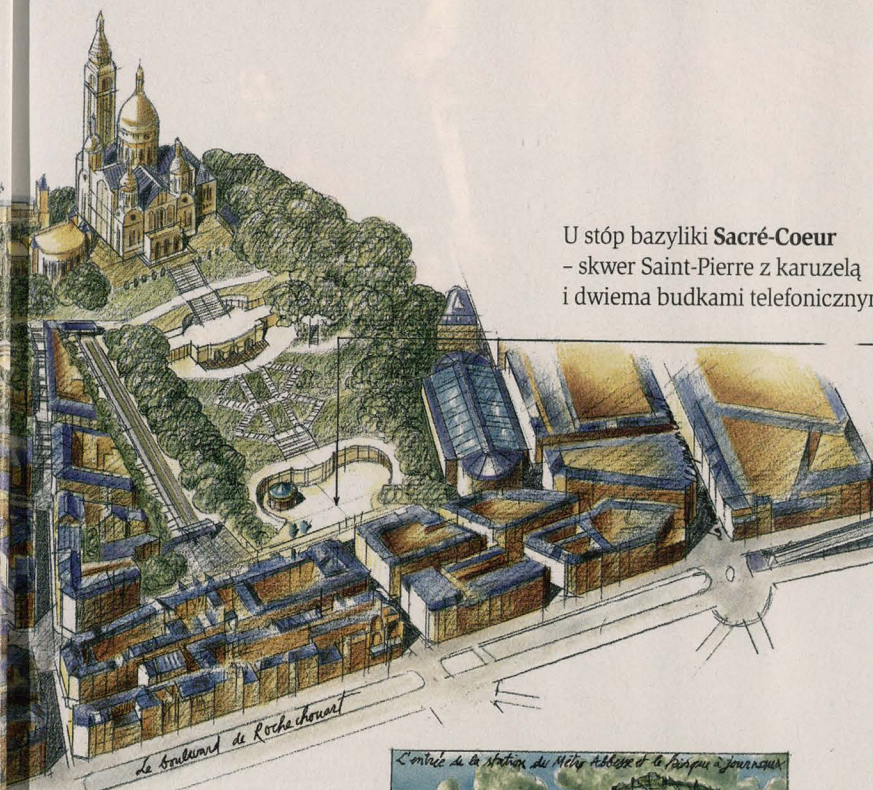
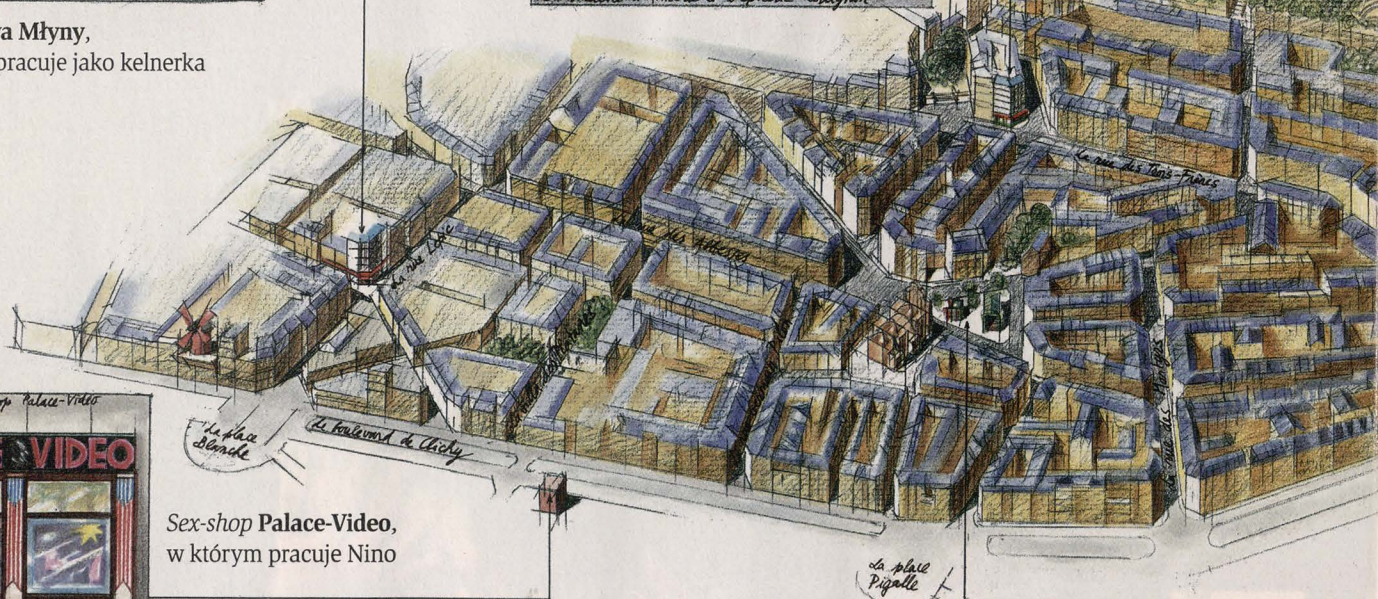
Kawiarnia Dwa Młyny,
gdzie Amelia pracuje jako kelnerka



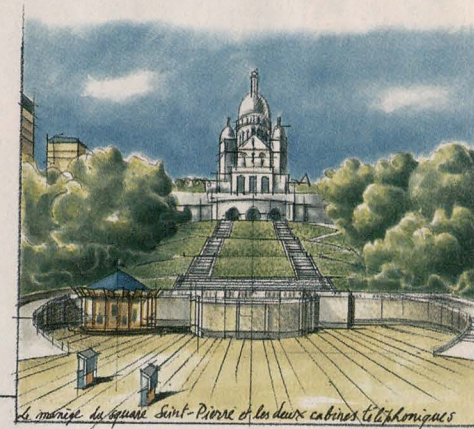
Owocarnia Collignona,
nad którą Amelia mieszka



Sex-shop Palace-Video,
w którym pracuje Nino



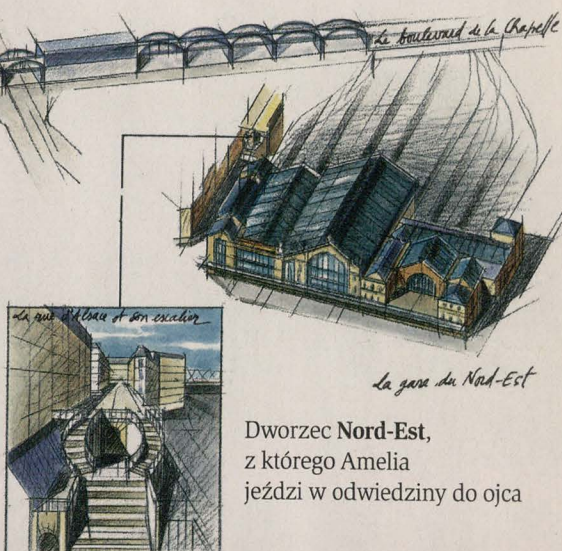
U stóp bazyliki Sacré-Cœur
- skwer Saint-Pierre z karuzelą
i dwiema budkami telefonicznymi



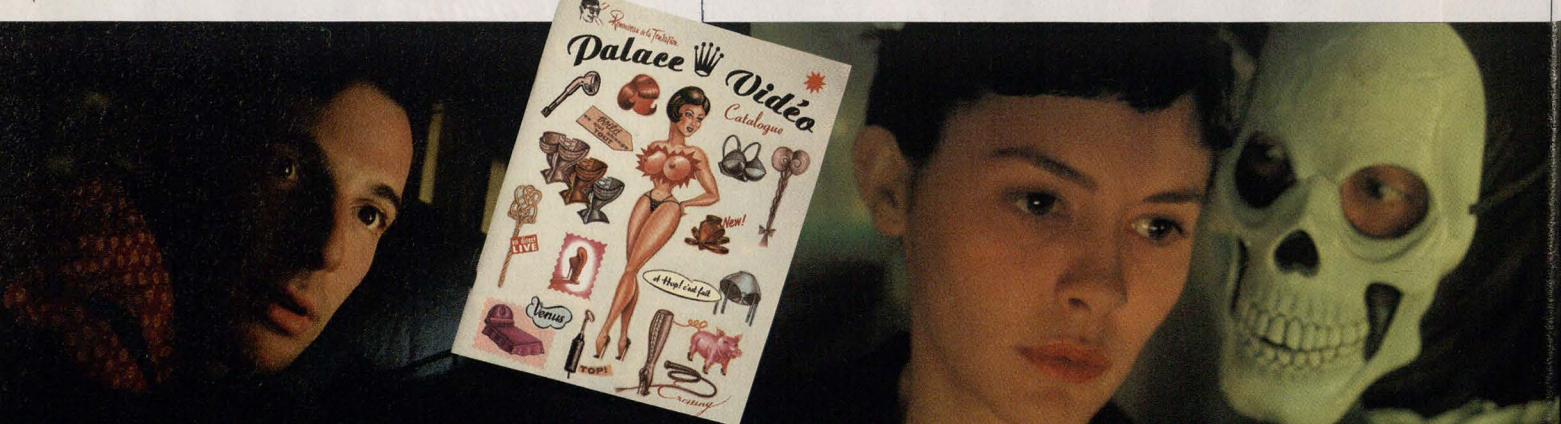
La mairie de la square Saint-Pierre et les deux cabines téléphoniques



Stacja metra Abbesses,
na zakręcie korytarza
uwagę Amelii zwraca stara piosenka...



Dworzec Nord-Est,
z którego Amelia
jeździ w odwiedziny do ojca



PUDEŁKO PAMIĄTEK (ZNALEZIONE ZA KAFELKIEM)

Just Fontaine, najlepszy strzelec
mistrzostw świata 1958 w Szwecji,
zdobywca 13 bramek

Pocztówki
z niemieckiej Szwajcarii

Talia 36 kart *made in China*
zdobyta na odpuszcie

Maserati,
model
2,5 litra,
w barwach
ekipy
belgijskiej

Popsuty gwizdek
z aluminium

Jeden z zeszytów „Trucizny
niosącej obłąd” Gastona Choqueta

Król
Migdałowy
z porcelany

Kostki z metalu

Kulki z agatu

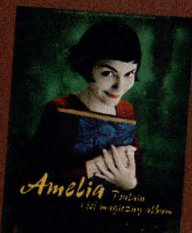
Cynowi cykliści

Scyzoryk oprawny w imitację
macicy perłowej wyposażony
w osiem narzędzi: śrubokręt,
otwieracz, świder, korkociąg,
przebijak, nóż do konserw
oraz dwa ostrza

UWAGA – KONKURS!

Do wygrania
jest 10 egzemplarzy książki
„Amelia Poulain
i jej magiczny album”
ufundowanych przez „P”
i wydawnictwo Muza SA.
Otrzyma je pierwsze 10 osób,
które podadzą
dokładną odpowiedź
na konkursowe pytanie.
A brzmi ono:
**Czego ozdobą był krasnal
porwany przez Amelię?**

Na odpowiedzi czekamy
4 kwietnia w godzinach 9-10
pod numerem
(0-prefiks-22) 626 96 18.



31 SIERPNIA 4 RANO

31 sierpnia o czwartej rano Amelii
zaświtał pewien genialny pomysł.
Powinna mianowicie odnaleźć
właściciela pudełka pamiątek
i zwrócić mu skarb.
Jeśli go to wzruszy, rzecz postanowiona:
zacznie się ona wtrącać
w życie innych.
Jeśli nie – to trudno

JAK OBDARZYĆ CHĘCIĄ PODRÓŻY SWEGO STAREGO, NEURASTENICZNEGO OJCA



NIEZBĘDNE PRZYPORY

Ulubiony krasnal ogrodowy taty. Narzuta i sznurek do opakowania krasnala. Aparat Polaroid dowolnego formatu.
Rolka kolorowego filmu tejże firmy. Paczka lotniczych kopert.

SPOSÓB POSTĘPOWANIA

Zapewnić sobie współpracę stewardesy obsługującej rejsy transkontynentalne. Poprosić ją o cykl zdjęć krasnala
na tle najbardziej znanych atrakcji turystycznych krajów, do których lata. Produkt końcowy ofrankowany zgodnie
z taryfą międzynarodową wysłać ojcu. Wyrażać mimochodem z troską o zniknięcie krasnala z ogrodu.

Wykazywać skrajne zdumienie na widok zdjęć z polaroidu. Marynować parę tygodni.

Uwaga! Nawiedzony przez demona egzotyki ojciec może przenieść się definitywnie do Caracas,
czym utrudni niedzielne odwiedziny.



Smok z porcelany

MAJA WOLNY (Barcelona)



Największe dzieło Gaudiego, La Sagrada Família, pozostało nieukończone

W Barcelonie rozpoczął się Rok Gaudiego. Na wzór katedry akrobaci będą ustawiali wieże z ludzkich ciał

Kiedy zapytano Antonia Gaudiego, dlaczego zdobi wieże swojej monumentalnej katedry La Sagrada Família niewidocznymi dla zwiedzających detalami, odpowiedział: „Aniołowie je dostrzegą”. Uroki dzisiejszej Barcelony masowo dostrzegają zwykli śmiertelnicy. Stolica Katalonii jest jednym z najszybciej rozwijających się turystycznie miast w Europie. 10 lat po igrzyskach olimpijskich Barcelona zgotowała Europie festiwal kulturalny – zainaugurowane 20 marca, w 150. rocznicę urodzin słynnego architekta, obchody Roku Gaudiego.

Mieszkańcy mówią o Barcelonie, że gdyby to miasto wystawiono na sprzedaż jak działkę budowlaną, nikogo nie byłoby stać na taki zakup. Łagodny klimat, plaże, niepowtarzalna architektura i wreszcie związani z miastem mistrzowie: Picasso, Joan Miró oraz Antonio Gaudí. Barcelona jest bezcenna.

W ciągu ostatnich 10 lat liczba odwiedzających miasto podwoiła się. Rocznie do półtora-

milionowej Barcelony przyjeżdża około czterech milionów turystów. W tym roku, tylko dla Gaudiego, przyjedzie o dwa miliony więcej. Dla turystów otwierają się zabytkowe domy Barcelony, które dotąd można było podziwiać tylko zza ogrodzenia: obłożona biało-granatową mozaiką Casa Vicens (pierwsza słynna willa zaprojektowana przez Gaudiego), Casa Calvet – jedyna budowla, za którą Gaudí otrzymał wyróżnienie od władz Barcelony – oraz Casa Batlló, o której zmanierowani turyści mówią czasem, że wygląda jak domek z Disneylandu.

Nie każdy lubi specyficzny eklektyzm Gaudiego. W samej Barcelonie przestał się on podobać już niedługo po tragicznej śmierci architekta w roku 1926 (zginął potrącony przez tramwaj, podobno rozmyślając o kolejnym etapie budowy katedry La Sagrada Família). Urodę jego dzieł odkryto na nowo dopiero w latach 60. Bajkowe kolory podobały się hipisom, a walcząca o autonomię

polityczną elitą Katalonii dostrzegła w jego budowlach manifest kulturowej tożsamości regionu. Gaudí miał bowiem, podobnie jak dwaj inni sławni architekci tamtej epoki Josep Puig i Cadafalch, silne poczucie społeczno-kulturowej odrębności Katalonii. Robert Hughes w znanej książce „Barcelona – królowa miast” nazywa nawet Gaudiego „katalońskim nacjonalistą w skórze religijnego konserwatysty”.

Gaudí nigdy nie ukrywał swoich religijnych inspiracji – nawet gdy otrzymywał typowo świeckie zamówienia, próbował nadać im sakralny charakter. Na szczycie słynnego budynku Casa Milà, bardziej znanego jako La Pedrera (Kamieniołom), zaprojektowanego jako blok mieszkalny dla dobrze zarabiających mieszkańców Barcelony Gaudí chciał umieścić figurę Maryi. Przyszli właściciele mieszkań jednak zaprotowali i mistrz zrezygnował z planów. Barcelończycy mają bowiem opinię niezbyt religijnych, oszczędnych, zamkniętych w sobie pracusiów. Tak przynajmniej plotkują o nich Hiszpanie od czasów wielkiego rozkwitu przemysłu w mieście w drugiej połowie XIX wieku. Bogaci biznesmeni dorabiali się wtedy na tekstyliach, winie, korku, niektórzy, jak Eusebi Güell, inwestowali w sztukę, sponsorowali śmiało architektoniczne przedsięwzięcia Gaudiego i innych modernistów.

O wszystkich historycznych, finansowych i technicznych problemach, z którymi borykał się architekt, publiczność będzie mogła się dowiedzieć z ponad 20 cykli projekcji, warsztatów i wystaw organizowanych w kolejnych miesiącach w Barcelonie. I tak na przykład pod tak zwaną Setką Kolumn w parku Güell odbędzie się wykład objaśniający fenomenalne odkrycie Gaudiego polegające na tym, że połączenie specyficznych łuków ze skośnymi filarami utrzyma ciężar nawet dużego sklepienia. Podobno mistrz wpadł na to, myśląc o kształcie drzewa eukaliptusa. Wkrótce odbędzie się też premiera musicalu „Gaudí” oraz konkurs poetycki i fotograficzny pod hasłem „Czuając Gaudiego”. Specjalnie dla dzieci powstała komiksowa opowieść „Howdy Gaudí”, która ma być wprowadzeniem do twórczości architekta.

Organizatorzy liczą jednak, że największą popularnością będą się cieszyły inne dwa pomysły, oba związane z katedrą La Sagrada Família. Pierwszy, zaplanowany na 1 czerwca, to gigantyczny pokaz światło-dźwięk na murach kościoła. Przez cały ten dzień wstęp do wszystkich muzeów i na wystawy związane z Gaudim będzie bezpłatny. 21 września ma się natomiast odbyć inne masowe widowisko – happening z udziałem *castellers*, amatorskich drużyn akrobatów konstruujących wieże z własnych ciał. Ta rozrywka popularna w wie-

lu krajach hiszpańskojęzycznych jest wynalazkiem Katalończyków. Sam Gaudí porównał kiedyś wieże w swojej katedrze do tych, które formują *castellers*. Publiczność będzie mogła przekonać się na własne oczy, czy falujące linie Gaudiego rzeczywiście przypominają „wieże ludzkie”. Być może zostanie tam też pobity rekord w ich ustawianiu – ostatni, ustanowiony jeszcze w XIX wieku, to 10 poziomów.

Barcelona świetnie się przygotowała na przyjęcie milionów miłośników architektury. Do wszystkich miejsc związanych z nazwiskiem architekta dowozi Bus Gaudí 2002, wygodny środek transportu dla turystów, który jest jednocześnie zmorą dla mieszkańców z centrum miasta. Zmęczeni hałasem i spalinami lokatorzy zabytkowych kamienic wywieszają w oknach transparenty z trupią czaszką i napisami *Bus turístico es tóxico!* Wiele hoteli w mieście oferuje *Gaudí package*, pobyt połączony ze zwiedzaniem i upominkami – podkoszulkami i serwisami do kawy zdobionymi mozaikami takimi jak te ze słynnych budowli. Takie same pamiątki można też znaleźć w prawie każdym sklepie na Ramblas, najśłynniejszej ulicy Barcelony. Do kupienia są programy komputerowe uczące, jak zostać konstruktorem-wizjonerem, miedziane miniaturki katedry La Sagrada Família i popielniczki w kształcie słynnego ceramicznego smoka z parku Güell.

FILM PRAWDZIWIY DO BÓLU

MĘSKA SPRAWA

POLSKI FILM NOMINOWANY DO OSCARA W KATEGORII KRÓTKOMETRAŻOWY FILM FABULARNY

reżyseria: Sławomir Fabicki
zdjęcia: Bogumił Godfrejow

DO ZOBACZENIA W KINACH

www.kinoswiat.pl

KINO ŚWIAT

ING NATIONALE-NEDERLANDEN

2

Newsweek

stopklatka.pl

PRZE KROT

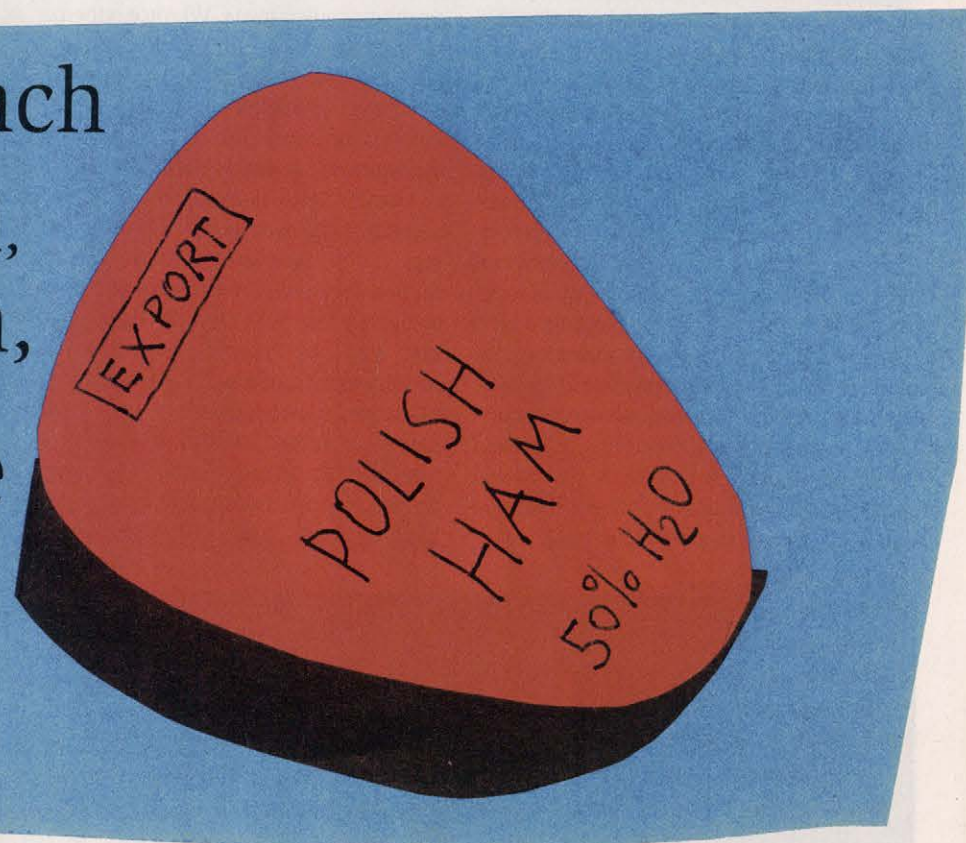
Radio ZET

Z profesorem KRZYSZTOFEM KRYGIEREM z Katedry Technologii Żywności warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego rozmawia OLGA WOŹNIAK

Strach przed jedzeniem

RYŠUNKI PIOTR GIDLEWSKI

O zapachach
identycznych
z naturalnymi,
konserwantach,
zawartości szynki
w szynce
i kaloriach
w jogurcie *light*



OLGA WOŹNIAK: Czy pomidor różni się od pomidora?

PROF. KRZYSZTOF KRYGIER: No pewnie. Jadła pani w środku zimny pomidora ze szklarni? Smaku nie ma. Nie to co letni pomidorek, który spokojnie dojrzewał na słońcu. Pycha! No i te szklarniowe bardzo często są pędzone na nawozach, żeby szybciej dojrzały. Wtedy oprócz tego, że blade i niesmaczne, to jeszcze podtuczone chemią.

Ale teraz – wiosna. Nowalijki. Kupuje Pan?

– Niechętnie. Czasem po zimie skuszę się na rzodkiewki. Ale się nie zadam! Raczej staram się czekać na warzywa z własnego ogródka. Tymi się delectuję.

W tym, co Pan mówi, wyczuwam pewien dystans do nowalijek.

– Znajomy weterynarz zauważył, że zawsze na wiosnę jest pomór świnek morskich. One jedzą

sałatę – a na wiosnę dostają nowalijki. Od razu wiadać, jak to przyskane, żeby szybciej trafiło na stragany. Wiadomo, wiosną są najdroższe. Ale świnki tego nie wytrzymują.

A ludzie?

– Powinni dobrze płucać młode jarzyny. Nawet dłużej pomoczyć w wodzie. Nowalijki hodowane są często na czas. Przenawożone albo nawożone tak późno przed zbiorem, że te chemikalia nie zdążą się rozłożyć i zjadamy je razem z rzodkiewką czy sałatą.

To może lepiej warzywa z Zachodu? Chociaż utarło się myśleć, że oni tam bardzo dużo nawożą. Bać się holenderskiej sałaty?

– Ja się nie boję. Kultura uprawy na Zachodzie jest znacznie wyższa niż w Polsce. Myślę, że większość pogłosek o szkodliwości zachodnich produktów rozpowszechniają polscy rolnicy, którzy nie mogą sprzedać swoich.

A polska żywność jest naturalna?

– Teraz prawie wszystko, co możemy dostać w sklepie, jest w jakiś sposób przetworzone, ulepszone.

To znaczy, że jest niezdrowe?

– To, co jest dopuszczone w Polsce do sprzedaży, nie może szkodzić, bo inaczej nikt by nie pozwolił, by ludzie to jedli.

To znaczy, że jest zdrowe?

– No, w każdym razie nieszkodliwe.

A ludzie się boją. Sprawdzają, czy w jogurcie jest „E” i czy aromat identyczny z naturalnym...

– To, czy jakiś dodatek nazywa się wanilia czy acetylowany adipinian diskrobiowy – co brzmi niezbyt apetycznie – nie ma znaczenia. Jeśli jest stosowany zgodnie z prawem, nie jest szkodliwy. Oczywiście coś, co jest nieszkodliwe, może mieć zerową wartość odżywczą. A to zdarza się często.

Konserwanty nie mogą szkodzić człowiekowi, ale też w niczym nie pomagają.

A po czym poznać, że w czymś są konserwanty?

– Bez specjalistycznych badań często nie da się poznać. W normalny sposób możemy się jedynie zorientować, gdy jest ich za dużo. Wtedy jedzenie nabiera dziwnego koloru albo zaczyna być gorzkie czy brzydko pachnieć. Nawiasem mówiąc, to dobrze, bo w ten sposób konserwantu nie można przedawkować.

Czy ktoś czuwa nad tym, co się dodaje do jedzenia?

– Zezwolenia na stosowanie dodatków do żywności wydaje w Polsce Główny Inspektor Sanitarny na podstawie dokumentacji, jaką składa producent. Opinię wydaje też Państwowy Zakład Higieny oraz Instytut Żywności i Żywienia. Ale wbrew ogólnemu przekonaniu nie do wszystkiego dodaje się konserwanty. Jest grupa produktów, które się chroni przed dodatkami.

Co to za produkty?

– Do mleka nie wolno niczego dodawać, do sera, do jogurtu, masła, soku pomarańczowego, pomidorowego, kawy, herbaty, miodu.

A dlaczego akurat do nich nie wolno?

– Bo postanowiono zachować wzorzec standardowy tych produktów. Nie wolno polepszać ich smaków ani kolorów. W sztuczny sposób przedłużać trwałość.

A herbaty smakowe i orzechowa czy rumowa kawa cappuccino?

– To postanowienie dotyczy tylko podstawowych produktów tego typu. Oczywiście do herbat smakowych dodaje się często aromat identyczny z naturalnym.

Zapach identyczny z naturalnym, to znaczy jaki? Naturalny czy nie?

– Tak się nazywają wszystkie zapachy i smaki, które wyprodukował człowiek na wzór naturalnych. Ale one nie są naturalne, bo nie narodziły się same w owocu czy w kwiecie. Najpierw sprawdziliśmy, jak są zbudowane te prawdziwe. Rozebraliśmy je na pojedyncze składniki – związki chemiczne – i opisaliśmy, w jakich są proporcjach. A potem nauczyliśmy się z tych związków składać smak banana, pomarańczy, zapach jaśminu.

I rzeczywiście są takie same jak prawdziwe? Aromat żywego jabłka nie różni się od tego wyprodukowanego w laboratorium?

– No, jak sama nazwa wskazuje – są identyczne. Różnica jest tylko w pochodzeniu. Stworzył je człowiek, niekiedy z pomocą specjalnych drobnoustrojów.

Czy umiemy dziś wyprodukować wszystkie smaki i zapachy?

– Nie znam żadnego, którego nie można by odtworzyć. Dziś technika jest na takim poziomie, że wszystko da się podrobić. Udało się na przykład opisać około 300 składników smakowych czekolady czy dymu wędzarniczego. Wiadomo, ile ich jest i w jakich należy zestawić je proporcjach. Oczywiście, że są smaki czy zapachy, które mają wiele składników i trudno je zrobić, ale wszystko jest możliwe. To tylko kwestia pieniędzy. Dziś znacznie taniej jest „zrobić” sok o smaku i zapachu identycznym z naturalnym, niż hodować jabłko, czekać, aż dojrzeją, zbierać je, przetwarzać.

Oprócz informacji o „identycznych z naturalnymi” na kartonach pojawiają się także napisy, że w soku jest sto procent soku. Jak może być inaczej?

– Myślę, że często taki napis to tylko taki marketingowy zabieg. Ale ja to rozumiem w ten sposób, że w stu procentowym soku nie ma żadnych dodatków – nie jest kolorowany ani dosładzany, ani aromatyzowany. Jego zapach, smak, słodycz pochodzą z naturalnego owocu.

A skąd tam się wzięły? Te soki, które kupuje się w kartonie, nie są przecież świeżo wyciśnięte z owocu.

– Teoretycznie tak właśnie jest.

A w praktyce?

– Różnie. Najczęściej te soki są rozcieńczane z koncentratów. Wyciska się sok z jabłek i się go zagęszcza, odparowując wodę – robi się syrop. W trakcie odparowywania łapie się jeszcze aromaty w specjalne filtry, żeby nie uciekły z parą wodną. Potem się je z powrotem dodaje. Takie postępowanie wymusza choćby transport. Nikt nie chce płacić za wózenie wody. Dodaje się ją na miejscu.

O właśnie, woda! Mówi Pan, że z soku się ją usuwa, ale na przykład do wędlin to się chyba specjalnie dodaje. Jak otwiera się szynkę paczkowaną w folię, to woda nieraz wypływa.

– A czy na tej paczce z szynką jest napisane „produkt wysoko wydajny”?

Nie wiem. Nie zwróciłam uwagi. A co to znaczy?

– To znaczy, że ze stu kilogramów surowej szynki możemy otrzymać 150 kilogramów wędliny.

A co to jest te 50 kilogramów?

– Właśnie woda. I hydrokoloidy, które powodują, że ona się tam trzyma.

Co to są hydrokoloidy?

– To substancje, które chłoną wodę – jak żelatyna.

Skoro połowa szynki to nieraz woda, to można się odchudzać taką wędliną.

– Tak! Ale ważne, żeby wiedzieć, co się kupuje. U nas z oznakowaniem produktów nie jest najlepiej. Często i cena nie sugeruje, że w połowie płaci się za wodę. Na Zachodzie jest obowiązek informowania konsumenta, czy kupuje wędlinę bez konserwantów (często orientuje się po rachunku – takie są zdecydowanie najdroższe), czy szynkę kategorii *open* – do której producent dodał wszystko, na co mu prawo pozwalało.

A jak ktoś nie chce się odchudzić ani płacić za wodę, to może lepiej jeść suszone wędliny?

– Jeśli nie chce się odchudzić, to owszem. Ale jeśli ma kłopoty z cholesterolem – nie polecam. Suszone wędliny zawierają strasznie dużo tłuszczu. Według norm salami może składać się z niego w 70 procentach! W kabanosie, żeby tak smakowicie strzelał w zębach, też musi go być sporo. Wie pani, ile to kalorii?

No właśnie, jak się liczy, ile co ma kalorii? Wierzyć tym napisom na opakowaniach?

– Ja wierzę. Zresztą to łatwo sprawdzić. Wystarczy spalić.



Zjeść i spalić?

– Spalić zamiast zjeść – w tak zwanej bombie kalorymetrycznej. To specjalne urządzenie, które bada, ile ciepła powstaje przy spalaniu danego produktu. Można też policzyć. Wiadomo, ile kalorii ma tłuszcz, ile białko, ile węglowodany. Jak zna się skład produktu – wystarczy dodać.

To tic-tac ma tylko dwie kalorie?

- Ma. Choć prawidłowo mówi się kilokalorie.

A majonez jogurtowy czy jogurtowa margaryna?

- To raczej bujda, że są mniej kaloryczne. Jogurt po prostu dobrze się ludziom kojarzy - że jest zdrowy - i marketingowcy to wykorzystują.

Każdy jogurt jest zdrowy czy tylko ten, który zawiera żywe kultury bakterii?

- W każdym jogurcie są żywe bakterie. Problem polega na tym, co to za bakterie i czy przetrwają wędrówkę przez nasz układ pokarmowy. Większości ta sztuka się nie udaje. Trawimy je i nie docierają do jelit, gdzie powinny się osiedlić, wypierając bakterie produkujące toksyny.

To jak rozpoznać te dobre?

- Po pierwsze, te odporne są przeważnie drogie. Po drugie, pewną wskazówką jest ich opis na opakowaniu. Szczepy bakterii, które przeżywają spotkanie z naszymi kwasami trawiennymi, oznacza się nazwą i numerem. Przy tych zwykłych przeważnie nie ma numeru.

A jaki Pan je jogurt?

- Naturalny, bo nie jest słodzony.

Jak to możliwe?

- Na przykład w ciastach zastępuje się cukier słodzikiem. Ale cukier oprócz tego, że słodzi, jest zwykłym wypełniaczem - zajmuje określone miejsce. Gdy go zabraknie - produktu ubywa. Co więc zrobić? Ubytek często uzupełnia się tłuszczem. Tak więc to, co oszczędzono na cukrze, z nawiązką dodano pod inną postacią. W efekcie ciasto *light* miało więcej kalorii niż zwykłe.

Kiedy to się zmieni w Polsce?

- Może już niedługo. Teraz, w związku z naszymi przygotowaniami do przystąpienia do Unii Europejskiej, dostosowuje się przepisy do unijnych. A te określają, że produkt *light* oznacza obniżenie kaloryczności o 30 proc.

A czego Pan używa do chleba - masła czy margaryny?

- Margaryny.

Dlaczego?

- Bo takie są zalecenia żywieniowe i ja w nie wierzę. Oczywiście nie polecam wszystkich margaryn, ale tylko miękkie - takie, które sprzedaje się w kubeczkach. One mają dużą zawartość oleju. Zresztą nie ma co robić wojny masła z margaryną, tylko polegać na zdrowym

- O, margaryna margarynie nierówna. To trzeba sprawdzać na opakowaniu. W efekcie częściowego utwardzania tworzą się w niej tak zwane izomery trans. Są jednak margaryny, które ich prawie nie zawierają: na nich jest napisane, że mają zawartość izomerów trans poniżej jednego procenta.

Co to są izomery trans?

- To takie zmienione tłuszcze, a ich zmiana następuje właśnie w procesie utwardzania. One są miernikiem, czy produkt był, czy nie był utwardzany. Dziś zresztą coraz rzadziej utwardza się tłuszcze. Margaryny robi się coraz częściej z tłuszczów frakcjonowanych. Na przykład olej palmowy rozdziela się na różne frakcje - tłuszcze miękkie i twarde. Te twarde zastępują tłuszcze utwardzone.

Trzeba tyle rzeczy sprawdzać na tych pudełkach. Jak poruszać się między tymi konserwantami i tajemniczymi „E”, których wszędzie pełno?

- „E” wcale nie są tajemnicze. Te substancje - pochodzenia naturalnego albo sztucznie wyprodukowane - nie znajdują się w jedzeniu naturalnie, ale można je do niego dodawać. Oczywiście sposób, w jaki się je dodaje, obwarowany jest przepisami: warunkiem jest, że one nie szkodzą, nie fałszują właściwości jedzenia, że pozyskuje się je ściśle określą metodą. Oznaczenie ich jako „E” z różnymi symbolami cyfrowymi to wymóg Unii Europejskiej.

Czyli nie bać się jedzenia?

- Na żaden rynek, który podlega jakimś prawom, nie zostaje dopuszczona żywność, która byłaby szkodliwa dla zdrowia. Ja rozumiem, że ludzie boją się dodatków do żywności. Taki jest los nowości. Pamiętajmy jednak, że wszystkie te dodatki obniżają cenę jedzenia. Naturalne produkty przeważnie są droższe.

Ja sam w ogóle staram się nie patrzeć na żywność tylko z punktu widzenia fizjologiczno-trawiennego, bo to pozbawia dużej radości, jaką daje zjedzenie czegoś pysznego.

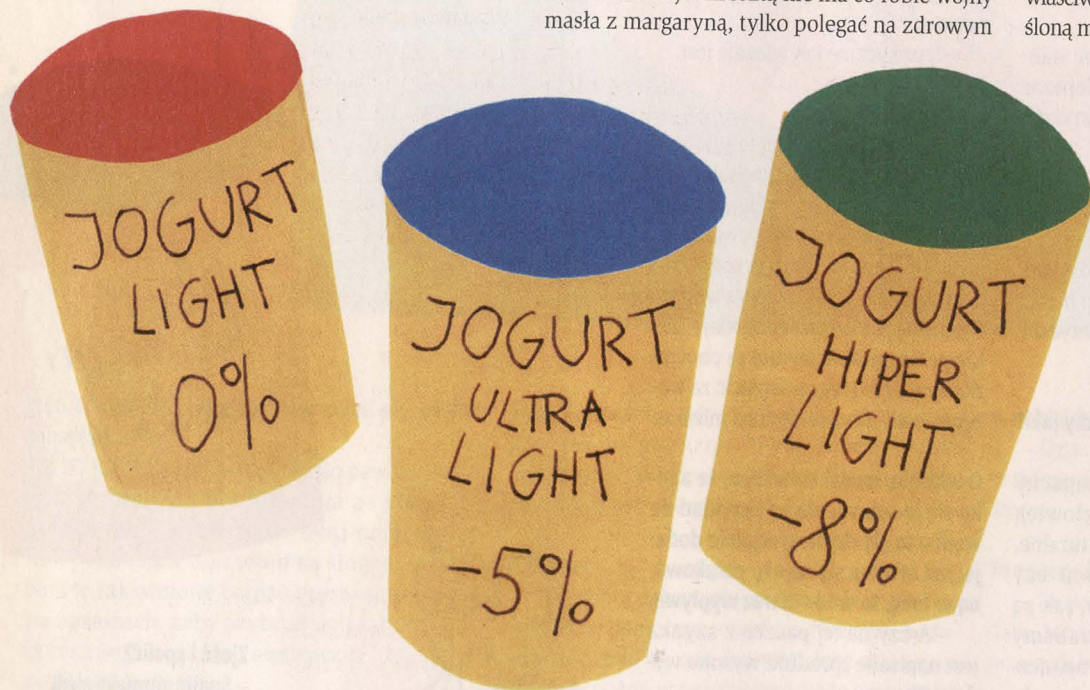
Nie sprawdza Pan, czy są konserwanty?

- Jedzenie jest przyjemnością, jest sztuką. A nie można tworzyć sztuki ani przeżywać przyjemności pod ciągłą kontrolą czy w strachu. Nie bójmy się jedzenia. Mamy teraz coraz mniej radości życia. Nie odbieramy sobie tej, którą daje dobry obiad czy kolacja.

To znaczy - kupować rzodkiewki wczesną wiosną?

- Jak ktoś lubi - kupować. Ale płukać.

Rozmawiała OLGA WOŹNIAK



To może lepiej jeść light?

- W Polsce raczej nie. Tu nie za bardzo wiadomo, co to znaczy *light*. Nie mamy odpowiednich przepisów. Nigdzie nie jest określone, czym ma się różnić *light* od *nie-light*. Każdy rozumie pod tą nazwą co innego. Niedawno przeprowadzaliśmy badania rynku co do kaloryczności produktów *light* i niejednokrotnie okazywało się, że te tak zwane lżejsze są bardziej kaloryczne od zwykłych.

rozsać - jak ktoś ma podwyższony cholesterol, to w ogóle nie ma co się zastanawiać. Mało kto wie, ale masło zawiera ponad dwa razy więcej cholesterolu niż smalec! Smalec w stu gramach ma 95 miligramów cholesterolu, masło - 230.

Ludzie często twierdzą, że margaryna jest bardziej sztuczna niż naturalne masło - na przykład sztucznie utwardzana.

**ZWIERZYNIEC JURAJSKI
MINIATUROWY
ROGACZ**

Tak właśnie - przynajmniej według artysty - wyglądał dinozaur zwany *Liaoceratops yanzigouensis*, którego szczątki sprzed 130 milionów lat wykopano niedawno na terenie Chin. Był on krewnym triceratopsa, 10-tonowego olbrzyma znanego przede wszystkim z pokrywającego głowę pancerza tworzącego charakterystyczny kołnierz i rogi.

Liaoceratops ważył zaledwie trzy kilogramy, toteż i wszelkie ozdoby miał znacznie skromniejsze - zaledwie szczątkowe różki i kołnierzyk. Naukowcy uważają, że ów pancerz służył dinozaurowi raczej nie do walki czy obrony, lecz jako zaczep dla silnych mięśni szczęk. A wszystko po to, by gad mógł w spokoju pożerać swój ulubiony miorzab czy skrzyp. (jaś)



**POD STRZECZY
BYĆ
JAK JERZY STUHR**

Płyty DVD mają wiele niezaprzeczalnych zalet: znakomitej jakości obraz i dźwięk, trwałość, możliwość odtwarzania w komputerze... A jednak dla mnie najważniejsze są wszelkie miłe dodatki do filmu. Czyli to, czego się w kinie nie zobaczy oraz co na kasie VHS się nie zmieści. Cyfrowe wydanie „Shreka” jest pod tym względem modelowym przykładem. Za 94 złote stałem się posiadaczem nie tylko jednego z moich ulubionych filmów animowanych, lecz także bogatej dokumentacji go dotyczącej oraz interaktywnej części rozrywkowej.

Ta ostatnia pokazuje, w jakim kierunku ewoluje dziś cyfrowa rozrywka. To już nie tylko bierne oglądanie filmu, lecz także i jego... współtworzenie. Jeżeli komuś nie podobają się dialogi w „Shreku”, może zastąpić je własnymi - przynajmniej w niektórych scenach. Wystarczy

włożyć DVD do peceta, zainstalować z płytki program zwany Re-Voice Studio i już można podkładać głos sympatycznego Shreka czy prze-mądrzałego Lorda Farquada. Komputer sam dopasuje to, co mówimy, do ruchu ust animowanej postaci. Przednia zabawa dla całej rodziny. Dotyczy jednak ona tylko angielskiej listy dialogowej. Jeżeli mówimy po polsku, rytm zdań jest inny i wypowiedzi mogą brzmieć dziwnie. Na szczęście zawsze można oddać głos Jerzemu Stuhrowi, który w roli Ośła jest absolutnie bezkonkurencyjny (bije na głowę



Eddiego Murphy'ego, który występował w oryginalnej wersji). Serio, serio! (jaś)

„Shrek”, reż. Andrew Adamson i Vicky Jensen, USA 2001, Imperial Entertainment Home Video

**KTO BY POMYŚLAŁ
JAKO MĄDRZEJSZE
OD KURY**

Ile razy zdarzyło się wam, że zanim skończyliście czytać instrukcję obsługi, wasze dzieci już zaprogramowały magnetowid i dostroiły telewizor? Jeśli w związku z tym uznały się za mądrzejsze od rodziców, naukowcy przyznają im rację.

- Zakładając, że inteligencję określają odpowiednie testy ustalające tak zwany iloraz inteligencji (IQ), to dzieci naprawdę okazują się inteligentniejsze od swoich rodziców - stwierdzili. Prowadzone od lat 50. badania wskazują wzrost średniej wartości IQ o co najmniej kilkanaście punktów. - Świadczy to jednak o zwiększającej się zdolności człowieka do rozwiązywania pewnego typu zadań, a nie o międzypokoleniowym przyroście inteligencji - studzi entuzjazm prof. James Flynn z Uniwersytetu w Otago (Nowa Zelandia).

Najsilniej „przyrost inteligencji” zaznacza się w zadaniach, które testują wyobraźnię przestrzenną. Dlaczego? W czasach edukacji naszych dziadków większą wagę przykładano do arytmetyki i sprawności werbalnej. - Ludzka orientacja przestrzenna została znacznie podniesiona przez postęp technologiczny - dodaje prof. Flynn. Staliśmy się bardziej inteligentni ze względu na przywiązywanie większej wagi do wychowania, lepsze odżywianie i łatwiejszy dostęp do edukacji.

- Zostaliśmy zmuszeni do rozwoju przez komplikujące się stosunki w nowoczesnym społeczeństwie. Nasze codzienne problemy są bar-

dziej złożone niż kiedyś - uważa John Rust z Uniwersytetu w Londynie.

Ale wzrost wyników testów na IQ zauważa się jedynie w krajach znajdujących się w okresie intensywnego wzrostu. W państwach wysoko uprzemysłowionych się zatrzymał. Naukowcy tłumaczą, że jeśli państwo się rozwija, wychowywane na jego terenie dzieci się uczą. Natomiast w dobrobycie ich umysły dostosowują się do zastanych warunków. (owo)

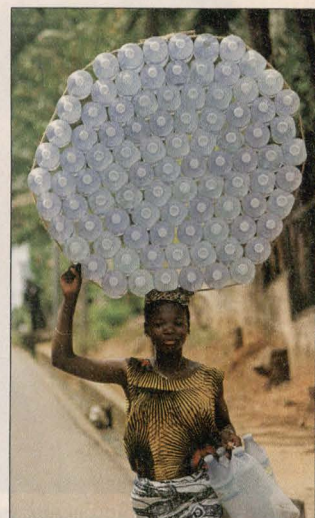
**KTO BY POMYŚLAŁ
RYTM
CZARNYCH STÓP**

Nikt nie potrafi poruszać się tak jak afrykańskie kobiety - stwierdzili naukowcy. I nie chodzi tu o osobiste gusta dotyczące wdzięku, lecz poważne badania nad energetyką chodzenia.

O tym, że poruszanie się na własnych nogach jest męczące, wiedzą wszyscy. Jeszcze boleśniej doświadczają tego ci, którzy muszą chodzić z dodatkowym obciążeniem - siatką z zakupami, plecakiem, nosidełkiem dla dziecka. Tymczasem kobiety w Afryce potrafią nosić spore ciężary - do tego na głowie! - nie pocąc się przy tym prawie wcale. Pomiary przeprowadzone przez belgijskich uczonych wykazały, że na dźwiganie pakunku ważącego tyle co jedna piąta ich ciała kobiety te nie zużywają ani jednej dodatkowej kalorii.

Jak to możliwe? Sekret tkwi w sposobie poruszania się. Afrykanki zupełnie instynktownie dostosowują swój krok do obciążenia, wykorzystując do maksimum energię kinetyczną (czyli rozpęd, jakiego nabiera ciało podczas ruchu). Inni ludzie - a także wszystkie znane nauce zwierzęta - marnują większość tej energii, więc muszą włożyć w chodzenie więcej wysiłku.

Teraz uczeni starają się rozpracować afrykański sekret, tak by potem móc nauczyć oszczędnego chodzenia wszystkich chętnych (w kolejce stoją już na przykład żołnierze). A nie jest to łatwe, bo same „autorki” wynalazku nie są świadome jego istnienia. Bez obciążenia chodzą tak samo jak każdy z nas - rozrutnie. (jaś)



Czy agresja leży
w ludzkiej naturze?
Wręcz przeciwnie
– jesteśmy
bardziej skłonni
do współpracy
niż do konkurencji

JAN STRADOWSKI

Zgoda buduje



FOT. EAST NEWS

Co sprawia, że makaki lubią się iskać, a ludzie mogą budować miasta? Dokładnie to samo – zamiłowanie do kooperacji

Trudno w to co prawda uwierzyć, obserwując istoty ludzkie na co dzień, a zwłaszcza przez pryzmat mediów masowych. Agresja pojawia się zarówno wśród kierowców, ludzi stojących w kolejce i uczniów w czasie przerwy, jak i na najwyższych szczeblach polityki i biznesu. Może prowadzić do ostrej wymiany poglądów, ale też do niszczenia ludzkiego życia i dobytku. Współczesny świat wydaje się wręcz kipieć przemocą.

Coraz częściej uznaje się ją za normę. Wyścig szczurów, wojny

biznesowe, nawet zwalczanie terroryzmu – wszystko to jest przejawem konkurencji. Powszechnie wiadomo, że konkurencja jest zdrowa i nie sposób sobie bez niej wyobrazić na przykład wolnorynkowej gospodarki.

Agresja znikąd?

Jest to proste przełożenie teorii ewolucji na realia życia ludzkiego. Przeżywają tylko organizmy najlepiej przystosowane, więc w naturze

z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w St. Louis.

Ta śmiała teza musi się zmierzyć nie tylko ze współczesnymi poglądami, lecz także ze sporym kawałkiem historii psychologii. W latach 60. ton nadawali jej etolodzy studiujący zachowanie zwierząt i odnoszący je także do ludzi. Uznali oni agresję za naturalny instynkt, który narasta sam z siebie i – nawet bez jakiegokolwiek zewnętrznej przyczyny – musi być rozładowany. Bardzo wymowny był tytuł książki Konrada Lorenza: „Tak zwane zło. Historia naturalna agresji”. Krytycy wytykali wówczas przy-

czy inny sposób naturalną siłą napędową naszego rozwoju.

Naczelna kooperacja

Profesorowi Sussmanowi też jeszcze daleko do sukcesu, ale ma w ręku silne dowody. A że niedotycające bezpośrednio ludzi? No cóż, etolodzy także przeprowadzali swoje badania głównie na naszych ewolucyjnych krewnych.

W tym przypadku chodzi o ssaki naczelne, a więc najsilniej spokrewnione z nami zwierzęta. Amerykańscy uczeni zebrali dane opisujące zachowanie wielu różnych gatunków – od szympanśów do lemurów – ale wniosek był zawsze ten sam.

– Te zwierzęta wcale nie są bardzo społeczne. Kontaktom z innymi osobnikami poświęcają najwyżej jedną dziesiątą swojego czasu, a najczęściej odsetek ten wynosi mniej niż pięć procent – twierdzi prof. Sussman. Wśród lemurów zdarzały się nawet takie osobniki, które były zupełnie aspołeczne i przez cały dzień nie miały kontaktów z innymi.

– A co z zachowaniami agresywnymi? Stanowią ledwie ułamek procenta dziennej aktywności! Są bardzo rzadkie, nawet wśród pawianów uważanych dotychczas za bardzo agresywne – dodaje uczony. Owszem, zwierzęta czasem używają argumentu siły, ale najczęściej są to tylko krótkie utarczki.

Okazuje się więc, że najbardziej podobne do człowieka stworzenia przede wszystkim zachowują się wobec siebie przyjaźnie. I jest to 10-, a nawet 20-krotnie częstsze niż agresja!

Skąd więc się ona wzięła w naszym życiu? – Być może jest po prostu produktem ubocznym tego, że żyjemy w społeczności – przypuszcza prof. Sussman. – Ale na pewno nie jest czynnikiem napędowym rozwoju społecznego. Znacznie ważniejsze są współpraca i altruizm – podkreśla.

W jedności siła

Współpraca nie należy wyłącznie do naszej ewolucyjnej historii. Zależy od niej także nasza przyszłość, i to nie tylko jako gatunku biologicznego. Nasza ewolucja dawno już zmieniła kontekst. *Homo sapiens* rozwija się przede

wszystkim technologicznie i społecznie. Efektem tego rozwoju jest to, co dumnie nazywamy naszą cywilizacją.

Owa дума niekoniecznie musi być uzasadniona. Wedle klasyfikacji opracowanej w latach 70. przez radzieckiego (podówczas) profesora Mikołaja Kardaszewa jesteśmy dopiero na progu rozwoju. Pierwszy jego etap nazwany stosownie cywilizacją typu I zakłada opanowanie planety. Taka cywilizacja potrafi kontrolować na przykład pogodę czy ruchy skorupy ziemskiej, nie ma problemów z wyżywieniem obywateli i dobrze zna swój Układ Słoneczny.

Michio Kaku, fizyk teoretyczny i wizjoner nauki, tak opisuje jej rozwój: „Przeobrażenie się w cywilizację typu I wymaga społecznej współpracy na skalę całej planety. Wykorzystać zasoby uranu, energii spalania i reakcji chemicznych mogą społeczności składające się z dziesiątek, a nawet setek milionów obywateli. Czerpanie z zasobów planety wymaga natomiast współdziałania grup liczących miliardy osób. (...) Z samej swojej natury cywilizacja typu I jest cywilizacją globalną. Nie może ona funkcjonować na mniejszą skalę”.

Do zrealizowania takiej wizji jeszcze nam daleko. Ale pierwsze oznaki jej prawdziwości już są. Nie przypadkiem rej wśród narodów świata wiodą Stany Zjednoczone, a Europa jednoczy się pod wspólną banderą. Nie przypadkiem współczesne odkrycia – takie jak chociażby rozpracowanie ludzkiego genomu – są dziełem zespołów liczących dziesiątki i setki badaczy rozsianych po całej planecie. Dziś nawet statystyczny Kowalski czy Smith mogą brać udział w badaniach – wystarczy, że pozwolą, by ich domowe komputery przetwarzały informacje przesyłane przez Internet z ośrodków naukowych. Wspólny mianownik tych wszystkich zjawisk to współpraca.

Zastanawiające, że już małpy o tym wiedziały.

Cytat pochodzi z książki Michio Kaku „Hiperprzestrzeń. Wszechświaty równoległe, pętla czasowe i dziesiąty wymiar” (wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1999)

MARZENNA NOWAKOWSKA I PIOTR SOCHA przedstawiają:

kOń bY się uśMiał

BRZYDKIE I KŁAMLIWE

Łabędź z bajki Andersena o brzydkim kaczątku był kłamczuchem – bezprawnie ubrał się w białe piórka już pierwszej wiosny. Czekala go za to kara, o czym bajkopisarz już nie wspomniał

Niektóre łabędzie nieme też stroją się w cudze piórka. Zamiast czekać dwa lata na śnieżnobiałe upierzenie świadczące o dorosłości, wkładają je już po roku. W środkowej Europie na ten krok ośmiela się zaledwie sześć procent ptaków. W Ameryce Północnej, gdzie łabędzie dotarły zaledwie przed wiekiem, nawet jedna czwarta dodaje sobie lat. I kiedy bracia i siostry zachowują jeszcze dziecięcą beztróskę, kłamczuchy mogą już założyć rodzinę. Są o jeden rok szybsze w powielaniu swoich genów.

Przedwcześnie dojrzałe ptaki płacą jednak wysoką cenę. Wszyscy dorośli zachowują się w stosunku do nich agresywnie, bez taryfy ulgowej stosowanej wobec młodzieży. Nawet rodzice, którzy szarym potomstwem bez sprzeciwów opiekują się przez dwa lata, przepędzają białe dzieci ze swego terytorium. I to nie za karę. Po prostu białe pióra



wyznaczają status rozrodczy. Taki ptak to zawsze konkurent, którego trzeba przepędzić albo zabić. Najbardziej narażone są młode samce – szansa, że przeżyją kolejny rok, jest trzykrotnie mniejsza niż w przypadku szaraczków.

Poza nieszczęsnym małżonkiem Ledy uwiedzonej przez Zeusa-łabędzia ludzie nie muszą się obawiać konkurencji ze strony tych ptaków. Kawałek chleba zaś chętnie rzucią pięknemu białemu samcowi.

Na podstawie „American Naturalist” z sierpnia 2000

GO ZA WOŃ

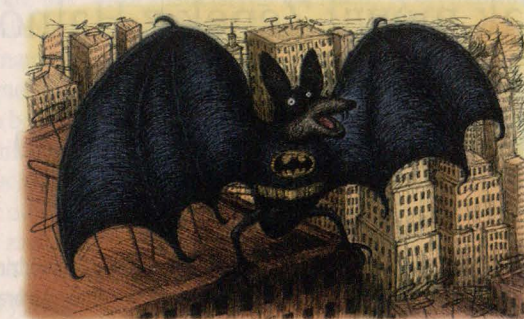
Nietoperze komponują swe naturalne perfumy z takich substancji, że ich zapach odurza samice. Ludzi też, ale zgoła inaczej

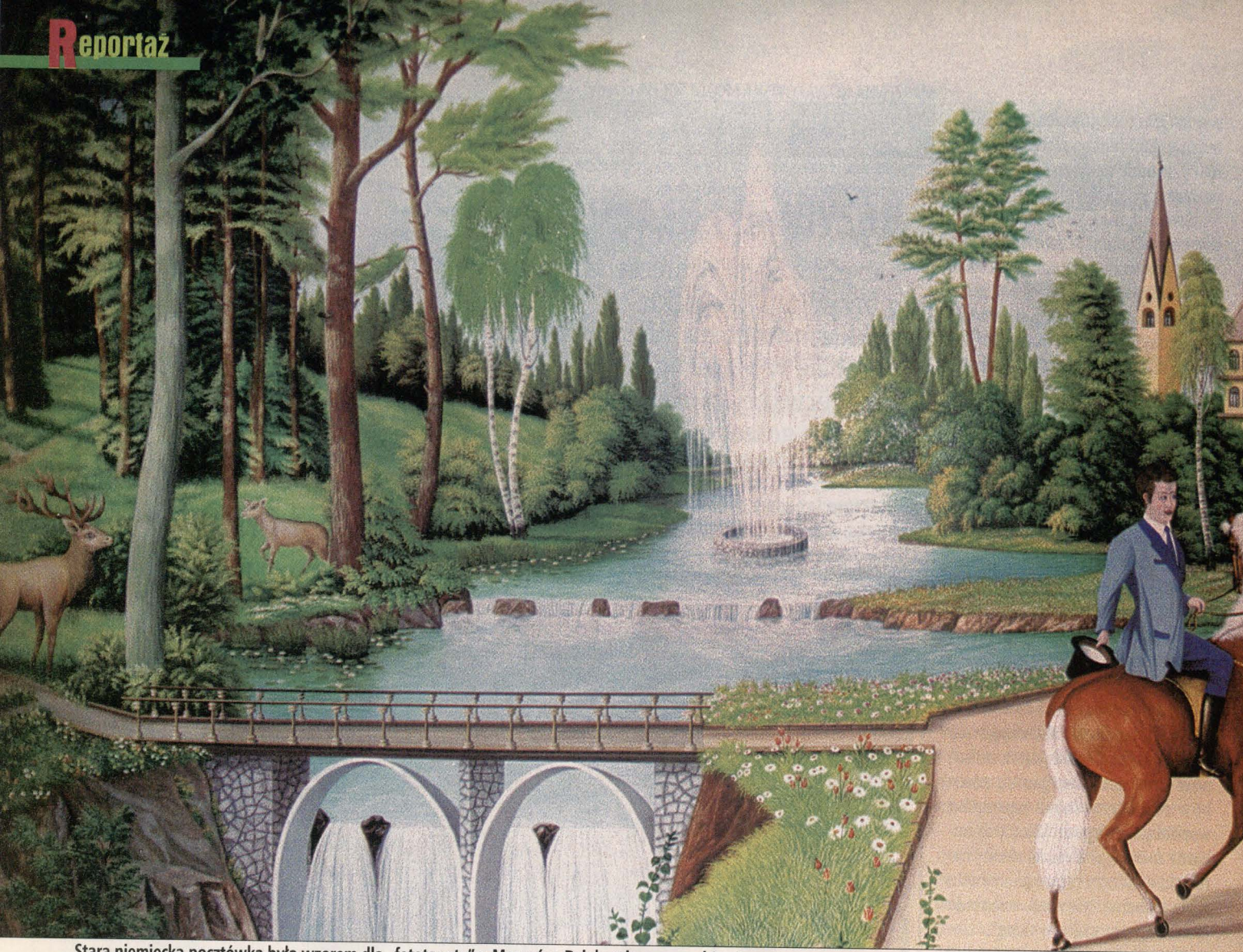
Nietoperze z gatunku *Saccopteryx bilineata* mieszka w Kostaryce. Dnie spędzają w koloniach liczących pół setki zwierzątek przycupniętych na drzewie. Pień podzielony jest na strefy wpływów kilku sam-

ców utrzymujących haremy do ośmiu samic. Samce są zapracowane, bo stale muszą przekonywać jedne panie, żeby wytrzymały w ich towarzystwie, a inne, by się do nich przeprowadziły. Każdego ranka odbywają skomplikowane pokazy lotnicze, zawisając nieruchomo w powietrzu i śląc ku paniom zapachy. W sprawach gustów nie ma dyskusji, ale seksowny zapach wydzielany przez panów jest tak okropny, że trudno pominąć go milczeniem. Woń wydobywa się z zagłębienia na skrzydle. Jeszcze niedawno wydawało się, że wypełniają je gruczoły produkujące smrodliwą wydzielinę. Niemieccy naukowcy ustalili jednak, że zagłębienie jest puste. Cuchnie zaś, bo pełni rolę podręcznego flakonu do komponowania perfum. Nietoperz wypełnia je odrobiną śliny, kropelkami moczu i wydzieliną z okolic kroczka. Przy każdym ruchu skrzydeł wszystko to miesza się, przegrza i w postaci gotowej kompozycji zapachowej frunie do nozdrzy samic. Panie zaś oceniają jakość partnera nie po subtelnościach woni, ale po jej intensywności.

W przeciwieństwie do niektórych ludzi przesadzających z pachnidłami nietoperze mają więc powód, by od ich zapachu aż zatykało.

Na podstawie „Behavioural Ecology and Sociobiology” z roku 2000





Stara niemiecka pocztówka była wzorem dla „fototapety” u Mazurów. Dzieło mierzy ponad 2 x 3 m



TEKST MARCEL ANDINO VELEZ
ZDJĘCIA EWA MORGUNOW



Białoruski ornament namalowany
na bloku w Hajnówce
Obok: kwiatowy plafon
w domu Gryków

Życie i śmierć malarza kwiatów



FOT. ARCHIWUM RODZINNE LEONA ANDROSIUKA

Zostawić po sobie dzieło.
Człowiek się nie liczy.
Tak mówił Zenek z Hajnówki. Pijak.
Zmarł dwa lata temu.
Właśnie zaczyna się jego drugie życie

Zenek urodził się jako Ilarion Daniluk w bogatej, chłopskiej rodzinie. Ochrzcił go sam słynny prorok Ilia z Grzybowszczyzny. Na zdjęciu Zenek (po prawej) z bratem Charytonem i siostrzeńcem Leonem Androsiukiem w rodzinnej wsi Kamień. Lata 50.

Kiedyś dbał o wygląd. Dobierał koszule do garnituru. W wyglansowanych butach szedł do kawiarni i flirtował z kelnerkami. Ale się skończył. Druga połowa lat 90. to nie był w Hajnówce czas na malowidła ściennie. Na fantastyczne pejzaże i kwiatowe ornamenty. Na hiperrealizm. Coraz częściej Zenek dowiadywał się, że jego prace przykryto boazerią, zamalowano farbami reklamowanymi w telewizji. Chodził po domach, w których kiedyś malował. Chciał tylko poprawiać odpryśniętą farbę, oczyścić swe malunki. Nie zawsze go wpuszczano.

Na ulicy Elektrycznej miał dwa przyjazne domy – Gryków i Androsiuków.

Elektryczna jest błotnista. Pełen przegląd trendów w peerelowskim budownictwie jednorodzinnym. Sześciiany, prostopadłościowy. Są i ze spadzistymi dachami. Te otynkowane, tamte nie. Każdy płot inny.

U Gryków jest pięknie. W dużym pokoju pod sufitem wymalowany wieniec czerwonych i białych róż. Pani Anna musiała dopasować do niego żyrandol. Do wazonów z kwiatami wymalowanych na ścianach musiała dopasować zasłony. I firanki. Wszystko musiała dopasować. Nawet narzutę na wersalkę. Na lino-leum w korytarzu namalowany wzorzysty dywan. Boazerii w kuchni trzeba dotknąć, żeby uwierzyć, że nie jest boazerią.

Naprzeciwno Gryków, u Leona Androsiuka, Zenek wymalował pejzaż alpejski na całą ścianę. Kiedyś takich widoków w Hajnówce było sporo.

Zenek chlał. Na jedynym zachowanym zdjęciu widać zdeformowaną twarz, alkoholową opuchliznę. Nie widać amputowanego palca, blizn po pobiciach, odmrożonych nóg.

Kiedyś ludzie czekali dwa lata, żeby pomalować ich dom. Później zaczęli mówić o nim „głupi Zenek”. Policjanci wyciągali go z rowów. Tylko on sam pamiętał jeszcze, że jest artystą.

Pochowano go jesienią 2000 roku na hajnowskim cmentarzu. Za trumną poszła garstka najbliższych.



„Prawdziwa sztuka nie musi być awangardowa. Ten jeleni jest oczyszczający” – śmieje się Tarasewicz

Plener

Wydział Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, pracownia Leona Tarasewicza. Na ścianie wielkie płótno wymalowane w jasne kwadraty. Na kwadraty naklejone dmuchane lale z sex shopu. Przy swoich pracach uwijają się studenci.

W lutym przez cały tydzień obchodzili domy w Hajnówce i okolicznych wsiach. Pomyślowca pleneru Leon Tarasewicz kazał studentom oglądać prace Zenka.

– Chciałem, żeby zobaczyli, co to znaczy być prawdziwym artystą – mówi Tarasewicz.

Podbierał kredę, fedrował węgiel

Prawdziwy artysta Zenek urodził się jako Ilarion Daniluk 21 października 1939 roku we wsi Kamień. Jego ojciec Aleksander Daniluk był przed wojną wyznawcą słynnego proroka Ilii z Grzybowszczyzny i razem z nim budował Nowe Jeruzalem – wieś Wierszalin.

Prorok Ilia ochrzcił Ilariona.

– Czasem jak mu bardzo ludzie dokuczali, to wypominał: „Was w cerkwi chrzcili, a mnie chrzcili sam prorok!” – mówi Grykowa, sąsiadka Zenka.

Póki Zenek był Ilarionem, ludzie tak bardzo mu nie dokuczali. Ojciec był bogatym chłopem. W stajni trzymał cztery konie, w sadzie 60 uli. Jak jeździł z miodem na targ do Bielska Podlaskiego, to przywoził małemu Ilarionowi farby do malowania.

Czasem ze szkoły ginęła kreda. Jak zginęła, to wiadomo było, że zaraz na płotach w całym Kamieniu pojawiają się piękne kwiaty i ptaki. Dla rodziny Ilarion malował obrusy i makatki. Jeden obrus wymalowany w roku 1952 zachował się u Leona Androsiuka. Czerwone róże nieco wyblakły, ale wciąż trudno uwierzyć, że wyszły spod ręki 13-latkę. 30 lat później Charyton, brat Ilariona, rozbierał chałupę po rodzicach. Belki porąbał na opał. Co zostało po bracie pijaku, też poszło do pieca.

Ilarion stał się Zenkiem, fedrując węgiel. Pod koniec lat 50. zamiast do wojska trafił

Na batiuszkę zamiast rosyjskich chłopów czekała na ścianie wielka goła baba

do kopalni. Na Śląsku białoruskie imię nie budziło szacunku. Koledzy z kopalni przezwali go Zenek. Ktoś z przełożonych odkrył, że ten Zenek z Podlasia ma talent plastyczny.

– Wysłali Zenka do szkoły plastycznej w Katowicach. Wytrzymał rok – mówi Leon Androsiuk, siostrzeniec Zenka. – Pewnie kazali tam martwe natury malować, a on chciał malować tylko to, co żywe.

Wrócił do kopalni. Został ratownikiem górniczym. W czasie akcji go przysypało. Ze zmiażdżonej twarzy lekarze usunęli chrząstkę nosową. Od tej chwili Zenek wyglądał dość zadziornie.

– Nie było go w rodzinnych stronach 13 lat. Wiemy tylko o tym, co robił przez pierwsze pięć, gdy był na Śląsku. Któregoś dnia przyszły do jego rodziców pocztą z Krakowa dokumenty Zenka. Jakiś czas go poszukiwali. Potem dali spokój. Przez następne osiem lat nie było od niego żadnego sygnału. Aż któregoś dnia wysiadł z pekaesu w Kamieniu i przyszedł do swoich rodziców – opowiada Androsiuk.

Zenek nie chciał opowiadać, gdzie był i co robił. Mówił tylko, że mieszkał w Krakowie i że naszło go, żeby wrócić. Z Krakowa przyjechała za nim kobieta. Namawiała, żeby jechał z nią. Nie chciał. Pisała listy. Potem przestała.

Nie był jak Utrillo

Jan Gryka ma 42 lata, wraz z Anną Nawrot kieruje Białą – najbardziej znaną lubelską galerią. Uczy malarstwa na UMCS. Tworzy instalacje obsypywane mąką. Jego sztuka mówi o ulotności. Z Zenkiem zetknął się po raz pierwszy, gdy miał 15 lat.

– Byłem w pierwszej klasie liceum plastycznego w Supraślu, kiedy rodzice pobudowali się i wzięli go do malowania. Przyjeżdżałem na weekendy do domu, szedłem do Zenka i gadaliśmy o malarstwie. On mi dawał małe kawałki ścian do pomalowania. Zobaczył, że coś potrafię, i mówi: „Ty się ucz w tym plastyku, a jak wrócisz, to razem będziemy domy malować”. W liceum malowałem pejzażyki poplenerowe, jakieś sytuacje surrealistyczne. Trochę bebechów, jakieś czaszki.

Po liceum Jan Gryka nie wrócił do Hajnówki. Zdał na Wydział Artystyczny lubelskiego UMCS.

– Z punktu widzenia szkoły to malarstwo Zenka nie miało żadnej wartości – mówi. – 20 lat mi zajęło, nim zrozumiałem, że malarstwo Zenka to jest sztuka. Na studiach fascy-

nowałem się Utrillem, genialnym samoukiem. Ten chlał wino i był wielkim malarzem. Do głowy mi nie przyszło, że Zenek był jak Utrillo.

Gdy widoki Paryża malowane przez Utrilla zaczęły się świetnie sprzedawać, malarz skończył z pijaństwem, burdami i kuracjami w zakładach psychiatrycznych. Ożenił się, kupił domek w Dax, kurorcie na południu Francji. Dożył spokojnej starości. Zenek spokojnej starości nie zaznał.

Wielka goła baba

Po powrocie w rodzinne strony Zenek szybko znalazł sobie zajęcie. Przez pewien czas malował jako czeladnik w spółdzielni malarzkiej. Z tego czasu pochodzi dekoracja osiedla Milenium w Hajnówce. Ponure bloki, jeszcze nie z wielkiej płyty, Zenek pokrył ornamentem z białoruskich tkanin dwuosnowowych. Piękne ludowe wzory geometryczne, tylko kolorystyka zupełnie niebiałoruska: róż, oranż, błękit. Jedyne chyba bloki w PRL-u o tak oryginalnej elewacji. 20 lat temu sfotografował je zaskoczony Leon Tarasewicz.

Mimo nalegań matki, chorego ojca i rodzeństwa Zenek ani myślał się ustatkować. Gdy nalegania stały się nieznośne, wyniósł się z Kamienia. Tak zaczęła się trwająca prawie 30 lat włóczęga.

Jednym z pierwszych domów, do których trafił jako samodzielny malarz, był dom Gryków w Hajnówce. Mieszkał w nim rok. Potem samo zaczęło się kręcić. Gierok rozbudowywał hajnowski przemysł. Ludzie masowo przenosili się ze wsi do miasta. Wokół tartaków i fabryk Hajnówki rosły osiedla domów takich jak przy ulicy Elektrycznej.

Opowiada Leon Androsiuk:

– Moda na Zenka się zrobiła. A on był taki, że nie do każdego się zgadzał iść na robotę. Najgorzej, jak już w trakcie roboty ktoś mu się wpięprzał. To się strasznie denerwował. Ale zasadę miał jedną – nigdy nie rzucił zaczętej roboty. Tylko honorem się unosił i pieniędzy nie brał. Jak malował, to czasem przez miesiąc się nie pokazywał. Nocami pracował, bo wtedy mu nikt nie przeszkadzał. A Zenek nie cierpiał, żeby patrzeć, jak maluje. Okna zalepiał gazetami. Żeby się tylko nikt nie gapił. A gazet zawsze miał dużo, bo lubił czytać. Czasem kupował, ale raczej sobie zbierał od ludzi. Jak rano wstał, to zawsze zaczynał od prasówki. Książki też czytał, ale głównie podręczniki zielarskie. Miał w stoickach posuszonych ziół,



U Zenka białoruska ludowość łączy się z peerelowską kulturą wizualną: kalendarzami, pocztówkami, czasopismami

co sobie sam uzbierał. Zawsze powtarzał, że malarze chorują na układ pokarmowy, parzył sobie na to pokrzywę.

Jedną z najpiękniejszych prac Zenka jest dekoracja domu państwa Wawrzeniuków we wsi Kołty. Skromna drewniana chałupa w ciągu sześciu miesięcy roku 1979 przeobraziła się w imponujący rozmachem i poziomem warsztatu malarzkiego egzotyczny ogród.

– Sam sobie tak wymyślił – opowiada Grzegorz Wawrzeniuk. Jego syn był pilotem oblatywaczem w jednostce w Rembertowie. Przywiózł do Kołtów swego przełożonego, by mu pokazać Zenkowe kwiaty. Ten nie spał całą noc. Kontemplował bukiety ze ścian. Rano pojechał szukać Zenka w Hajnówce. Z ulicy zabrał go do Warszawy. Nie było Zenka pół roku.

Kiedyś malował dom batiuszce z Dubin pod Hajnówką. Batiuszka pokazał Zenkowi album z malarstwem Iwana Szyszki, wielkiego rosyjskiego pejzażysty. „Namaluj mi to!” – zażądał. Wybuchła awantura. Zenek krzyczał, że nie jest od malowania kopii. Zniknął na parę dni, chlał. Potem wrócił i pyta batiuszki: „Dalej chcecie tego Szyszki?”. Batiuszka przytaknął. Zenek wziął się do malowania. Nie wpuszczał nikogo, póki nie skończył. Potem, nie czekając na zapłatę, po cichu się wyniósł. Na batiuszkę zamiast rosyjskich chłopów czekała w pokoju wielka goła baba. Co gorsza, golizny nie dało się

zamalować, bo Zenek użył wyjątkowo tłustych farb. Trzeba było skuwać tynk.

Pod koniec lat 70. Zenek trafił na swoje przeznaczenie – rodzinę hajnowskich hodowców kwiatów, Mazurów.

– Pierwszy dom nam wymalował, ale go sprzedaliśmy. Potem postawiliśmy tę piętrowkę, to już wiadomo było, że nam Zenek będzie robił – opowiada Mazurowa. – On się nie dawał lubić. Ja mu mówię, że nie chcę tyle tych kwiatów, bo to niemodne, a on mi pyskował: „Co ty mi będziesz gadać, ja jestem malarz!”. Ale z nami już się żył. Ten dom stawialiśmy w roku 1983. Wtedy modne były fototapety. To Zenek mówi: „Co będziesz sobie tu coś takiego kleić?! Ja ci lepsze namaluję!”.

U Mazurów piętro ma charakter reprezentacyjny. W salonie pod gipsowymi stiukami puszcza paprociowa i skórzane kanapy. Tu miejsca dla Zenka nie było. Obok w sypialni nad łóżkiem wielki Chrystus w Ogródcu. Tylko po kwiatkach można poznać na tym obrazie rękę Zenka. Za to w pokoju gościnnym – na całej ścianie romantyczna scena wprost z niemieckiego sztambucha. Na rumaku młodzian, na schodach przed pałacem dama w bufiastej sukni. Ogród francuski, obok ogród angielski. Fontanna i kaskada. I białowieskie jelenie.

– Kuzynce pokazywałam zdjęcia z chrzcina wnuka. Pytała, czy żeśmy urządzali w pałacu

w Białowieży. Nie poznała Zenkowego widoku – wybucha śmiechem Mazurowa. – Taki był zdolny!

Lot z drugiego piętra

Jan Gryka: – Towarzyszyła mu aura ekscytacyjna, wariata. W Hajnówce mówiło się, że mu się pomieszało w głowie od tego wypadku w kopalni. Ale to wynikało przede wszystkim z powszechnego niezrozumienia, o czym Zenek mówił. Jak on zaczynał mówić o malowaniu, to dla ludzi to były niepojęte tematy. Nie ma się co dziwić, że traktowali go jak świra. Jak malował, to zasuwał kilkanaście godzin dziennie. I komu miał opowiadać o tym, co przeżywa? Więc jak po miesiącu malowania by nie poszedł i się nie nachlał, toby umarł. Kto w Hajnówce był dla niego partnerem do rozmów o problemach twórczych?

Leon Tarasewicz: – Miał alibi, że maluje ściany, tymczasem on rozwiązywał sobie zadania malarskie. Wiedział, że z nikim o tym nie może porozmawiać. To jak kończył malować, impreza była nieunikniona. To była reakcja na osamotnienie, na to malowanie po nocach, przy zasłoniętych oknach.

Leon Androsiuk: – Brał pieniądze, zawsze się dobrze ubrał: garnitur, koszula, krawat. Wszystko sobie dopasował. I szedł



Leon Androsiuk w pokoju gościnnym

do restauracji czy gospody. Zaczynało się kulturalnie. Zaraz wszyscy chcieli, żeby im stawił. A on pieniądze miał za nic. Towarzystwo go gubiło. Niby każdy był mu kompan, a tylko go oskubywali. Na święta nie miał do kogo pójść.

Jan Gryka: – Zenek bankietował. Ubrany, elegancki. Swoje chłanie traktował poważnie. A że potem można go było znaleźć pod płótnem, to już inna rzecz. Dobrze, że różnym policjantom robił domy, to go nigdy na izbę wytrzeźwień nie wzięli, tylko odwozili, gdzie tam akurat malował.

Leon Tarasewicz: – Jedna z tych imprez w Bielsku Podlaskim skończyła się tym, że go skopanego i rozebranego wyrzucono z balkonu, z drugiego piętra. Sam się potem z tego wylizał.

Zenek by się bardzo cieszył

W przerwach między malowaniem nie miał się gdzie podziać. Z całej Hajnówki najczęściej odwiedzał Gryków i Androsiuków.

– Ojciec trochę się go bał i czasem nawet nie chciał wpuszczać. Zenek najlepszy kontakt miał z moją mamą – wspomina Jan Gryka.

Pani Anna wciąż mówi o nim w czasie terazniejszym. „Zenek przychodzi, Zenek mówi”. W kuchni letniej w obórce miał tapczan, na którym często sypiał. Czasem gotował Grykom obiad, czasem podjadał słoninę. Szanował ich, bo mieli syna malarza, a dla Zenka nie było ważniejszej rzeczy od malowania.

– Żałuję, że się Zenkiem nie zajęliśmy wcześniej. Ale we mnie samym musiało nastąpić przemiana, żebym przekonał się, że to jest coś wartościowego. Pierwszy raz Leonowi Tarasewiczowi opowiedziałem o Zenku w roku 1997. Sam potrzebowałem autorytetu, który by potwierdził, że twórczość Zenka jest ważna. Umawialiśmy się z Tarasewiczem ze 20 razy, że jak ja będę w Hajnówce, a on u siebie w Waliłach, to się spotkamy i poszukamy Zenka. A że

Jedna z imprez w Bielsku Podlaskim skończyła się tym, że skopanego i rozebranego Zenka wyrzucono z drugiego piętra

o Zenku rozmawiałem z Androsiukiem, póki Zenek żył, to jest pewne. Bo podobno Zenek bardzo się cieszył, jak usłyszał, że interesuje się jego malarstwem – opowiada Jan Gryka.

Ostatni raz Jan Gryka widział Zenka 15 lat temu.

Wzór moralny

Tarasewicz hajnowskie widoki, kwiaty i ornamenty zobaczył dopiero latem zeszłego roku, rok po śmierci Zenka.

Zachwycił się. Postanowił zorganizować plener dla swoich studentów.

– To fascynujące, kiedy człowiek do końca życia nie godzi się z porządkiem świata. Chciałem, żeby studenci zobaczyli, że tylko wielka wola i poświęcenie pozwalają być takim artystą jak Zenek. Paradoksalnie, mimo tego, co o Zenku-pijaku myślą mieszkańcy Hajnówki, chciałem studentom postawić Zenka za wzór moralny – mówi Tarasewicz.

– Nie od razu nam się realizacje Zenka spodobały. Najpierw wydawało nam się, że to potworny kicz – opowiadają Marta i Anka.

– Studenci zobaczyli, że awangarda jest akademicka. A prawdziwa sztuka nie musi być awangardowa. Ku mojej radości jeden chłopak przyniósł po plenerze płótno: jeleni i sarna na soczystej trawie. Od czasów Gustave’a Courbета jeleni nie był na akademii czymś pozytywnym. Ten jeleni jest oczyszczający – śmieje się Tarasewicz.

O studenckim plenerze zamieścił dwie krótkie notki białostocki dodatek „Gazety Wyborczej”. Napisano między innymi:

„Właściciele tych arcydzieł nie potrafią ukryć zdziwienia, że artyści z Warszawy przyjeżdżają oglądać bohomy Zenka, niewykształconego alkoholika”.

Rodzina Zenka, nie wiadomo nawet dokładnie kto, zażądała sprostowania. Mieszkańcy Hajnówki poczuli się dotknięci.

Leon Tarasewicz i Jan Gryka mogą mówić o twórczości Zenka godzinami. Gryka zauważył, że w większych chałupach Zenek malował tylko ornamenty. Do ciasnych wnętrz o licznych małych oknach wielkie widoki kompletnie nie pasowały. Nie ta estetyka. Widoki malował w willach z pustaków. Tarasewicz przeanalizował, skąd Zenek czerpał inspirację.

Tarasewicz mówi:

– Ja rozpoznaję, że dziewczyna i chłopak siedzący nad wodą na jednym z widoków

to echo makatki „Świeża woda zdrowia doda”. To są wszystkie cytaty z otoczenia Zenka, a on widział więcej niż przeciętny mieszkaniec Hajnówki. Ale w tym malarstwie jest zawsze obecny także białoruski sentyment. U Chagalla białoruska ludowość łączy się z żydowskim mistycyzmem, u Zenka – z peerelowską kulturą wizualną: kalendarzami, pocztówkami, czasopismami.

Gryka:

– Teraz mówię, że Białostoczczyzna ma dwóch malarzy: Leona Tarasewicza i Zenka. Dla mnie to wielka rzecz, że rodzina i ci ludzie w Hajnówce, którzy na niego pluli, mówią o nim „fajny był”. Oczywiście – kombinują. Ale dla mnie jest najważniejsze, że może wreszcie poczuć, iż zostawił im coś fajnego, coś oryginalnego, czego nie ma nigdzie indziej. Teraz Zenek zaczyna żyć drugi raz.

Śmierć malarza kwiatów

Ostatnim domem „robionym” przez Zenka była nowa willa Mariusza Mazura, właściciela kwiaciarni, syna hodowców róż. Zenek niczego już tu nie zamierzał malować. Po prostu wkurzyło go, że robotnicy murujący klinkierowe ściany sfuszerowali spoiny. Postanowił wszystkie wyrównać i pociągnąć czarną fugą. Uwinął się z robotą w kilkanaście dni. Został mu komin. Był 25 września 2000 roku, poniedziałek. Nie wydobył po niedzielnym pijaństwie, ale zwykle rano brał się do roboty. Dziś było inaczej. Leżał w swojej kanciapie.

Mariusz zadzwonił po pogotowie. Lekarka stwierdziła, że jest „wypity” i nic mu nie będzie. Zenek dalej się nie ruszał. W końcu zabrali go do szpitala w Białymstoku. Diagnoza: krwiak w mózgu. Zmarł trzy dni później, po operacji.

Pogrzeb malarzowi kwiatów z własnej kieszeni opłacił kwiaciarnik. Kupił mu ładny garnitur.

– Trudno taką śmierć wymyślić – mówi Leon Tarasewicz. – To zupełnie jak śmierć Łomnickiego na próbie „Króla Leara”.

MARCEL ANDINO VELEZ



OKIENKO Z WIERSZEM

Andrzej Sosnowski

Piszemy

W wieku XXI Bóg będzie atrakcją turystyczną albo nie będzie Go wcale. Oczywiście. To powiedziawszy, musimy się jednak dobrze zastanowić. Czy ktoś nie powiedział już czegoś podobnego?

Tak, widzę birnhamski las waszych rąk, opuśćcie, możecie już teraz opuścić. Oczywiście. Nie trzeba być dziennikarzem, żeby mieć swoje skromne zdanie. Czy w takim razie Jaś mądrze proponuje

zastąpić słowo „turystyczną” słowem „dziennikarską”? W takim wypadku, Jasiu, już nie atrakcją, ale? Tak jest, sensacją. Zapiszę umownie nasz wzór na tablicy – SD (AT) albo zero. I jeszcze przekreślę zero. Brawo! Tylko jeżeli NIE przyjąć,

że nawet w tej naszej ostatniej podróży musimy ciągle być kimś jakby w rodzaju specjalnego wystannika, albo turysty z wachlarzem rewelacyjnych atrakcji. Proszę? To chyba jasne, że mam na myśli p a k i e t,

pamiętamy przecież Schulza z jego sanatorium. Trzykrotna nieśmiertelność? Marylko, to nie ma teraz nic do rzeczy. Firma Uszczerbek & Szwanek? Karolu, takie żarty lepiej zachować dla siebie.

Cisza. Teraz proponuję tak: podzielimy się na dwie grupy, turystów i dziennikarzy, i zobaczymy, która grupa przygotuje najciekawszą relację. Pamiętając, że turysta pisze swoją wypowiedź w formie listu do wybranej osoby

a dziennikarz wstrząsający reportaż. Słucham? Czy ktoś to wyda? Lecz w tym momencie – co to ma być w ogóle za pytanie? Ilość znaków? „Długość prawie epicka, ale gęstość haiku”. Ja żar-

tuję. Nie, najwyżej felietonowa, Karolinko. Dobrze. Jeśli więc nie ma dalszych pytań? – – – spróbuję was wprowadzić w poetycki nastrój. Była sobie raz mała stacyjka. Garstka podatników marznie na peronie.

(Czekają na podmiejski, który musi przepuścić ekspresy). Ciemno, duża śnieżycza. Nagle: Unde malum, unde malum dzwoni drezynka i znika. Chwilę potem: szu szu, nadjeżdża Baczewski. Bóg osobowy

Bóg pospieszny Bóg osobowy Bóg pospieszny. Powolutku – Bóg osobowy Bóg pospieszny Bóg osobowy Bóg pospieszny. Piszemy.

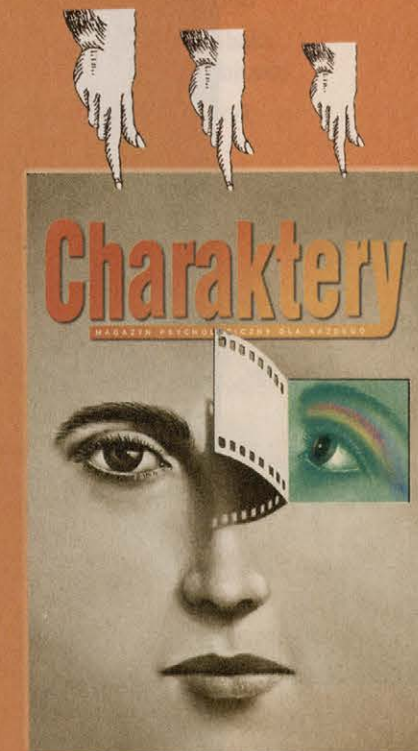
ANDRZEJ SOSNOWSKI (rocznik 1959), poeta i tłumacz, opublikował między innymi tomy „Życie na Korei”, „Stancje”, „Konwój. Opera”. Laureat Nagrody Kościelskich (1997).



rys. PIOTR GIDLEWSKI

Jak człowiek uczy się bólu
Ból można zrozumieć
Psychologiczne metody
oceniania typu i siły bólu
Emocjonalne przeżywanie
bólu

O tym przeczytacie w:



Jedynie popularne pismo
psychologiczne dla tych,
którzy szukają, pytają,
dążą...



W kwietniowych „Charakterach”
do wygrania indeks Instytutu
Psychologii Stosowanej
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Chłopcy tolkienowcy



Festyn tolkienowski w Bielawie

FOT. ELEK BREGALAD

Już ponad dwa miliony Polaków obejrzało ekranizację pierwszej części „Władcy Pierścieni”. Są wśród nich maniacy, którzy przebierają się w baśniowe stroje, a jeden nawet nauczył się wymyślonego przez J.R.R. Tolkiena języka elfów

RAFAŁ SMOczyński

W rodzinie Ryśka interesowano się Skandynawią i mitologią germańską za sprawą dziadka Ślązaka. W czasie II wojny służył on jako żołnierz Wehrmachtu w Norwegii i przywiózł do domu zdjęcia i burzliwe wspomnienia.

Odległy świat Północy rozpałał wyobraźnię Ryśka, dlatego kiedy natrafił w bibliotece szkolnej na „Hobbita”, a w nim na ilustrację przedstawiającą zagadkowy napis w runach, postanowił dowiedzieć się, co on przedstawia.

Korzystając z książek dziadka i encyklopedii, rozwikłał tajemnicę:

– Chodziło o hasło pozwalające przedrzeć się przez wrota podczas wyprawy hobbitów. Odkrycie przyniosło mi dużo satysfakcji – mówi Rysiek.

Podobnie jak inni entuzjaści Tolkiena połykał jego książki, kontemlował ich treść i jeszcze raz wracał do lektury. Wszystkie imiona, nazwy przedmiotów i krain geograficznych,

na jakie natrafił w powieściach, notował w zeszycie i zapisywał alfabetem runicznym.

Biegły elficki

Po kilku latach żmudnych badań Rysiek stworzył gramatykę i słownictwo języka elfów zwanego *quenya* (ten trudny, bardzo fleksyjny język został wymyślony przez Tolkiena, który korzystał w tym celu ze słownictwa

starowalijskiego i fińskiego). Dzisiaj 28-letni Rysiek, absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie Śląskim, biegle mówi i pisze po elficku. Jest jednym z najwybitniejszych znawców języka elfów wysokich i elfów szarych.

Na całym świecie język ten zna zaledwie kilkanaście osób, toteż Rysiek rzadko się w nim odzywa, zasadniczo wykorzystując swą wiedzę do filologicznych dyskusji z innymi znawcami języka *quenya*. Jednak kiedy się go poprosi, chętnie demonstruje swoje umiejętności. Tak stało się ostatnio w herbaciarni w Katowicach, gdzie ku osłupieniu gości lokalu wydekłamował melodyjnym, archaicznym językiem poemat sławiący rasę elfów.

Rysiek, znany wśród innych tolkienowców pod ksywką „Frodo Maggot”, ze wszystkich ras zamieszkujących świat tolkienowski – ludzi, hobbitów, krasnoludów, elfów – największą sympatią darzy właśnie tych ostatnich. Elfy to jeden z najstarszych ludów zamieszkujących mityczny świat Tolkiena – Śródziemie. Są nieśmiertelnymi istotami, zamieszkują niedostępne puszcze i to głównie ich mądrość powstrzymuje siły zła i zniszczenia ciągnące z krainy zła i destrukcji – Mordoru.

Nowa świecka religia

W Polsce jest kilkadziesiąt klubów i stowarzyszeń łączących pasjonatów twórczości Tolkiena, na całym świecie takich klubów są tysiące. W Internecie doliczono się ponad pół miliona stron poświęconych autorowi „Hobbita”. Tolkienizm stał się dla jednych swoistą świecką religią, jedną z filozofii życia, dla wielu innych jest skarbnicą głębokiej mądrości o życiu.

Jednym z najgorliwszych wielbicieli twórczości Tolkiena w Polsce jest Paweł z Warszawy, 24-letni pracownik Telekomunikacji Polskiej. Mityczny świat „Władcy Pierścieni” odczuł – tak twierdzi – jako coś niemal realnego. Kiedy cztery lata temu jego kolega wpadł na pomysł, aby wcielić się w którąś z postaci z książek Tolkiena, Paweł zareagował na pomysł przyjaciela bez entuzjazmu. Od dawna podobała mu się gra w odtwarzanie osób, zdarzeń i charakterów, od czasu do czasu spotykał się w tym celu z kolegami. Zapalali świeczki, puszczała nastrojową muzykę, a każdy z nich przedstawiał wizję niezręczystego świata, fantastycznych postaci, w które próbowali się wcielić. Podczas takiego seansu gracz przejmuje cechy charakteru danej postaci, mówi nie swoim językiem, postępuje w zgodzie z zasadami wyimaginowanej osoby, przejmuje jej moce, słabości, kaprysy.

Czasem taka gra (nazywa się ją RPG – skrót od angielskiego *Role Playing Game*) może trwać nieprzerwanie kilkadziesiąt godzin.

Problem w tym, że Pawła początkowo nie interesował świat wyobraźni Tolkienowskiej. Kilkakrotnie wcześniej zabierał się za książki Tolkiena i odkładał je z niechęcią. Raził go niewspółczesny język, baśniowy świat. Tylko dlatego, że nie miał w tę sobotę nic ciekawszego do roboty, a przyjaciel ostro nalegał, Paweł zgodził się zostać jeźdźcą z Rohanu.



FOT. ADAM MOKRY (3)

stwa ludzi w Gondorze, miejsca, o które nieustannie prowadzono wojny. Mimo tej niezręcznej „pozycji geopolitycznej” Rohirrimowie nie dali się zwasalizować potężnym sąsiadom i zachowali swą niezależność.

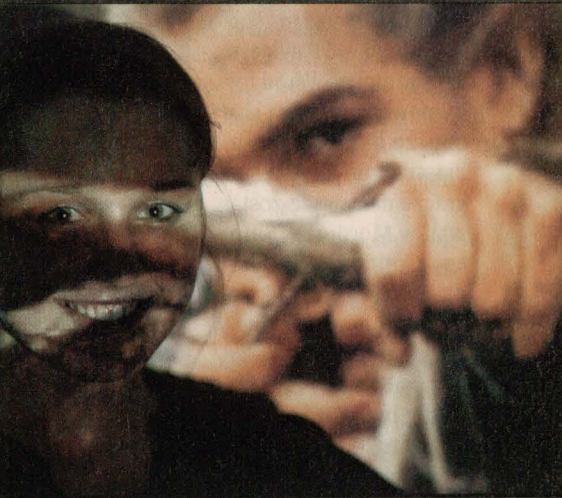
Easy rider przemieniony w elfa

O taką „rohirrimską neutralność” chodziło Pawłowi, kiedy włączał się w seans RPG. Gdy jego koledzy walczyli ze złem zagrażającym

Frodo Maggot – Ryszard Derdziński
– znawca języka elfickiego

Tom Gool – Tomasz Gubała
– identyfikuje się z hobbitami

Nifrodel – Anna Adamczyk
– uważa się za elfa



W herbaciarni w Katowicach Rysiek ku osłupieniu gości lokalu wydekłamował poemat sławiący rasę elfów

Śródziemi, spalali się, odgrywając spory krasnoludów z elfami, przezwyciężali kłutwy czarowników i uciekali przed orkami (makabrycznymi stworami żyjącymi w podziemnych czeluściach kopalń), on, z daleka od tego wszystkiego, krążył sobie jako samotny jeździec po bezdrożach Północnego Endoru. Jednak w miarę upływu godzinny gry samotny jeździec się zmieniał.

Z pozycji obojętnego najemnika przeobraził się w aktywnego uczestnika przygody, zrozumiał, że nie można pozostać neutralnym wobec zakusów mrocznych sił Mordoru, że każdy musi opowiedzieć się po stronie dobra albo zła. Po zakończeniu gry Paweł natychmiast, jednym tchem, przeczytał „Władcę Pierścieni”.

Potem sięgał jeszcze po tę książkę siedem razy. „Silmarillion” – księgę zawierającą mity założycielskie Śródziemia – przeczytał 11 razy.

– Tolkien mnie zachwycił, kompletnie uwiódł – mówi Paweł. – Zazdrość tym wszystkim, którzy mają przed sobą ten pierwszy raz, inicjujące zetknięcie ze światem baśni tolkienowskiej. Tego przeżycia nie da się porównać z lekturą żadnej innej książki.

Dzisiaj Paweł w grze wcieleniowej jest elfem, ma swój pseudonim tolkienowski – Elenglad, co w języku elfickim znaczy Blask Gwiazdy. Pracownik TP SA gra stwora delikatnego i potężnego jednocześnie, jest dobrotliwy i hojny („Zawsze chciałem być takim człowiekiem, więc utożsamiam się z elfem”). Zniknął dawny chłód *easy ridera* z Rohanu:

– Nie mogę grać częściej niż raz na dwa miesiace, bo za bardzo angażuję się w swoją rolę – wyznaje Elenglad.

Ostrożność Pawła jest uzasadniona. Wśród tolkienowców chodzą słuchy, że niektórzy entuzjastycznie nastawieni gracze na zawsze zostawali w Mordorze, Shire czy Gondorze. Dochodziło do jakiegoś pęknięcia w osobowości, duch świata tolkienowskiego wciągał na tyle mocno, że nie było już stamtąd powrotu do realiów – dajmy na to – Kielc czy Kutna. Tęsknota za baśnią prowadziła do choroby psychicznej.

Wiktor Woroszyński napisał kiedyś, że powieści Tolkiena są takimi książkami, do których chciałoby się wejść i w nich zamieszkać. Pawłowi Elengladowi jego ulubione dzieło „Silmarillion” przypomina Biblię i serial wenezuelski:

– Napisane jest sakralnym językiem, raz odnalazłem na jednej stronie 30 różnych imion osób ze sobą spokrewnionych. Tak może być tylko w Starym Testamencie albo w telenoweli.

Gęste i prawdziwe

Marek Merry Gumkowski, krytyk literacki i zaprzyjęty fan Tolkiena, mówi o tych powieściach jak o pokoju, w którym niesie się echo: „Tam jest cały konsekwentny świat, ze swoją geografią, tradycją, historią, kulturą. Nie ma miejsca na jakieś zastawki teatralne. Wszystko szczerze do siebie pasuje, jest gęste, prawdziwe. No i ten język, piękny, liryczny. Tolkien »Władcę Pierścieni« pisał przez 12 lat, tam każde zdanie jest dopracowane”.

Marek Gumkowski (zawód – redaktor książki), kiedy nie nosił jeszcze pseudonimu Merry i nie był członkiem Sekcji Tolkienowskiej Śląskiego Klubu Fantastyki, fascynował się strukturalizmem w literaturze. Wszystkie książki, które czytał, próbował analizować zgodnie z tą metodą analizy literackiej.

– Ciekawe, że ta metoda zawiodła w stosunku do Tolkiena, jego powieści nie dało się rozbić na kawałki za pomocą narzędzi strukturalizmu – mówi Gumkowski. Po kilku latach, kiedy pasja naukowca-filologa osłabła, zabrał się na nowo za Tolkiena. – Wtedy mnie to wzięło i trzyma do tej pory.

Amok, jaki wywołuje Tolkien u wielu czytelników, ma różne przyczyny. Merry Gumkowski uważa, że współczesny człowiek łaknie świata mitycznego, z którym można by

nalnych) uważa, że panuje tajemna więź współczesnej cywilizacji z minionym światem ludzi, elfów i krasnoludów opisanym przez Tolkiena: – Tamta rzeczywistość po prostu ewoluowała, aż osiągnęła stan obecny. Ja widzę pozostałości tamtego świata.

Mordor na Śląsku

Nifrodel ciąłość między obydwiema cywilizacjami dostrzega głównie w charakterystycznych postawach ludzi wobec przyrody, w ich standardach moralnych i estetycznych. Na przykład zwyczaje orków z Mordoru są obecnie dość rozpowszechnione na Górnym Śląsku. Zdaniem Nifrodel specjalizująca się w rujnowaniu harmonii natury i zatrutowaniu środowiska cywilizacja Mordoru jest w zasadzie kontynuowana przez

ludzi kierujących ciężkim przemysłem, kopalniami i hutami na Śląsku. Sama Nifrodel uważa się za elfa:

– Jestem liryczna i wrażliwa na piękno, lubię się śmiać i czytać poezję. Tak jak elfy.

Przyjaciół Anki, 24-letni Tomek Tom Goold, pochodzi z Sosnowca, ukończył wydział ekonomiczny, pasjonuje się komputerami. Na swojej stronie internetowej przeprowadził ankietę, która miała pokazać, z jaką rasą Śródziemia najczęściej identyfikują się internauci-tolkienowcy.

Ponad 60 proc. uczestników ankiety określiło się jako elfy, znacznie mniej popularni byli hobbiti, dopiero na ostatnich miejscach znaleźli się ludzie

i krasnoludy. Sam Tomek, jak wskazuje jego „imię zastępcze”, uważa się za hobbita:

– Hobbit to taki ktoś, kto gustuje w spokojnym domatorskim życiu, czasem ciągnie go przygoda.

Gandalf-doradca

Niektórzy czytelnicy, nim podejmą ważną decyzję życiową, zapytają najpierw siebie: „Jak postąpiłby Gandalf na moim miejscu?”.

Nifrodel i Tom Goold niemal każdy dzień zaczynają od tolkienowskiego czatu internetowego („Biorą w nim udział nasi przyjaciele, ma on charakter dość osobisty”), później dochodzi forum dyskusyjne, na którym spotykają się z fanami Tolkiena z całej Polski. Zazwyczaj znają się tylko z wirtualnych pseudonimów.

Rysiek Frodo Maggot zmartwił ostatnio żonę, gdyż ze skromnej pensji agenta banku wirtualnego musiał zapłacić ponad 500 złotych za telefoniczne połączenia z Internetem.

Internauci dyskutują o poważnych merytorycznych problemach książki, na przykład: „Jaki jest związek etyki judeochrześcijańskiej ze światem Śródziemia?” albo „Czy Frodo po odpłynięciu z Gimlim umarł?”.

Mit Śródziemia

Bez wątpienia wśród polskich tolkienowców największym szacunkiem darzony jest Rysiek Frodo Maggot. Jego umiejętności filologiczne, drobiazgowa znajomość powiązań rodów elfickich wywołuje niekłamany podziw. Jednak on sam patrzy sceptycznie na swoje dokonania.

– Według Tolkiena spełnieniem człowieka jest akt kreacji na podobieństwo boskiego stwarzania czegoś z niczego – mówi Rysiek. – Tym dziełem w przypadku Tolkiena było powołanie do istnienia mitu Śródziemia.

Rysiek ma już pewien zamysł, planuje napisać powieść o życiu Słowian w czasach Imperium Rzymskiego.

Trudno powiedzieć, czy 35-letni Elek jest już spełniony (ksywka pochodzi jeszcze z fazy przedtolkienowskiej w życiu Elka i jest śladem jego fascynacji zespołem Electric Light Orchestra), na pewno jednak dzięki książkom Tolkiena doświadczył stwórczej mocy, która pozwoliła mu rozruszać kulturalnie rodzinne miasto. Elek pochodzi z 38-tysięcznej Bielawy na Dolnym Śląsku, ukończył technikum włókiennicze i chociaż dobrze mu szła nauka przedmiotów zawodowych (dobry był zwłaszcza z zajęć o budowie tkaniny), to jednak ciągnęło go bardziej do kultury niż do maszyn tkackich.

Nie wiadomo do końca, czy to łut szczęścia i odczytanie Elka, czy też upadek dwóch zakładów tkackich w Bielawie spowodował, że po ukończeniu technikum Elek zamiast produkcją tkanin zajął się propagowaniem kultury przy urzędzie miejskim.

Działał tutaj prężnie amatorski Teatr Robotniczy, który zasłynął z doskonałej inscenizacji „Tkaczy” Hauptmanna. Dramat wypadł dobrze, bowiem aktorzy mieli spore doświadczenie w materii, o której traktowała sztuka. Jed-

nak kryzys w branży włókienniczej i bezrobocie zdołało aktorów-amatorów i teatr zakończyć swą działalność. Ludzie w mieście stali się apatyczni, mniej czytali, przestali nawet chodzić do kina.

Terapia Tolkienem

Martwiło to Elka przez długi czas i to w dwojaki sposób – po pierwsze, jako bielawskiego urzędnika kulturalnego, a po drugie,



Z prawej Jarosław Elek Florczak z maską Gandalfa (projekt Barbara Śliwińska, wykonanie Lewan Mantidze), powyżej scena ze zorganizowanej przez niego imprezy tolkienowskiej w Bielawie

Kiedy się ściemniło, pirotechnik odpalił smoka i zaczął się atak Smauga na Bielawę

osobiście, jako wrażliwą i twórczą naturę. Pomysł na uzdrowienie sytuacji miasteczka przyszedł niespodziewanie. Było to wspomnienie ołśnienia książki Tolkiena, jakiego Elek doświadczył w bibliotece technikum włókienniczego. – Skoro Tolkien ołśnił mnie, może zrobi to samo z Bielawą – pomyślał sobie.

Zachwyt z czasów szkolnych nie mylił. Elek zorganizował inscenizację pirotechniczną „Atak smoka Smauga na miasto”. W środku Bielawy pojawili się mężczyźni w zbrojach z klubu rycerskiego spod Legnicy,

amator-pirotechnik przywiózł żelaznego smoka, bielawski muzyk Jacek specjalizujący się na co dzień w graniu na weselach skomponował na tę okazję dramatyczną muzykę.

Kiedy się ściemniło, włączono światła, a pirotechnik odpalił smoka i zaczął się atak Smauga na Bielawę.

Ludzie byli zachwyceni. Elek poszedł za ciosem. Na największym placu w mieście zrobił z dziećmi happening hobbitowski. Krążył po placu Wolności, opowiadając przez megafon, jak wygląda hobbit, podczas gdy dzieci rysowały. Udało im się zakleić jedną trzecią placu portretami hobbita.

Świadomość kulturalna w mieście znacznie wzrosła.

Elek już czwarty rok z rzędu organizuje Tolk Folk, plener malarski w Górach Sowich, u podnóża których leży Bielawa. Uczestnicy pleneru wyobrażenia z lektury książek Tolkiena wprowadzają w pejzaż Dolnego Śląska. W mieście mówią, że to podobno dzięki Elkowi „Hobbit” jest tak chętnie czytany w bielawskim liceum.

Nawet ta pozornie najmniej istotna książka Tolkiena może wiele nauczyć, przygotować do życia. Elek uświadomił sobie, że wyniósł z niej naukę o „ostatnich, którzy będą pierwszymi”, kiedy po wielu latach zobaczył swojego szkolnego kolegę niedorajdę w ekskluzywnej limuzynie. Niedorajda został bogaczem i człowiekiem sukcesu, tak jak mali i niepozorni hobbiti, którzy uratowali Śródziemie przed złem Mordoru.

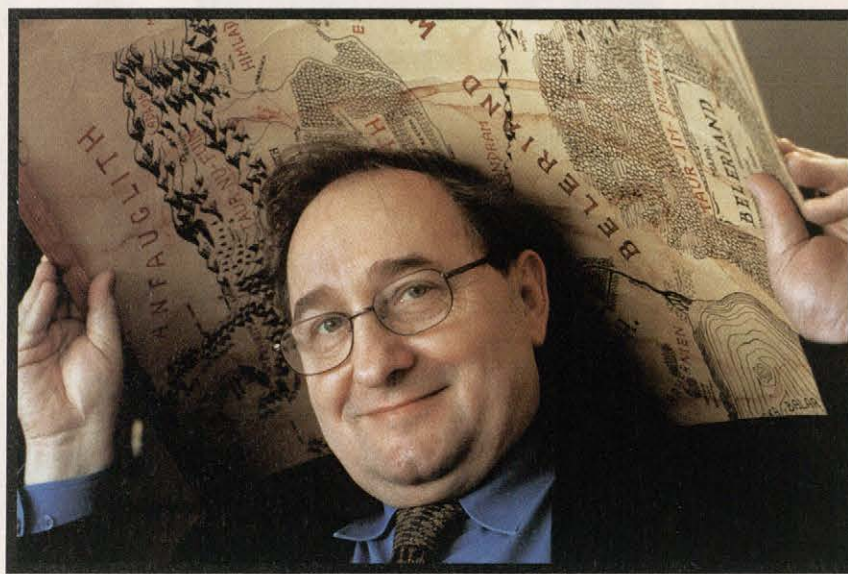
Cena dobra

Andrzej Bilbo Kowalski, honorowy prezes Sekcji Tolkienowskiej z Katowic i prezes gigantycznej firmy Energoprojekt, uważa, że podsta-

wowym przesłaniem twórczości Tolkiena jest gorzka prawda o tym, iż dobro zwycięża, ale za bardzo wysoką cenę. Dobro, jakim było przywrócenie Polsce wolności politycznej, zostało okupione ceną bezrobocia i recesji. Wszystko kosztuje.

– Kapitalizm nie jest światem przypominającym mitologię Tolkiena – wyznaje Bilbo Kowalski, który w wolnej Polsce musiał posyłać pracowników na bezrobocie.

RAFAŁ SMOCHYŃSKI



Bilbo – Andrzej Kowalski – prezes Energoprojektu-Katowice

Kapitalizm nie jest światem przypominającym mitologię Tolkiena – mówi prezes Energoprojektu

się identyfikować. Zdaniem innych tolkienowców rzeczywistość „Władcy Pierścieni” przypomina swoisty apokryf o świecie, który wprawdzie minął, ale kiedyś rzeczywiście istniał.

„Władcę Pierścieni”, „Silmarillion”, a nawet „Hobbita” prawdziwy fan przeżywa nie tylko podczas lektury. Po odłożeniu książki na półkę rozpoczyna się kontemplacja. 20-letni Wiesiek Frodo z Opola ma zwyczaj odgrywania sobie najróżniejszych scen z książek w wyobraźni. Robi kilka takich projekcji dziennie.

– Kiedy jadę autobusem do szkoły – mówi Wiesiek – to nie tracę czasu na bezmyślne takowanie drogi wzrokiem, ja wtedy na przykład uczestniczę w wyprawie przez Góry Błękitne albo pielę ogródek w Hobbitonie.

22-letnia Anka (Nifrodel) z Gliwic (studiuje i pracuje w dziale reklamy jednego z pism regio-



FOT. PIOTR HANAJEJ

PIĄTKA KLEPKA

Dwóch młodych mężczyzn weszło do firmowego sklepu Kenwooda w teksaskiej miejscowości Farmer Branch. Przeszli się wzdłuż półek, wypełniając pokaźne kieszenie swoich spodni przedmiotami takimi jak walkmany, minidyski etc. Kiedy jeden ze sprzedawców zapytał złodziei, co robią, chłopcy odpowiedzieli: „OK, właśnie kradniemy, ale jeśli oddamy ci te rzeczy, to pozwolisz nam wyjść?”. Sprzedawcy tak się zdenerwowali, że natychmiast wygonili złodziei ze sklepu. Dopiero po chwili zorientowali się, że zapomnieli odebrać im skradzione przedmioty. „No i co teraz zrobimy?” – zapytał jeden z pracowników sklepu. – Jak teraz wezwiemy policję? Pomyślą, że byliśmy z nimi w zмовie”. W tej chwili do sklepu weszli znowu złodzieje. „Słuchajcie – zaczął znowu ich przywódca. – Na tej półce, gdzie kradłem, zostawiłem kluczyki od samochodu. Mogę je zabrać?”.

Policjant prowadzący rutynową kontrolę na jednej z dróg w Montanie zatrzymał samochód. Na tylnym siedzeniu znalazł siedem groźnie wyglądających maczet. „Na co panu tyle broni?” – zapytał policjant. „Żongluję maczetami” – odpowiedział kierowca. „Czy może pan to jakoś udowodnić?” – zapytał policjant, któremu już marzyła się nagroda za schwytanie groźnego psychopaty. „Oczywiście” – odpowiedział mężczyzna, wysiadł na pobocze i zaczął żonglować siedmioma groźnymi maczetami. Wtedy jeden z przejeżdżających samochodów nagle zawrócił i z prędkością 200 kilometrów na godzinę zaczął uciekać, jadąc pod prąd. Niewiele myśląc, policjant zostawił żonglera, wskoczył do radiowozu i pognał za uciekającym samochodem. Okazało się, że facet za kierownicą był po paru piwach. Kiedy zobaczył żonglowanie maczetami, pomyślał, że wprowadzono taką nową formę kontroli trzeźwości.

TOMASZ PIĄTEK

chwale, ale...



rys. MAREK SORCZYŃSKI

Pani Stefania, czy warto zakochać się wiośną?

– Na pewno nie. Od wieków istniała tradycja, zwyczaj, obowiązek zakochania się wiośną. To zupełnie wystarczający powód, żeby nie zakochać się wiośną. Nie ma gorszej obelgi niż określić jakieś dzieło czy działanie jako tradycyjne. Wiem, że pachnę naftaliną: teatr, który kochałam, kino, które uwielbiałam, literatura, w której się zatapiałam, okazały się w złym guście.

Niech Pani nie przesadza. Przecież dawniej to dopiero były romanse.

– Moja babcia, zanim wygłosiła serię moralów na dany dzień, zamiast od razu powiedzieć, że jak jeszcze raz przyjdę po dziesiątej, to mnie nie wpuści do domu, siadała w fotelu i zaczynała: „Za moich czasów...”. Na to hasło wyłączałam się i nie wiem, co mówiła dalej, bo ani razu nie udało mi się wysłuchać. Podczas przemówienia babci na aktualny tego dnia temat rozważałam sens istnienia, zastanawiałam się, czy warto odbijać tego Kazia tej Basi, biłam się z myślami, czy powtórzyć przed klasówką fizykę, którą i tak miałam zamiar żywcem ściągnąć. Wszystkie poważne przemyślenia z tych lat zawdzięczam wykładom babci, jak to było za jej czasów.

No i co? Dopiero co siedziałam na krzeselku naprzeciwko fotela z babcią, a dzisiaj siedzę na fotelu naprzeciwko różnych krzesel i mówię – nie, nie mówię, bo nie mam odwagi cywilnej – ale myślę: „Za moich czasów...”.

Co się stało z bóstwami „moich czasów”? Jaracz – staroświecki, „Przeminęło z wiatrem”

Gderanie

– przesłodzone, „Jezioro łabędzie” – nudne, Moniuszko – cikliwy, a rymuje się poezja dla kucharek. Wystawienie „Zemsty” normalnie – to znaczy: genialny utwór grany przez znakomitych aktorów w mistrzowskiej reżyserii – oznacza brak koncepcji (oby pan Wajda przeżył moje głębokie mądrości). Ostał się wprawdzie jakiś Chopin, Słowacki i jeszcze paru zgredów. Ale takim to dobrze: robią za wartości narodowe.

A jak pięknie się płakało na radzieckich filmach wojennych! Ktoś mógłby pomyśleć, że zahaczam o politykę, ale ja przecież mówię tylko o prostej fizjologii: o łzach prosto z serca. Co jest teraz do płakania? „Matrix”?

Wszystko ma być zmienione, inne, współczesne. A przecież i to zmienione, inne, współczesne zestarzeje się i stanie się tradycją. A potem wróci.

Za moich czasów starocią w złym guście był obecny styl retro. Gorset? Zabiłabym się, gdybym miała coś takiego włożyć poza sceną. Secesja? Wazon Gallé? Cóż by to była za hańba, mieć coś takiego w mieszkaniu! No to sprawdź, ile teraz kosztuje taki zhańbiony wazon, a gorsety nosi się na ubraniu, żeby było lepiej widać.

Więc niech się zmienia. Wróci.

A co z tym zakochiwaniem się na wiośną?

– Tego nie da się zmienić. Chociaż kto wie? Jak zacząć eksperymentować...

Stefania Grodzieńska

Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA („GW”)

CHRISTIAAN VAN LIEROP

Spacerek



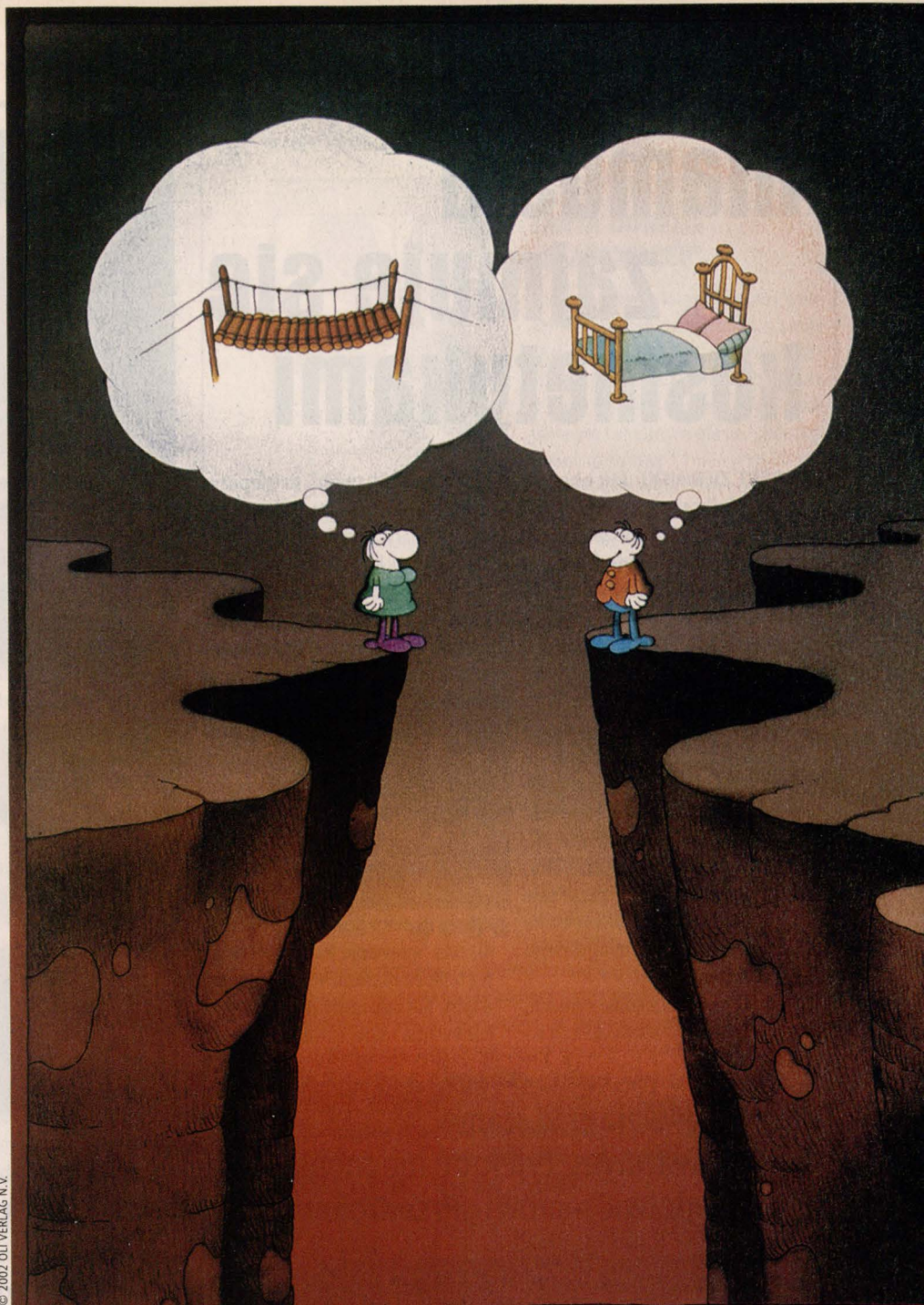
Jak każdy tatuś uwielbiam chodzić na spacerki z moim synkiem. Nie tylko dlatego, że czas spędzony z dzieckiem jest zawsze wartościowy. Ani też dlatego, że przez dwie godziny mam spokój (aczkolwiek trzeba przyznać, że to niewątpliwie plus). Nie, prawda leży gdzie indziej. Zauważyłem mianowicie, że podczas tych przechadzek cała rzesza nieznanomych pięknych kobiet uśmiecha się do mnie z utęsknieniem. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że z... pożądaniem.

Zorientowawszy się dość szybko, że to nagłe zainteresowanie mną bynajmniej nie jest spowodowane moim wyglądem (rzadkie włosy, zbyt grube okulary itp.), lecz obecnością brzdąca w wózek, zacząłem się zastanawiać nad tą, jakże typową, ironią losu. Wniosek jest jeden: żeby kobiety na ciebie leciały, musisz mieć dzieciaka. No tak, ale jak masz dzieciaka, to jest już za późno na „te sprawy”. Albo dzieciak, albo akwarium.

Początkowo myślałem: to kwestia tego, że taki mężczyzna wyróżnia się z tłumu. Że jest postrzegany jako inny, wrażliwy, czuły, delikatny. Kobiety podziwiają takich, myślą sobie: „Ach, gdyby tylko mój facet był taki!”. Nic bardziej mylnego. W końcu facet z wózkiem to w Polsce nie taki znowu rzadki widok. Wystarczy spojrzeć na spacerujące młode pary, aby zauważyć, że prawie zawsze to właśnie mężczyzna prowadzi wózek.

Nie, ów uśmiech nie jest wyrazem ani podziwu, ani uznania, ale raczej uśmiechem samozadowolenia i satysfakcji. Oto kolejny facet spełnia swój obowiązek! Myślicie, że żartuję? Czy wiecie, jak trudno być w Polsce mężczyzną? Zwłaszcza gdy jest się cudzoziemcem?

Przyznam, że mam dwie lewe ręce. Nigdy nie wiem, czy śrubę wkręca się w prawą, czy w lewą stronę. Nie wiem, gdzie pod maską samochodu znajduje się pompa oleju ani co to jest chłodnica. Jeżeli nie znasz się na tym, nie zdasz w Polsce egzaminu u żadnej kobiety. Polki już w początkowej fazie znajomości z mężczyzną przeprowadzają przeróżne testy. W przypadku mojej żony było tak, że musiałem wywiercić w ścianie dziurę i przykleić karnisz. Szczęśliwie



Guillermo MORDILLO

uniknąłem sprawdzianu – nie miałem wiertarki... Ale lista sprawdzianów rosła i miałem coraz to nowe zadania do wykonania. Wiecie, jak to jest...

Co prawda nie jestem majsterkowiczem, ale uwielbiam gotować. Może dlatego, że uwielbiam też jeść. Ale, niestety, nie jest tak, że możesz na przykład mieć piątkę z robienia jajecznic, lecz dwóję z wbijania gwoździ. „Męskie” przedmioty trzeba zaliczyć – jak przedmioty w szkole – wszystkie, po kolei i bez wyjątków. Jakiegokolwiek inne umiejętności są może i mile widziane, ale nie mają większego wpływu na ogólną ocenę.

Więc z tymi spacerkami to jest tak. Widząc, ilu mężczyzn prowadzi wózki

w parku, moja żona zaczyna to traktować jako typowo męskie zajęcie. Chętnie mnie wypuszcza samego z synusiem. Chodzimy więc sobie z Jaśkiem po Łazienkach przez trzy, cztery godziny. Gdy wracamy do domu, jest już zbyt późno na montowanie szafek. Mimo tego mam poczucie, że wypełniłem swój męski obowiązek. I ja jestem szczęśliwy, i moja żona. A gdy jakaś ładna kobieta uśmiechnie się do nas, ma u mnie i mojego synka plus. Zresztą wierzę, że te nasze wspólne spacerki będą procentowały w przyszłości. Może któregoś dnia Jasiek sam wyciągnie mnie na spacer. Do knajpy, na przykład.

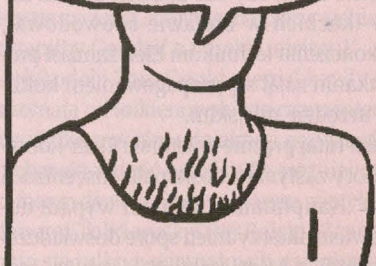
WIDZIAŁEM FILM. JEST MODA NA ZACHODZIE. MĘŻCZYŹNI DEPILUJĄ SIĘ.



NA CAŁYM CIELE. WSZĘDZIE.



TAKA DEPIŁACJA KOSZTUJE TYLCO DWULETNI LANOS.



Mamusia zajmuje się kosmetykami

ROBERT ZIĘBIŃSKI: Jak obecnie ustosunkuje się Pani do swojej wypowiedzi: „Pochodzenie z rodziny muzycznej było bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem”?

ANNA MARIA JOPEK: To musiał być dawny wywiad i zdumiewa mnie takie sformułowanie. Dziś wiem, że to jest błogosławieństwo. Odkąd wychowuję swoje dzieci, widzę to w innej perspektywie. Mam pełną świadomość tego, że gdyby mnie tata nie pilnował i zwiślałbym na trzepaku, tak jak planowałam spędzić całe dzieciństwo, to dzisiaj zapewne niewiele miałabym wspólnego z muzyką.

Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której byłabym nieświadoma te-

harmoniczne, chłód, ta nieprzystojna dostojaść zawsze mnie onieśmiały. Wiedziałam, że trzeba niezwyklej odporności psychicznej, żeby udźwignąć taki koncert. Do tremy wynikającej z faktu, że prezentuje się człowiek przed innymi, dochodzi jeszcze pokora dla dzieła. To, że nie jesteśmy tam tylko we własnej sprawie, lecz przekazujemy myśl, którą kiedyś stworzył Bach, Mozart, Beethoven. Trzeba mieć wystarczająco dobre, sprawne palce, dobrą głowę, żeby zapamiętać i unieść ciężar takiej partytury. Wtedy dopiero pojawia się miejsce dla nas. Śpiewanie jest przysłowio-
wą bułką z masłem w porównaniu z tym, jak ogromny jest trud wykonywania takiej sztuki.



FOT. MAREK DUSZA / RZ / REPORTER

ANNA MARIA JOPEK

Ilekoć bywałam w stanie błogosławionym, tylekoć nie mogłam się temu nadziwić – mówi „Przekroju”

go, co się dzieje w harmonii czy metrum, kiedy jestem na scenie i śpiewam choćby tylko prostą piosenkę. Lubię widzieć wszystko. I wykształcenie ogromnie mi w tym pomogło. Mam je wyłącznie dlatego, że moi rodzice o nie zadbałi. Dzięki nim nauczyłam się higieny pracy i tego, że muzyka jest czymś najwspanialszym, co się może człowiekowi przydarzyć w życiu.

Nie żał Pani fortepianu?

– Nie, ja już dawno temu zrozumiałam, że wyczynowa wirtuozeria nie jest dla mnie. Od siódmego roku życia miałam głębokie wewnętrzne przekonanie, że muszę w życiu zajmować się muzyką. Przez jakiś czas sądziłam, że będę pianistką. Ale te wszystkie sale fil-

W tytułach Pani płyt jest coś bardzo emocjonalnego, intymnego: „Jasnośćyszenie”, „Bosa”, a teraz „Nienasycenie”. Czy takie było założenie?

– Człowiek chodzi wokół płyty, kończy kolejne piosenki i cały czas nie wiadomo, jak je podpisać. Zdarzają się też sytuacje doskonale odwrotne. W przypadku płyty „Bosa” najpierw był tytuł. Najpierw miałam ochotę nagrywać płytę z bossa novami, ale potem, kiedy przyjrzelśmy się bliżej tytułowi „Bosa”, szybko doszliśmy do wniosku, że chcemy nagrać sielską, słowiańską i bardzo pierwotną płytę. I właśnie taka ona jest. Tytuł „Jasnośćyszenie” z kolei wymyśliła Magda Czapińska.

Żartuję, że w pewnym sensie „Jasnośćyszenie” jest jak jasnowidzenie. Że może przewidziałam boom na folk. „Nienasycenie” – wiele znaczeń. Mówi o mojej pasji grania, o tym, jak wiele gatunków muzyki tkwi we mnie, jak bardzo nie chcę się ograniczać do jednego brzmienia, do powtarzania poprzednich albumów.

Czy żałowała Pani kiedyś swoich decyzji?

– Zapytano mnie ostatnio o festiwal Eurowizji, z takim podtekstem, że ja nie powinnam była właściwie... A dlaczego? Byłam wówczas nikomu nieznaną debiutantką. Dostałam propozycję zaistnienia. Śpiewałam piosenkę, którą lubiłam. W Dublinie zajęłam miejsce bo-

daj 11., nawiasem mówiąc najwyższe po Edycie, i dzięki temu nasza reprezentacja pojechała na następne rozgrywki bez „egzaminu”. Potem wszyscy nasi świetni, uznani, sprawdzeni wcześniej rynkowo artyści autentycznie przepadali, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ani się dziś tego wstydzę, ani wypieram, jak mi sugerowano. To był jeden z elementów mojego wczesnego życia zawodowego, artystycznie niespecjalnie ważny. Ale dobra decyzja, bo podpisałam kontrakt płytowy i nagrałam sporo muzyki, którą cenię, z wielkimi artystami, których wielbię.

I w momencie kiedy Pani kariera pięta się już w górę, nagle Pani zachodzi w ciążę, rodzi

dziecko. Nie bała się Pani, że dziecko zaszkodzi karierze?

– Dzieci przyszły na świat spontanicznie, nie wskutek spre-cyzowanego planu rodzinnego. Myślę, że Pan Bóg wiedział, co robi. Dzieci porządkują człowiekowi system wartości. I owoce na stojąco i miażdżąca recenzja muszą zejść na plan dalszy, kiedy pojawiają się kolki, katar. Nie mam zupełnie czasu na to, żeby siedzieć i zastanawiać się nad tak zwaną kreacją w mediach. Moje dzieci zupełnie nie interesuje, czym się zajmuję. Mój syn Franczek ostatnio zapytany przez Marcina (Kydryńskiego, męża wokalistki – przyp. „P”): „Właściwie czym, Franiu, zajmuje się twoja mamusia?” – bardzo długo się zastanawiał, a po chwili, mrugając oczami z zadowoleniem, że sobie przypomniał, powiedział: „Kosmetykami!”. Ilekoć wychodzę na własne koncerty, kładę na twarz puder, tuszuję rzęsy i mówię: „Mamusia idzie do pracy”. Więc on faktycznie myślał, że na tym polega moja praca.

Pani muzyka nie jest popowa, nie jest nośna w sposób medialny... A jednak cały czas unosi się Pani na fali popularności. Jak się Pani udaje znaleźć kompromis pomiędzy muzyką ambitną a popem?

– Przede wszystkim nie czuję rozdźwięku między tymi pojęciami. To wielka umiejętność: pisać popularne piosenki, które satysfakcjonują na wielu poziomach. Uwielbiam pop wyrafinowany, urzeka mnie niebywała muzyczność George’a Michaela, o co pew-

nie mało kto by mnie posądzał. Wszyscy wiedzą, że się zabójczo kocham w Stingu.

Nie widzę sprzeczności w fakcie, że muzyka trafiająca do milionów ludzi jest jednocześnie najwyższej próby. Pat Metheny, Mozart, Duke Ellington... Odrzucam bariery. Jestem egoistką. Lubię grać muzykę.

Czy to jest egoizm?

– Może to jest złe słowo, nie mam poczucia, że moja muzyka zbawia świat, przede wszystkim ma pomóc w moim życiu. Czuję się naprawdę szczęśliwa, mogąc to robić, i przy okazji może się jeszcze okazać, że w parę innych osób moje szczęście przenika, to jest już coś, co absolutnie przekraczało kiedyś granice moich marzeń.

Jeszcze cytat z Pani: „Kobieta to najdoskonalszy twór Boga”.

– A nie? Może Bóg jest kobietą, skoro stworzył ludzi na SWOJE podobieństwo? Przecież Bóg właśnie powołuje do życia! A my możemy rodzić dzieci. To jest niesamowite i nie ma nic a nic wspólnego z feminizmem. Ilekoć bywałam w stanie błogosławionym (dwa razy – przyp. „P”), tylekoć nie mogłam się temu nadziwić, że rośnie we mnie nowe istnienie i że tak z miesiąca na miesiąc ono się coraz bardziej dobija, a potem wychodzi z tego taki prawdziwy, żywy człowiek. To niezwykle, czysta metafizyka. Mężczyźni są bardzo fajni, nie mam nic przeciwko mężczyznom, ale kobiety naprawdę są niezwykle istotami.

Rozmawiał
ROBERT ZIĘBIŃSKI



ANNA MARIA JOPEK „NIENASYCENIE”

Z nowym albumem Anny Marii Jopek sprawa jest dość zabawna. Z jednej strony – znakomici muzycy, zgrabne linie melodyczne, przyjemny głos Ani. A z drugiej – infantylno-grafomańskie teksty autorstwa Marcina Kydryńskiego w rodzaju: „W celi twego mózgu, spętana w zwoje (...) nie będę twoja”. Być może, gdyby wokalistka nie wyśpiewywała owych tekstów z takim emocjonalnym zaangażowaniem, nie zwracałyby na siebie tak dużej uwagi. Niestety, zwracają, co obniża wartość artystyczną skądinąd niezłego albumu. (RZ)

Universal

● SŁABE ● PRZECIĘTNE ● ZACNE ● ZNAKOMITE ● WYBITNE



TANYA DONELLY „BEAUTYSLEEP”

Po bodaj pięciu latach drugim solowym albumem przypomina o sobie eksliderka grupy Belly znana wcześniej z Breeders i Throwing Muses – Tanya Donelly – kobieta o niezwykle pięknym i smutnym głosie. „Beauty-sleep” to zestaw 11 muzycznych perełek przepełnionych melancholią i nostalgią za tym, co minęło bezpowrotnie. Faktem jest, iż w muzyce gitarowej nic Donelly nie wymyśla, ale nie musi, bowiem jej głos w połączeniu z melodyjnymi piosenkami daje rockowy album, który zupełnie śmiało można kupić na prezent zarówno nieznanemu, jak ukochanej kobiecie. (RZ)

4AD/Sonic



PROLAPSE „GHOSTS OF DEAD AEROPLANES”

Album niezwykle, który trudno przypisać gatunkowo. To mroczna i transowa muzyka oparta na pulsującej linii basu i elektroniczno-gitarowych efektach. Taka zmutowana współczesna wersja Joy Division w dodatku z przeplataniem damsko-męskim wokalem. Osiem powalających atmosferą piosenek, których powinni się wystrzegać ludzie łatwo podatni na depresję. Największe wrażenie robią jednak linie melodyczne. Momenty, kiedy wokalistka swoim delikatnym głosem wyśpiewuje lub raczej melorecytuje tekst, a wokalista w odstępie kilku sekund za nią go powtarza. To wszystko tworzy specyficzną atmosferę od intymności do rozpacz – zwłaszcza w zamykającym album utworze „Planned Absolenscence”, kiedy wokalistka niczym mantrę powtarza w kółko „I love you, I love you...”. (RZ)

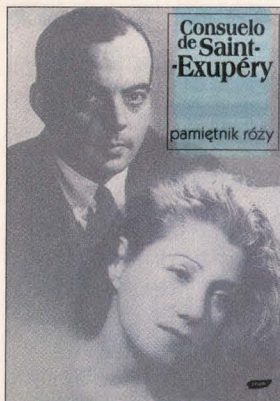
Koch/Cooking Vinyl



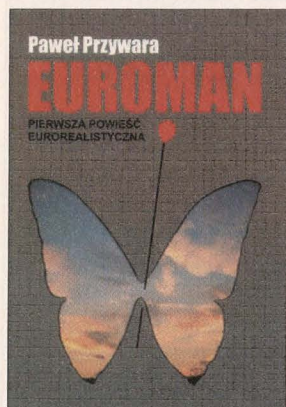
ECHO AND THE BUNNYMEN „FLOWERS”

Powroty po latach rzadko bywają udane, tym bardziej cieszy ten właśnie albumik „Flowers”. Lata świetności brytyjskiej formacji Echo and the Bunnymen przypadały gdzieś na połowę lat 80. Teraz nie ma już miejsca na świecie dla smutnych alternatywnych piosenek, jednakowoż panowie z Echo zdają się tym nie przejmować. „Flowers” to 45 minut muzyki czystej. Nieskalanej współczesnością. No, może czasami pojawiają się jakieś delikatne komputerowe przeszkadzajki, nie rzutują one jednak na całość albumu. A ten jest zwarty i utrzymany na równym poziomie. Po prostu 11 bardzo dobrych rockowych piosenek. 11 piosenek o miłości, samotności i innych ludzkich przypadłościach. Bez rewolucji, ale kto dzisiaj jeszcze potrzebuje rewolucji? (RZ)

Koch/Cooking Vinyl



Consuelo de Saint-Exupéry
„Pamiętnik Róży”,
przeł. Joanna Guze,
Znak, Kraków 2002



Paweł Przywara „Euroman”.
Pierwsza powieść eurorealistyczna”,
Biblioteka „Frazy”, Rzeszów 2001



Helmut Böttiger „Paul Celan.
Miasta i miejsca”, Borussia
(seria: Odkrywanie Świata),
przeł. (świełnie!) Jakub Ekier,
Olsztyn 2002

Wiele się spodziewałem po wspomnieniach wdo-
wy po sławnym pisarzu. Nie tylko plotkarskiego
materiału, lecz także zakulisowych tajemnic warsz-
tatu. Obiecując rysować się zwłaszcza współudział
pięknej Latynoski w powstaniu najślawniejszego
utworu Saint-Exupéry'ego – „Małego Księcia”.
Otóż kluczowa postać książki, czyli Róża, miała
swoją pierwowzór w osobie nieco rozkapryszanej
sawantki Consuelo. I niestety. Zawód. Owszem,
plotek i drobiazgów tu pełno, ale całość robi wra-
żenie fotoplastykonu lub meksykańskiej opery my-
dlanej. Scena za sceną, wszystkie kapiące od dia-
logów, w większości błahych. Na dodatek porwa-
nych jak kawałki puzzli i uporządkowanych zgod-
nie z wewnętrzną logiką pamięci autorki, trudno
zatem chwilać się zorientować, w jaki moment
życia pisarza jego żona pozwoliła nam zajrzeć. Nie
jest to książka zła, ale na pewno boleśnie subiek-
tywna. (FL)

Kapitałne, satyryczne odniesienie się do przegięć
natrętnej euroentuzjastycznej propagandy. Oto wi-
zja Polski, która znalazła swego króla Midasa – nie-
jakiego Kowalskiego (swoją drogą kawał chama)
potrafiącego grać w kasynie w ruletkę budżetem
narodowym, pomnażającego dobrobyt i szczęście,
a raczej jego złudzenie. Atrakcyjny apendyks
do odwiecznej dyskusji na temat Polski jako pawia
i papugi narodów rozbiera, gdy dowiadujemy się,
że nasza ojczyzna sama z siebie zmieniła nazwę
na Kolonia, żeby się weselej (z wakacjami) kojarzyło.
Zarówno umiejscowieniem akcji na statku „Promo-
cja”, jak i stylistyką Przywara czyni zabawne aluzje
do „Trans-Atlantyku” Gombrowicza. Książka byłaby
jeszcze lepsza, gdyby autor darował sobie peł-
ne resentymentu komentarze dotyczące innych
młodych pisarzy, wobec których ma nieuzasadnio-
ne kompleksy. (PDW)

Oczywiście, te wszystkie teksty są nam potrzebne.
O Paulu Celanie uważanym za jednego z najwięk-
szych poetów XX wieku, o żydowsko-niemiecko-
rumuńskich Czerniowcach skąd pochodził, napi-
sano w Polsce tak mało (niemal nic!), że przyda-
je się wszystko. I solidna biografia, rekonstrukcja
świata młodości poety, lat wojny, emigracji, i „re-
portaż literacki” – wędrówka śladami Celana
po jego miejscach, od Czerniowców po cmentarz
na bezludnych peryferiach Paryża. Potrzebne są
analizy wierszy Celana, przydałby się też opis jego
relacji z bliskimi i dociekania nad tym, jakie do-
świadczenia i wspomnienia były dlań najważniej-
sze. W książce Böttigera dobrze czyta się frag-
menty „romansu detektywistycznego dla humani-
stów”, czyli relację z poszukiwań śladów po
Celanie; nie czyta się źle plotek o jego znajomych
i relacji o jego przyjaźniach. Dlaczego jednak mu-
simy to czytać tak poszatkowane i upakowane
w książeczke liczącej niewiele ponad sto stron,
nie jest do końca jasne. (WS)



FOT. PAT

Panowie z okienka

Kabaret Starszych
Panów jako kraina
Muminków cierpiąca
na klęskę urodzaju

D oświadczony szef restauracji wie, że
klienta najłatwiej się bałamuci do-
brze przygotowanym menu. Takim,
którego lektura drażni zmysły, przy-
wołuje obrazy i obiecuje przyszłe rozkosze.
Dla miłośników Jeremiego Przybory i Jerzego
Wasowskiego zachęcającym jadłospisem (w gu-
stowej, twardej oprawie) może się okazać książ-
ka Romana Dziewońskiego „Kabaretu Starszych
Panów wespół w zespół”. Kabaret był przecież
w dużej mierze duchową i poetycką ucztą.

Wyobraźmy sobie na początek 11-letniego
Romcia, który wciśnięty między zastawkę i ścia-
nę studia wsłuchuje się w rozmowę swojego oj-
ca z Jaremą Sępowskim: – „Nie. To nie w tele-
fonie gwizdże. To ja... Jak to, ja nie w telefonie?
Ja w telefonie, ale nie w telefonie gwizdże, tyl-
ko ja gwizdże w telefonie”. Po czym jest świad-
kiem dramatycznego „SOS” Kaliny Jędrusik
i sławetnego makijażu bez lusterka Ireny
Kwiatkowskiej. Trudno się dziwić, że dla Romcia
kraina Panów A. i B. stała się czymś w rodzaju
krajiny Muminków, tyle że zaludnionej przez
Kuszelasa, Jesienną Dziewczynę, Niedużego,
Dosmucacza, Tatusia i inne charyzmatyczne po-
stacie. Jak wiadomo, bakcyl dziecięcej fascyna-
cji jest nieuleczalny. Jej efektem jest szczegó-
ły opis wszystkich programów i nadprogramów
Kabaretu (również tych, których nie zarejestro-
wano na telewizyjnych taśmach) wzbogacony
pokaźną liczbą niepublikowanych dotąd zdjęć,
wywiadów, wypowiedzi, wycinków, cytatów i re-
cenzji prasowych. O Kabarecie opowiadają nie
tylko Michnikowski, Krafftówna, Gołas czy
Hanuszkiewicz, lecz także kamerzyści, muzycy,
realizatorzy telewizyjni. Autor z przesadną
skromnością oddaje im głos przy każdej możli-
wej okazji, na czym traci, niestety, konstrukcja
i fabuła książki.

Kompozycja „Kabaretu...” przypomina bo-
wem barokową suitę wygrywaną przez bardzo
wesołego pianistę – w gąszczu dygresji i dygre-
syjek, radosnych i smutnych opowieści na każ-
dy temat gubi się całkowicie główny rdzeń opo-
wieści. Programy Kabaretu były co prawda rów-
nie zwichrowane, jednak wszystkie wątki pro-
wadzono w nich z niebywałą precyzją i dyscy-
pliną. Zabrakło w książce silnej, autorskiej ręki,
która by niezmierzone bogactwo szczegółów
uporządkowała i ułożyła we frapujący sposób.
Mści się na Romanie Dziewońskim tempera-
ment dokumentalisty. Z materiałem, który uda-
ło mu się zebrać, można by się zapewne powa-
żyć na przygotowanie przyzwoitej, kilkuset-
stronicowej Encyklopedii Starszych Panów.
W przypadku skromnej objętościowo propozycji
Dziewońskiego mamy do czynienia z klęską uro-
dzaju. Na dodatek monstrualna polifoniczność
fabuły przy znikomej ingerencji autora powodu-
je, że czytelnik (chcąc nie chcąc) zmuszony jest

obserwować świat Przybory i Wasowskiego
na sposób mitycznego Argusa – setką oczu. I te
oczy muszą mu po jakimś czasie trochę łzawić.

Z tego „barszczu przygód” da się oczywi-
ście wyłowić liczne smakowite kąski. Świet-
nym pomysłem było wprowadzenie czytelnika
w klimat ówczesnej siedziby telewizji przy pla-
cu Powstańców Warszawy, miejsca narodzin
Kabaretu. Gdzieś tam, między resztkami deko-
racji i lodówkami, w których regenerowano
zużyte lampy, trwali Starsi Panowie ze swoim
„staroświeckim” programem. W cieniu opo-
wieści o Starszych Panach przewijają się gigan-
ci – Jaracz, Zelwerowicz, Iwo Gall, Bardini,
Sempoliński, Dymsha czy Boy. Z drugiej stro-
ny występują gdzieś tam ponure pokemony
w rodzaju Gomułki i szefa telewizji Pańskiego
(zabrakło jednak świetnej anegdoty o towarzy-
szu Wiesławie rzucającym w ekran kapciami
w czasie emisji Kabaretu).

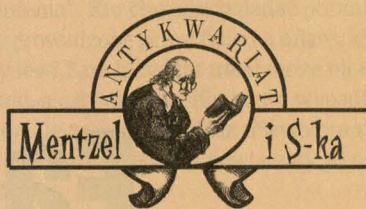
Największą zasługą Dziewońskiego jest
chyba wydobywanie z cienia osobowości
i dokonania Jerzego Wasowskiego, któremu
w dotychczasowych wspomnieniach i opraco-
waniach poświęcano z reguły mniej uwagi niż
Jeremiu Przyborze. Znajdziemy tu opowie-
ści zarówno o Wasowskim – „poszukiwacz
dźwięków” (rozstrajającym fortepian za
pomocą łańcucha od górnośląskiego), jak i o
Wasowskim – nauczycielu i mistrzu (uczącym
bite cztery tygodnie Krafftównę i Łazukę śpie-
wania na dwa głosy „Przeklnę cię” – auten-
tycznie wzruszające).

Mimo mankamentów „Kabaretu Starszych
Panów wespół w zespół” pozostaje menu zac-
nym i zastraszającym apetyt, a także uroczo kul-
turalnym (takt, z jakim Dziewoński pisze o swo-
im ojcu Edwardzie, jest godny podziwu), zwa-
żając że autor nie darzy rewerencją współczesnych
biesiad telewizyjnych. Z zaproponowanej przez
niego wyczerpującej listy dań warto na początek
zamówić „Herbatkę”. A później rozkoszować się
ocalałą na taśmach telerekordingu ucztą.

PIOTR CZERNIAWSKI



Roman
Dziewoński
„Kabaretu
Starszych Panów
wespół w zespół”,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2002



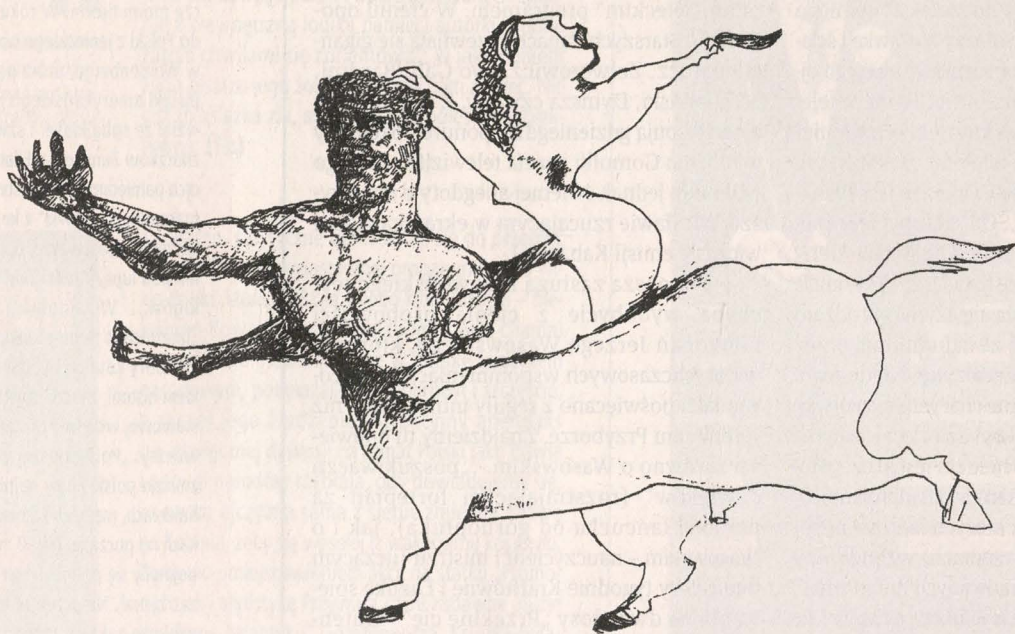
Zumstein & Co. Europa. Briefmarken-
-Katalog. 8. Auflage. Bern, 1925

Gdy mój ojciec został filatelistą, nie był jesz-
cze moim ojcem. W roku 1945, wracając
do Polski z jenieckiego obozu dla oficerów
w Woldenbergu, prócz pękatek jak baryłka
puszki amerykańskiego mleka w proszku
wziął ze sobą klaser i szwajcarski katalog
znaczków Zumsteina. Filatelistyczne rytuały
ojca pamiętam z dzieciństwa doskonale: od-
maczanie „masówki” z kopert i pocztówek,
suszenie, prasowanie, oglądanie ząbkowa-
nia pod lupą, maniakalne wertowanie kata-
logów... W autobiograficznej książce
„Taternictwo nizinne” Jakub Karpiński pisze,
że dobry katalog był dla niego podręcz-
nikiem historii; znaczki zbierane w szkole pod-
stawowej wcześniej dostarczały różnorodnej
wiedzy: „Po pierwszej wojnie światowej
znaczki polskie były najpierw w koronach,
halerzach, markach i fenigach. Sumy w mar-
kach na początku lat 20. rosły, w roku 1924
pojawily się złote i wzrost cen znaczków się
zatrzymał. Na przełomie lat 40. i 50. naj-
większe nakłady miały znaczki z podobiz-
ną Bolesława Bieruta (nosił tytuł prezyden-
ta). Wkrótce trzeba mu było na wążach na-
stemplowywać nadruk »groszy« (złote zmie-
niono na grosze). Znaczki mówiły o gospo-
darce”. Gdy pod koniec lat 50. matka wy-
przedała na życie rodzinne pamiątki – obra-
zy, biżuterię i stołowe srebra – ojciec z cięż-
kim sercem postanowił sprzedać najcenniej-
szą część swojej kolekcji: znaczki poczty
obozowej w Woldenbergu. Suma, jaką do-
stał za wszystkie 43 znaczki wydane w Of-
lagu IIC i za kilka okolicznościowych stempli,
które tam wykonywano z gumy od masek
gazowych, wystarczyła na odnowienie
mieszkania. Znaczki obozowe pozabawione
były ząbkowania i kleju; znaczek opatrzo-
ny numerem katalogowym jeden nazywał
się „Wdowa”. Drugi z wydanych w Wolden-
bergu znaczków („Goniec-listonosz”) od-
nalazłem po latach. Zapomniany egzem-
plar tkwił pomiędzy stronicami katalogu
Zumsteina. Kilka dni temu dowiedziałem się,
że znaczek ten projektował podporucznik
Jerzy Staniszkis. Nakład wyniósł 1087 sztuk.
Ojciec miał co najmniej dwie.

ZBMENTZEL@WP.PL

JOHN IRVING

Facet od lwów



Tak jak bohater jego najbardziej znanej powieści – „Świata według Garpa” (pamiętnej także dzięki ekranizacji z Robinem Williamsem w roli tytułowej) – zanim został pisarzem, John Irving był w młodości zapaśnikiem. I zanim w zeszłym roku wybrano go na członka Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury, pisarza uhonorował zapaśniczy Salon Sławy w Stillwater w Oklahomie.

Jednak bohaterem najnowszej powieści kończącego w tym roku 60 lat Irvinga nie jest zapaśnik, lecz dziennikarz. Do napisania „Czwartej ręki” natchnęła pisarza informacja o pierwszej transplantacji ręki w Ameryce. A o tym, jak ów Patrick Wallingford, reporter, własną dłoń utracił, traktuje pierwszy rozdział, którego fragment drukujemy dziś w „P”. (PDW)

RYSUNKI HANNA KOTOWSKA

W listopadzie 1989 roku, gdy runął mur berliński, Wallingford pracował jeszcze dla jednej z wielkich ogólnokrajowych sieci telewizyjnych. Cieszył się, że towarzyszy w Niemczech tak ważnemu historycznemu wydarzeniu, ale teksty, które przysyłał z Berlina, nieustannie przeredagowywano, skracając je niekiedy o połowę, a jakiś urzędnik powiedział mu później w nowojorskiej redakcji:

– Wszystkie wiadomości dotyczące polityki zagranicznej są gówno warte.

Kiedy wspomniana sieć zaczęła zamykać swoje zagraniczne biura, Patrick poszedł za przykładem wielu innych dziennikarzy i zatrudnił się w stacji emitującej wyłącznie wiadomości i programy informacyjne. Stacja nie była zbyt renomowana, choć miała zasięg międzynarodowy i nadawała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czy okazał się na tyle naiwny, by sądzić, że stacje informacyjne nie śledzą wyników swojej oglądalności? A rzeczywistość okazała się gorsza, niż przypuszczał, bo w jego nowym miejscu pracy o zasięgu międzynarodowym uwielbiano badać oglądalność minuta po minucie, żeby dokładnie wskazać, kiedy uwaga widzów słabnie albo ulatnia się zupełnie.

Wśród jego kolegów po fachu panowała cicha zgoda co do tego, że przeznaczeniem Wallingforda jest zostać prezenterem. Był bezsprzecznie przystojny, jego ostro zarysowana twarz wybornie nadawała się do telewizji, a Patrick zapłacił już frycowe jako reporter. Żeby było zabawniej, na cenę, jaką zapłacił za reporterski etat, składała się w znacznej mierze nieżyczliwość ze strony jego małżonki.

Wtedy już byłej małżonki. Zdaniem Wallingforda rozkład pożyicia nastąpił wskutek jego częstych wyjazdów w teren, ówczesna żona naszego bohatera twierdziła jednak, że prawdziwym problemem były kochanki Patricka, który – prawdę mówiąc – lubił szybkie przygody seksualne i żywił do nich pociąg bez względu na to, czy gdzieś wyjeżdżał, czy nie.

Niedługo przed wypadkiem musiał stanąć przed sądem w procesie o ustalenie ojcostwa. I chociaż sprawę umorzono, ponieważ test DNA wypadł ujemnie, proces wzbudził gniew małżonki Wallingforda, która oprócz dowodu jawnej niewierności swojego ówczesnego męża miała dodatkowy powód do zdenerwowania: choć bowiem ona od dawna pragnęła mieć dzieci, Patrick stanowczo nie wyrażał zgody na potomstwo. (I w tym wypadku usprawiedliwiał się częstymi wyjazdami).

Byłej żonie Wallingforda, Marilyn, zdarzało się wyrażać żal, że jej były małżonek nie stracił żadnej innej części ciała oprócz lewej ręki. Szybko wyszła ponownie za mąż, znalazła się w błogosławionym stanie, urodziła dziecko i znów się rozwiodła. Lubiała powtarzać, że bez względu na chęć posiadania dziecka bóle porodowe przewyższają cierpienia, jakich zaznał Patrick, tracąc lewą dłoń.

Wallingford nie był porywczy – równowaga ducha, jaką okazywał na co dzień, stanowiła jego znak firmowy w tym samym stopniu co zabójcza uroda. Jednak ból towarzyszący utracie ręki był najwścieklej strzeżoną własnością Patricka. Dostawał szewskiej pasji, kiedy Marilyn trywializowała jego męczarnie, utrzymując, że nie dorównywały bólowi „zwykłego” porodu, jak lubił mawiać Patrick.

Nie zawsze zachowywał także równowagę ducha w obliczu oświadczeń swojej byłej żony, w których nadawała mu miano nałogowego kobieciarza. Uważał, że nie uganiania się za kobietami, albowiem ich nie uwodzi, a tylko pozwala im uwodzić siebie. Nie wydzwaniał do kobiet – to one dzwoniły do niego. Był chłopięcym odpowiednikiem dziewczyny, która nie potrafi powiedzieć „nie”, przy czym, jak twierdziła jego była żona, należałoby tu położyć nacisk na słowo „chłopięcym”. (Dobiegał trzydziestki, kiedy się rozwiedli, ale Marilyn była zdania, że w duchu pozostał chłopcem).

Wciąż nie mógł zasiąść na fotelu prezentera, na który wydawał się przeznaczony, a po wypadku jego szanse na objęcie tego sta-

nowiska zmalowały jeszcze bardziej. Ktoś z kierownictwa powołał się wtedy na „czynnik przeczulenia”. Kto chciałby oglądać poranne czy wieczorne wiadomości prowadzone przez frajera i ofiarę, której odgryzł rękę zgłodniały lew? Sam incydent trwał może nawet krócej niż trzydzieści sekund, a cały materiał filmowy z wypadku liczył zaledwie trzy minuty, ale żaden posiadacz telewizora nie mógł go nie widzieć, bo telewizje całego świata powtarzały go nieustannie przez kilka tygodni.

Patrick bawił wtedy w Indiach. Jego macierzysta stacja informacyjna, z uwagi na zamiłowanie do katastrofizmu zwana przez snobów z medialnej elity „Katakлизmem, spółką z o.o.” albo „kanałem nieszczęść”, wysłała go do indyjskiego cyrku w stanie Gudżarat. (Żadna rozsądna stacja informacyjna nie wysyła reporterów z Nowego Jorku do cyrku w Indiach).

Kiedy Wielki Cyrk „Ganesh” występował w Dżunagadh, jedna z akrobatek, młoda kobieta, spadła z trapezu podczas występu bez siatki asekuracyjnej. Dziewczyna słynęła z umiejętności „lata-nia”, jak nazywa się pracę powietrznych akrobatów. Nie zginęła, choć spadła z wysokości osiemdziesięciu stóp, życie stracił natomiast jej trener i mąż w jednej osobie, który próbował ją złapać. Zginął wskutek uderzenia pikującego z góry ciała żony, udało mu się jednak osłabić jej upadek.

Rząd indyjski natychmiast zabronił wykonywania akrobacji powietrznych bez siatki asekuracyjnej, ale Ganesh i inne mniejsze cyrki zaprotestowały przeciwko tej decyzji. Pewien minister, nadgorliwy obrońca praw zwierząt, już od wielu lat próbował zabronić ich wykorzystywania w indyjskich cyrkach, które z tej przyczyny stały się wyczulone na punkcie wszelkich rządowych interwencji w swoje wewnętrzne sprawy. Poza tym, jak powiedział Wallingfordowi przed kamerą egzaltowany aranżer programu Wielkiego Cyrku „Ganesh”, widzowie wypełniają tłumnie namiot każdego popołudnia i wieczoru właśnie dlatego, że ich akrobaci występują na trapezie bez asekuracji.

Wallingford zauważył jeszcze przed rozmową, że siatki asekuracyjne i tak znajdują się w pożałowania godnym stanie. Stojąc na suchym, ubitym klepisku tworzącym „podłogę” namiotu, podniósł wzrok i ujrzał, że tworzące deseń siatki oczka są poszarpane i rozdarte. Uszkodzona siatka przypominała olbrzymią pajęczynę rozrwaną przez ogarniętego paniką ptaka. Wątpliwe, czy utrzymałaby ciężar spadającego dziecka, a co dopiero dorosłego człowieka.

Fakt faktem, że wśród artystów cyrkowych znajdowało się wiele dzieci, w większości dziewcząt. Do cyrku sprzedawali je rodzice, by mogły wieść lepsze (czyli bezpieczniejsze) życie, choć ich praca była niebezpieczna. Egzaltowany aranżer mówił prawdę: widzowie tłoczyli się w namiocie po południu i wieczorem, by oglądać wypadki, których ofiarami padały zazwyczaj dzieci. Jako artystów można było je nazwać utalentowanymi amatorami albo dobrymi akrobatami dziecięcymi, ale trenowano je niedbale.

Pytanie, dlaczego większość dzieci stanowią dziewczynki, zainteresowałoby każdego rasowego dziennikarza, a Wallingford – bez względu na to, czy wierzyć wystawionemu przez byłą żonę świadectwu jego charakteru – był dobrym dziennikarzem. Podstawową cechą jego inteligencji stanowił dar obserwacji, telewizja natomiast nauczyła go, jak ważna bywa czasami umiejętność uprzedzania nieszczęśliwych wypadków.

Wymóg uprzedzania wypadków okazał się zresztą zarówno wspianą zaletą, jak i główną wadą telewizji, napędzanej przez dramatyczne wydarzenia, a nie żadne procesy przyczynowe. W pracy dla całodobowej stacji informacyjnej Patrickowi nie podobało się przede wszystkim to, że redakcja często lekceważyła i odpuszczała materiały bardziej interesujące od zamówionych. Na przykład na marginesie sprawy w Dżunagadh dowiedział się, że większość artystów w indyjskich cyrkach stanowią dziewczynki, ponieważ rodzice chcą

im oszczędzić życia prostytutek, podczas gdy chłopców, których rodzina nie sprzedaje do cyrku, czeka w najgorszym razie żebrania – albo śmierć głodowa.

Patricka Wallingforda nie posłano jednak do Indii, by zajął się tym tematem. Dla kierownictwa stacji ważniejsze było to, że akrobatka, dorosła kobieta, spadając z trapezu z wysokości osiemdziesięciu stóp, wylądowała w ramionach męża, powodując jego śmierć. W sprawę wtrącił się indyjski rząd, a wszystkie cyrki w Indiach protestowały przeciwko zarządzeniu zobowiązującemu akrobatów do korzystania z siatek asekuracyjnych. Do protestów przyłączyła się nawet owdowiała artystka – ta sama, która spadła z trapezu.

Wallingford przeprowadził z nią wywiad w szpitalu, gdzie powracała do zdrowia, złamała bowiem kość biodrową i odniosła bliżej nieokreślone obrażenia śledziony. Mówiła, że akrobacje nabierają szczególnego charakteru tylko wtedy, kiedy artyści rezygnują z asekuracji. Oczywiście, będzie opłakiwać zmarłego męża, ale on również był akrobatą, który sam przeżył kiedyś upadek z trapezu. Możliwe jednak, sugerowała wdowa po zmarłym artyście, że jego śmierć to w istocie konsekwencja tamtego pierwszego błędu, a jej zabójczy w skutkach upadek na męża stanowił tylko ostateczną konkluzję owego wcześniejszego, jak gdyby niedomkniętego, incydentu.

Wallingford uważał, że to ciekawa wypowiedź, ale redaktor wydania, człowiek, którym wszyscy serdecznie pogardzali, był zawiedziony wywiadem, innym natomiast pracownikom nowojorskiej redakcji wydawało się, że owdowiała artystka mówi „zbyt spokojnie”, woleli bowiem, aby ofiary tragedii zachowywały się bardziej histerycznie.

Powracająca do zdrowia akrobatka oświadczyła ponadto, że jej zmarły mąż wpadł „w ramiona bogini, której oddawał cześć”, co zabrzmiało również dość kusząco. Okazało się, że zmarły był wyznawcą Durgi, przedstawianej na ogół z dziesięciorgiem rąk bogini zniszczenia, do której modliła się większość akrobatów.

– Durga ma tyle rąk, żeby móc złapać i uratować spadającego człowieka – wyjaśniła wdowa.

Wallingforda zaintrygowała i ta informacja, na pracownikach redakcji nowojorskiej nie zrobiła jednak żadnego wrażenia, orzekli bowiem, że „rzygają religią”. Redaktor wydania poinformował Patricka, jakoby emitowali ostatnio zbyt wiele materiałów religijnych. Wallingford pomyślał, że straszny z niego wał, ale nawet fakt, że imię redaktora, Dick*, istotnie budziło uzasadnione skojarzenia z męskim narządem płciowym, nie poprawił mu szczególnie humoru.

Redaktor wysłał tymczasem Patricka do Wielkiego Cyrku „Ganesh” po raz drugi, by zebrał „dodatkowe informacje składające się na koloryt lokalny”. Dick doszedł ponadto do wniosku, że aranżer programu jest bardziej elokwentny niż akrobatka.

Patrick zaprotestował.

– Lepszy byłby materiał o młodocianych cyrkowcach – powiedział, ale w Nowym Jorku najwyraźniej „rzygano” także dziećmi.

– Daj mi więcej tego aranżera i siedź cicho – poradził Wallingfordowi Dick.

Dostosowując się jakby do egzaltacji aranżera, zamknięte w klatkach lwicy, które stanowiły tło wywiadu, zachowywały się niespokojnie i hałaśliwie. W języku telewizji materiał, który Wallingford nadawał z Indii, miał być kończącym program „kopem”, który tym lepiej nadawał się na zakończenie reportażu, im głośniej ryczały lwicy.

Był dzień mięsny, a zaopatrujący cyrk w mięso muzułmanie spóźnili się z dostawą. Wóz transmisyjny, kamera, sprzęt dźwiękowy oraz operator i dźwiękowiec, którym była kobieta, onieśmielili ich, toteż zastygli w bezruchu na widok takiej ilości wytworów nieznanego im technologii. Przede wszystkim wbił ich jednak w ziemię widok kobiecy dźwiękowca.

Była wysoką blondynką w obcistych błękitnych dżinsach. Na uszach miała słuchawki, a wokół bioder pas narzędziowy zawierający zestaw typowo męskich, zdaniem mięsnych zaopatrzeniowców, przyborów, jak obcążki, kombinerki, pęki klamer i kabli, a także coś, co przypominało tester do baterii. Na dobitkę miała na sobie koszulkę, pod którą nie nosiła stanika.

Wallingford wiedział, że jest Niemką, ponieważ przespał się z nią poprzedniej nocy. Opowiadała mu o swojej pierwszej podróży do stanu Goa – spędzała tam wakacje z koleżanką z Niemiec i obie uznały, że Indie są jedynym krajem, w którym chcą mieszkać na stałe.

Koleżanka rozchorowała się i wróciła do domu, ale Monika znalazła rozwiązanie, które pozwoliło jej pozostać w Indiach. Miała na imię Monika.

– Przez „k” – jak powiedziała Patrickowi. – Dźwiękowiec może przecież mieszkać wszędzie. Wszędzie, gdzie są dźwięki.

– Zamieszkać w Nowym Jorku – podsunął jej Wallingford. – W tym mieście nie brak dźwięków, a można tam pić nieprzetgowaną wodę.

Po chwili bezmyślnie dodał:

– Niemieckie dziewczyny cieszą się teraz w Nowym Jorku ogromną popularnością.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytała.

Patrick Wallingford popadał zwykle w konflikty z kobietami w powyższy i symptomatyczny dlań sposób – to zaś, że pewne rzeczy mówił tylko dlatego, żeby coś powiedzieć, przypominało nieco jego technikę ustępliwości wobec awansów czynionych mu przez kobiety. Nie było żadnej przyczyny, dla której powiedział, że niemieckie dziewczyny cieszą się w Nowym Jorku ogromną popularnością, chciał bowiem jedynie podtrzymać konwersację. Ta jego anemiczna uległość wobec kobiet i milcząca zgoda na ich zaloty najbardziej wyprowadzała z równowagi żonę Wallingforda, która przypadkiem zatelefonowała do męża, kiedy rznął się z Moniką przez „k” w pokoju hotelowym.

Różnica czasu między Nowym Jorkiem a Dżunagadh wynosiła dziesięć i pół godziny, ale Patrick udawał, że nie wie, czy w Indiach jest dziesięć i pół godziny wcześniej, czy później, toteż kiedy dzwoniła Marilyn, pytał nieodmiennie:

– Która tam u was godzina, kochanie?

– Różniesz się z kimś, prawda? – zapytała jego żona.

– A skąd – skłamał.

Leżąc pod nim Niemka zniemiała. Wallingford także starał się nie ruszać, chociaż bezruch podczas aktu miłosnego trudniej jest chyba jednak zachować mężczyźnie.

– Pomyślałam, że pewnie chciałybyś znać wyniki swoich badań genetycznych w sprawie o ojcostwo – powiedziała Marilyn i Patrick w końcu zmartwiał. – Test wypadł ujemnie. Nie jesteś ojcem. Wykreśliłeś się sianem, co?

Jedyna odpowiedź, jaka przyszła na myśl Patrickowi, brzmiała:

– Nie powinni byli dawać ci wyników moich badań krwi. To moja krew i moje wyniki.

Monika przez „k” zeszytniała pod ciężarem kochanka, a wszystkie zakamarki jej ciała, w których czuła ciepło, zalał nagle chłód.

– Jakie badanie krwi? – szepnęła Patrickowi do ucha.

Ale Wallingford zastosował kondom, więc niemiecka technika dźwięku była zabezpieczona przed większością, a kto wie, może nawet przed wszystkimi przykrymi niespodziankami mogącymi przenosić się drogą płciową. (Zawsze używał kondomów, nawet gdy kochał się z żoną).

– Kto to jest tym razem? – wrzasnęła w słuchawkę Marilyn. – Z kim się teraz różniesz?

Wallingford doskonale zdawał sobie sprawę z dwóch spraw: po pierwsze, że jego małżeństwa nie da się uratować, a po drugie, że on ratować go nie chce. Jak zawsze jednak w stosunkach z kobietami uległ.

– Co to za jedna? – krzyknęła znów jego żona, ale Wallingford, zamiast odpowiedzieć, przyłożył słuchawkę do ust Niemki.

Zsunął jej z ucha lok jasnych włosów, a potem szepnął:

– Powiedz, jak się nazywasz.

– Monika. Przez „k” – powiedziała Niemka do słuchawki.

Wtedy Wallingford przerwał połączenie. Nie sądził, żeby Marilyn zatelefonowała powtórnie – i rzeczywiście, więcej nie zadzwoniła. On jednak miał wiele do opowiadania Monice przez „k”, toteż oboje nie spali tej nocy najlepiej.

Początek dnia w cyrku nie był efektowny. Nieprzerwany potok utyskiwań aranżera na indyjski rząd nie był w żadnym wypadku równie uroczy jak przedstawiona przez upadłą z trapezu artystkę charakterystyka dziesięcioramiennej bogini, w którą wierzą wszyscy akrobaci.

Czy pracownicy redakcji nowojorskiej byli głusi i ślepi? Ranna wdowa w szpitalu to naprawdę był wspaniały materiał! Ponadto Wallingford chciał zrelacjonować kontekst upadku akrobatki, która nie korzystała z siatki asekuracyjnej, stanowili go zaś artyści dziecięcy, czyli sprzedane do cyrku dzieci.

A jeśli ta kobieta także została za młodu sprzedana do cyrku? I może jej zmarłemu mężowi oszczędzono życia bez przyszłości tylko po to, by zginął pod wielkim namiotem, kiedy z wysokości osiemdziesięciu stóp spadła mu w ramiona jego własna małżonka? To byłoby szalenie interesujące.

Tymczasem przeprowadzał wywiad z powtarzającym się w kółko aranżerem, stojąc na tle klatki z lwami, ten to bowiem powszedni obrazek cyrkowy miał na myśli Nowy Jork, mówiąc o „dodatkowym kolorycie lokalnym”.

Nic zatem dziwnego, że wywiad wydawał mu się nieatrakcyjny w porównaniu z nocą spędzoną z niemiecką panią dźwiękowiec. Monika przez „k”, która nie nosiła stanika pod koszulką, zrobiła wyraźne wrażenie na muzułmańskich dostawcach mięsa wzburzonych strojem Niemki bądź też jego brakiem, a ich strach, ciekawość i oburzenie moralne składały się na o wiele ciekawszy i prawdziwszy koloryt lokalny niż wystąpienie męczącego aranżera.

Wstrząśnięci muzułmanie stali niedaleko klatki, ale wydawali się zbyt przestraszeni, oszołomieni albo oburzeni, by podejść bliżej. Na drewnianych wozach, którymi przyjechali, piętrzyły się stosy sódka pachnącego mięsą, będącego źródłem najwyższego obrzydzenia wśród w przeważającej części wegetariańskiej (hinduskiej) społeczności cyrku. Lwicy oczywiście także zwierzyły karmę i były poirytowane opóźnieniem.

Kiedy zaczęły ryczeć, operator ujął je w zbliżeniu, a Patrick Wallingford, spostrzegłszy, że dzieje się coś autentycznie spontanicznego, wyciągnął mikrofon w stronę klatki mniej więcej na długość ramienia. I wtedy dostał „kopa”, którego popamiętał na całe życie.

Błysnęła wysunięta z klatki łapa i lwie pazury zahaczyły o przegub lewej dłoni Wallingforda, który upuścił mikrofon. Nie dłużej niż dwie sekundy potem lew wciągnął lewe ramię Patricka do klatki aż po łokieć. Wallingford uderzył barkiem o pręty, a jego lewa dłoń o cal lub dwa powyżej nadgarstka zniknęła w paszczy lwa.

W powstałym zamieszaniu do walki o przegub i dłoń Patricka przystąpiły dwa kolejne lwicy. Poskramiacz lwów, który zawsze kręcił się w pobliżu swoich podopiecznych, wkroczył do akcji, waląc zwierzęta szpadlem po pyskach. Wallingford zachował przytomność na tyle długo, by zapamiętać szpadel używany na co dzień do usuwania lwich odchodów. (Widział go zresztą w użyciu zaledwie kilka minut wcześniej).

Zemdłał wśród wozów z mięsem, gdzie zastała też z wdziękiem Monika przez „k”. Niemka straciła przytomność, osuwając się,

ku niejkiej konsternacji dostawców, na wóz, a odzyskawszy zmysły, stwierdziła, że kiedy leżała bez czucia na wilgotnych polciach mięsa, ukradziono jej pas narzędziowy.

Niemiecka technik dźwiękowiec dowodziła ponadto, że kiedy padła zemdlona, ktoś obmacywał jej biust, co potwierdzały siniaki pozostawione przez obce palce na obu jej piersiach, choć między plamami krwi na koszulce brakowało śladów zakrwawionych rąk. (Krew pochodziła ze świeżego mięsa). Było jednak bardziej prawdopodobne, że sinię na piersiach stanowiły pamiątkę po całonocnym seksie z Patrickiem Wallingfordem, a komuś, kto ośmielił się jej buchnąć pas narzędziowy, zabrakło zapewne odwagi, by dotknąć piersi dziewczyny. Złodziej nie tknął też słuchawek.

Kiedy Wallingforda odciągnięto spod klatki, nie zauważył z początku, że brak mu lewej dłoni wraz z nadgarstkiem, choć zorientował się, że lwicy wciąż o coś walczą między sobą. Dopiero gdy dobiegł go słodki zapach baraniny, zobaczył, że muzułmanie wpatrują się jak zahipnotyzowani w jego zwisające bezwładnie lewe ramię. (Siła lwiego szarpnięcia wyrwała mu bark ze stawu). Rzuciwszy okiem na rękę, spostrzegł, że nie ma zegarka. Nie żałował go, bo był to prezent od Marilyn, a jego utracie i tak nie mógł zapobiec, gdyż brakowało mu całej lewej dłoni i przegubu.

Nie widząc żadnego znajomego oblicza wśród muzułmańskich zaopatrzeniowców, miał bez wątpienia nadzieję zlokalizować gdzieś

do głębi wstrząśniętą, lecz nie mniej mu oddaną Monikę przez „k”. Niestety, dziewczyna z twarzą odwróconą w drugą stronę leżała bez czucia na wznak na wozie z baraniną.

Gorzkiej utuchy dodał mu natomiast widok nie twarzą w prawdzie, lecz jedynie profilu niewzruszonego operatora, który ani na chwilę nie przestał wywiązywać się ze swoich obowiązków. Zdeterminowany zawodowiec przysunął się w pobliże klatki z lwami, filmując je na gorącym uczynku, gdy niezbyt zgodnie dzieliły się marnymi resztkami dłoni i nadgarstka Patricka. Lepszego „kopa” trudno było sobie wymarzyć!

Co najmniej przez cały następny tydzień Wallingford oglądał w nieskończoność film, na którym lew odgryzał i pożerał jego dłoń. Zastanawiał się, dlaczego atak zwierzęcia przypominał mu zadziwiającą uwagę, jaką obdarowała go na zakończenie romansu promotorka jego pracy magisterskiej:

– Przez pewien czas pochlebiali mi, że jestem z mężczyzną, który ztraca się we mnie całkowicie, ale z drugiej strony, tak mało jesteś sobą, że według mnie mógłbyś się zatracić w każdej kobiecie.

Nie miał pojęcia, o co jej, u licha, chodziło ani dlaczego pożarta przez lwicy dłoń przywiodła mu na myśl skargi dawnej kochanki.

Wallingforda jednak dotknęło głównie to, że w materiale filmowym trwającym niecałe trzydzieści sekund, których potrzebował lew, aby pozbawić go dłoni i nadgarstka, przykuwające uwagę zdjęcia jego osoby nie przypominały znanego dotąd wizerunku Patricka Wallingforda. Nigdy przedtem nie znalazł się w stanie krańcowego przerażenia – ale najgorszy ból miał dopiero nadejść.

Wspomniany minister indyjskiego rządu będący członkiem ruchu obrony praw zwierząt wykorzystał incydent z pożartą ręką dziennikarza do nasilenia krucjaty przeciwko okrucieństwu wobec zwierząt cyrkowych, choć Wallingford nigdy nie pojął, dlaczego zjedzenie jego dłoni miało uwłaczać lwom.

Przełożył MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tytuł drukowanego fragmentu jest tytułem pierwszego rozdziału powieści Johna Irvinga „Czwarta ręka”, która wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka

* dick (ang.) – slangowo – członek męski



Pod zastaw wielkich
kół parmezanu bierze się
kredyty bankowe,
a dojrzewający ser
pilnowany jest
przez strażników

Góra z Bengodi

Kawior, trufle, ostrygi to tylko niektóre z pokarmów od dawna fetyszyzowanych przez wyobraźnię kulinarną Zachodu. Opowieści o ich działaniu afrodyzjakalnym są po prostu delikatną formą stwierdzenia, że raczony nimi obiekt pożądania wie, ile kosztują – podnieca zatem nie ostryga bądź ikra, lecz świadomość tego, iż własny wdzięk wzbudza taką hojność czy wręcz rozrzutność. Choć parmezan nie znajduje się na liście tych pokarmów, sądzę, że warto go tam umieścić. I to nie ze względu na cenę (dość wysoką jak na ser, lecz niewielką w porównaniu z ceną trufli). Jego smak jednocześnie roznieca zmysły i koi duszę. Skłania do niemałych wyrzeczeń i może sprawić, że „się zapominamy”. Pewna wytworna warszawianka pytana, co pragnie dostać w prezencie imieninowym, rokrocznie odpowiada to samo: „Jeśli nie chcesz mojej

zguby, parmezanu daj mi, luby”. Osoba ta w żądnych innych okolicznościach nie zniża się do recytowania takich głupstewek. Lecz magia sera z Parmy sprawia, że zapomina o imperatywach dobrego smaku, żeby jak najdramatyczniej przedstawić swoją tęsknotę za smakiem prawdziwego Parmigiano-Reggiano.

W „Dekameronie” Boccaccia jeden z narratorów opowiada o cudownej krainie Bengodi, w której znajduje się wielka góra tartego parmezanu. Na szczycie góry wyrabia się *ravioli* i makaron i turla w dół z boczka. Kiedy kluski i pierożki dotrą do podnóża góry, są dokumentnie oblepione pysznym serem. Można stąd wywnioskować, że już w połowie XIV wieku mieszkańcy Florencji uznawali twarde ser z Parmy za wyjątkowy przysmak. 400 lat później Diderot i d'Alembert zamieścili w swojej Encyklopedii

(pod hasłem parmezan) informację, że ser ten eksportowany jest do wszystkich krajów Europy. Wydaje się, że w dziejach serowarstwa światowa kariera parmezanu nie ma sobie równej. Czy sprawiła to olbrzymia popularność kuchni włoskiej, czy na odwrót – do jej rozpowszechnienia przyczynił się niepowtarzalny smak parmezanu?

W polskich sklepach rzadkością jest Parmigiano-Reggiano, czyli parmezan z okolic Parmy, a ściślej mówiąc – ze skrupulatnie wytyczonej i objętej prawną ochroną strefy. Tylko sery produkowane w tej strefie mogą nosić nazwę Parmigiano-Reggiano. O wiele łatwiej – i taniej – zdobyć można produkowany w dolinie Padu ser Grana Padano. Grana, czyli ziarno, to nazwa typu serów, do których zalicza się parmezan: serów twardych, ziarnistych, dojrzewających przez co najmniej rok przed wprowadzeniem do sprzedaży. Odmian Grana Padano jest wiele, zaś najlepsze spośród nich dorównują pomniejszym odmianom Parmigiano-Reggiano. Krajowego parmezanu, jak również wersji południowo- i północnoamerykańskich, nie warto nawet porównywać z oryginałem.

Parmeżan, jak mawiają jego producenci, składa się z mleka, podpuszczki i czasu. Uwarzone sery schną przez rok na drewnianych półkach, po czym trafiają do hurtowników, którzy suszą je przez co najmniej sześć kolejnych miesięcy. Hurtownie te pod względem zabezpieczeń nie ustępują bankom, gdyż, jak w bankach, zdarzają się włamania, napady i kradzieże – wszak jedno koło sera kosztuje około tysiąca dolarów, a hurtownicy używają swoich serów jako formy poręczenia kredytów bankowych. Lecz trudno pozbyć się kradzionego parmezanu, ponieważ każde koło sera jest oznakowane, więc złodziejom pozostaje go zjeść, na przykład zawijając zielone szparagi i podłużne kawałki sera w plasterki szynki parmeńskiej. Nawiasem mówiąc, słodycz autentycznej szynki parmeńskiej stąd się bierze, że tamtejsza trzoda chlewna karmiona jest serwatką powstałą przy produkcji parmezanu.

Nie przychodzi mi do głowy żaden inny ser, który z powodzeniem może wystąpić w pięciu daniach z rzędu: zakąsce, zupie, sosie do makaronu lub ryżu, daniu głównym oraz deserze. Oto przykład: *carpaccio* z wołowiny z rukolą i parmeżanem; zupa z fasoli i warzyw z dodatkiem skórki od parmezanu; *risotto* ze szparagami i parmeżanem; kurza pierś obtoczona w jajku i mieszance parmezanu, bułki tartej, mielonych orzechów włoskich, skórki cytryny oraz ziół, a następnie pieczona; gruszek gotowane z cukrem i likierem pomarańczowym podawane z kawałkami parmezanu.

Jest to jadłospis tylko troszeczkę naciągany, bo oczywiście podajemy albo zupę, albo ryż czy makaron; ale przecież dla miłośników parmezanu im więcej dań z jego udziałem – tym lepiej.

TADEUSZ PIÓRO



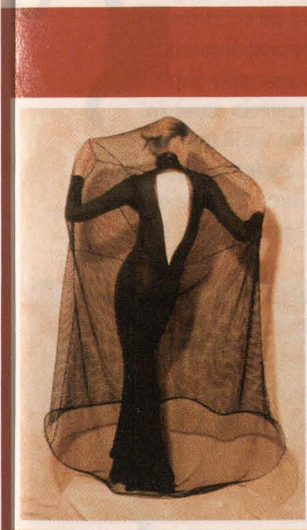
rys. MARIUSZ WILCZYŃSKI

TRADYCJA HOFF

Co nas gna do Poznania na Targi, czyli na tak zwany Poznański Tydzień Mody? Przekonanie, że jest to właściwie jedyne miejsce spotkań ludzi z branży. Ludzi z produkcji, handlu, projektantów, dziennikarzy i innych związanych z modą lub chcących zaistnieć.

Targi się kurczą, są eleganckie, ale boleśnie coraz mniejsze, co oddaje obraz smutnej sytuacji. Firmy, które jeszcze niedawno miały piękne stoiska z modną konfekcją czy materiałami, są albo nieobecne, albo przytulone w kącie do kogoś innego. Coraz mniej Polaków, z perspektywy Targów wydaje się, że nasza produkcja właściwie padła. Na tym tle i na tle tego, co wszyscy wiemy, trochę dziwnie – że użyję tak wykrętnego przymiotnika – brzmią słowa płynące z ust dygnitarzy z Ministerstwa Gospodarki o rozwijaniu przemysłu lekkiego. Słyszę to od zawsze, słyszę to od lat, powinnam się przyzwyczaić, ale miałam wrażenie, że mówca pomylił rozwijanie ze zwijaniem.

Ale przejdźmy do pozytywów. Jednym z najistotniejszych punktów hal wystawowych była znakomicie zrobiona przez redakcję „Journala Tekstylnego” i jego niezastąpioną naczelną panią Hannę Gajos oraz Studio Projektowe MMC (czyli Ilonę Majer, Rafała Michalaka i Małgorzatę Czudak) Aleja Tendencji „Klub Romantycznych Pionierów”, gdzie można było zobaczyć na mocno stłoczonych manekinach główne trendy mody jesienno-zimowej 2002/2003 oraz świetnie zestawione kolory, materiały, czyli próbki, które można zobaczyć z bliska, dotknąć, co połączone z fachowymi seminariami na temat nowego sezonu prowadzonymi na miejscu przez panią H. Gajos spełnia niezastąpioną rolę informacyjną bez potrzeby udawania się na targi zagraniczne, gdzie tego typu rzeczy są mocno wyeksponowane. Podziwiam autorów Alei Tendencji, że potrafią w naszych warunkach zgromadzić te wszystkie modele i te wszystkie modne dopiero za pół roku materiały.



Z innej beczki: udana była skórzana kolekcja Grażyny Hase dla firmy Leder. Natomiast jak zwykle buzowały imprezy towarzyszące organizowane przez Mod-Art. Wśród różnych pokazów, konkursu modelek, najlepszych dyplomów z Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi wielką atrakcją był jak zawsze konkurs o Srebrną Pętelkę. Prestiżowy, tym razem na wysokim poziomie. Kilka kolekcji tak udanych, że przyznanie tej jedynej nagrody było bardzo trudne. Dostał ją Adam Karski, absolwent Szkoły Artystycznego Projektowania Ubioru w Krakowie. Kolekcja jego – pozornie prosta i złożona z jakby użytkowych rzeczy – zaskakuje nowatorstwem ciekawych form (na przykład widoczny tu na zdjęciach rodzaj pletwy między nogawkami czy – w stronę nurtów lekko bulwersujących – elementy krwi). Każdy model miał jakiś ciekawy i nowy szczegół, ale przede wszystkim był nieprzeładowany.

Okazało się potem, że dwie kolekcje, które dostały wyróżnienie, zresztą obie bardzo udane, też pochodzą od absolwentów tej samej co Karski szkoły. Ewa Kryza, inspirowana się średniowieczem, pokazała bardzo przemyślane dzianiny, a Marta Drewniak – kolekcję sportową z pikowanymi elementami.

Jeśli chodzi o przemysł włókienniczy wełniany, widać było wyraźny ruch do przodu, coś drgnęło. Natomiast jeśli chodzi o przemysł bawełniany i jedwabniczy, to chce się wyc.

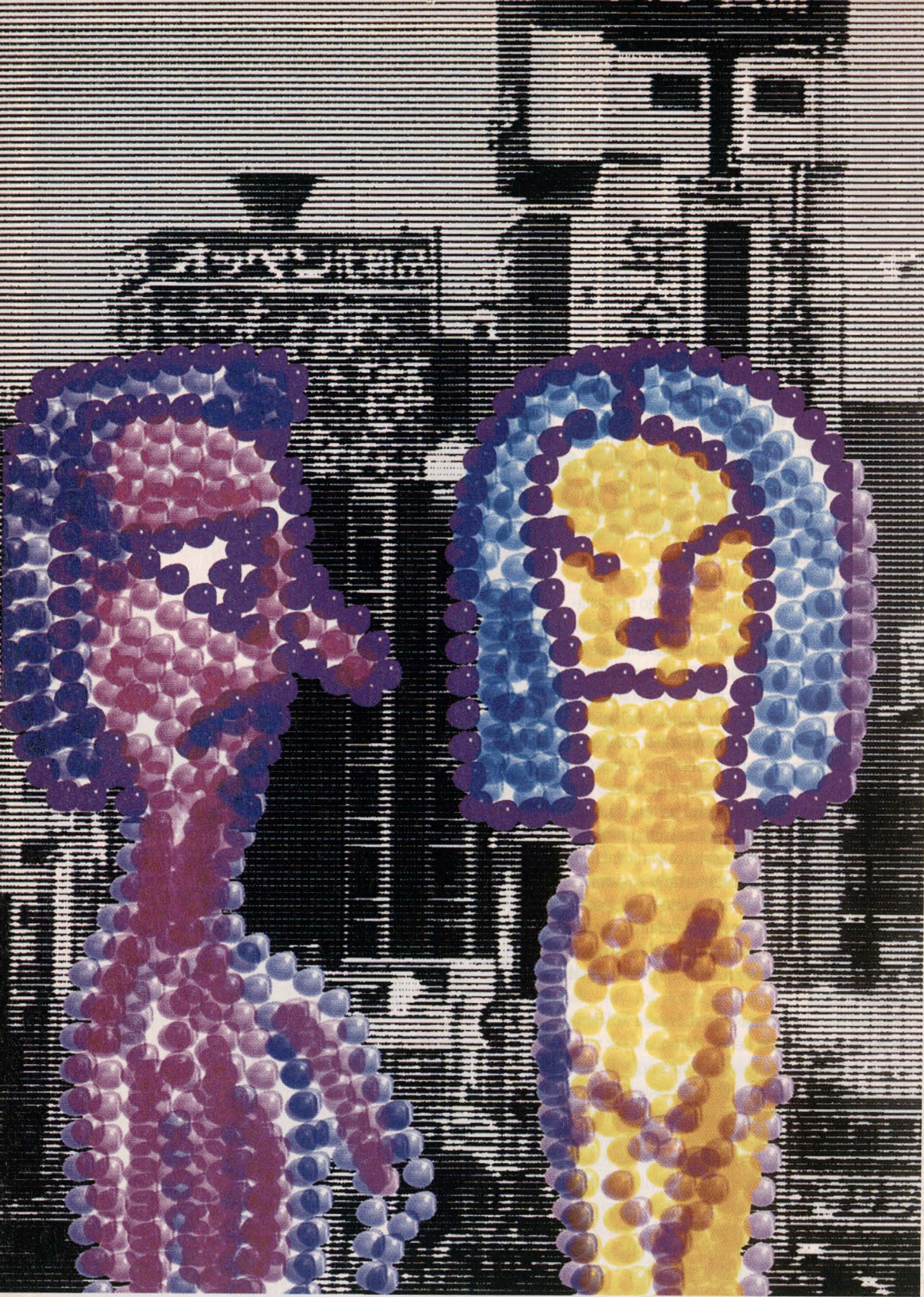
PS Jak wiecie, nie mam zwyczaju się chwalić i mówić o takich rzeczach, ale było mi wyjątkowo miło, kiedy dostałam w Poznaniu supernagrodę – Złotą Pętelkę. I cytuję: „Dla Barbary Hoff za to, że jest, za modę, za słowo, za wszystko”. No proszę, proszę. ■



FOT. GAWEL (3)



Zdjęcia
z kolekcji
Adama
Karskiego.
W białych
spodniach
autor



RYŚ. PIOTR MŁODOŻENIECZAK

KICI KICI



Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata

• w Polsce: **franca** (może pochodzenie ginie w mroku dziejów, gdy Francuzi, mimo że lubiani nad Wisłą, byli uważani za naród rozpustników?)
• w Wielkiej Brytanii: **pox** lub **french pox** (syfilis; dosłownie: francuska choroba; lub **clap**, lub **hot piss**, lub **scud**, lub **pissing razor blades** (b. niecenzuralne) lub **VD** (pierwsze litery od „chorób wenerycznych”); **full house** (jeżeli ktoś ma kiłę i rzeżączkę)

• we Francji: **véneriennes** (określenie oficjalne, „weneryjki”) lub **maladies honteuses** (haniebna, wstydliva choroba), lub **chtouille** (nieprzetłumaczalne), lub **vérole** (ospa)
• w Hiszpanii: **enfermedades venéreas** (oficjalne określenie) lub **pillar lo que no buscas** (złapać coś, czego nie szukasz)
• w Japonii: rzeżączka nosi wdzięczną nazwę **rinbyo** (dosłownie: smutna albo samotna choroba), a syfilis – **baidoku** (śliwkowa zaraza)

• na Węgrzech: **francia kór** (dosłownie: francuska choroba), ale dawniej mówiono również o **lengyel betegség** (polskiej chorobie)
• w Turcji: **frengi** (dosłownie: choroba europejska, ewentualnie francuska – w Imperium Osmańskim termin **Frenk** oznaczał Europejczyka, pierwotnie Francuza)
• w Niemczech: **die Franze** (to właśnie słowo, od którego prawdopodobnie utworzono określenie polskie) lub **versifft** (niecenzuralne)

Jak popularnie lub eufemistycznie określić choroby weneryczne

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

Dać przykład – podasz, ale bez nazwisk.

Dekomunizować się – jeśli z przyjemnością, to chyba robiłeś coś innego.

Deskę heblować – gładką gadką wymówisz się od randki z nieatrakcyjną kobietą.

Dotykem leczyć – ktoś, na kim ci zależy, pozbędzie się złudzeń co do twoich możliwości w zakresie gry wstępnej.

Drzewo zasadzić – jak na prawdziwego mężczyznę przystało, spłodzisz syna z żoną faceta, który zatrudni cię przy budowie domu.

Ducha widzieć – jeśli nie jest to jedyny przejaw twojego uduchowienia, zachowaj spokój i czuj ducha!

Dyplomatyczny korpus widzieć – pod drzwiami twojego domu policja znajdzie zwłoki II sekretarza ambasady z odpiłowanymi nogami.

Baraneusz Dobrodziejcz

HECA

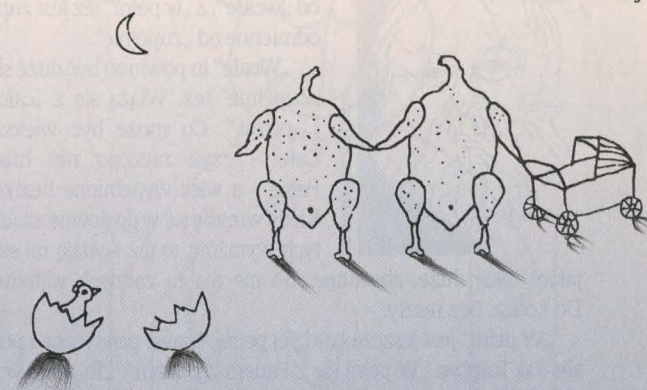
- Nikt, tylko mole przecie, narobiły dziur w budziecie.
- Upartość posła gorsza od oporu osła.
- Po peronie pociąg gonie, gdy się zaspię, to go nie złapię.
- Cierpię dobrowolne katusze, bo zmniejszyć muszę tuszę.
- Jak fama niesie, radarem szukał grzybów po lesie.
- Błękitna krew mu w żyłach tkwi, bo denaturat ma we krwi.
- Stojąc na cokółu zrębie, źle znosi zwłaszcza gołębie.
- Kto się czubi, ten ptak.
- Nie wciskaj kita, kiedy nikt nie pyta.

W marcu do rubryk HI! HA! HE!, PROSIMY POWTARZAĆ, HUMOR ZESZYTÓW, HECA HECA, KĄCIK BELFRA nadesłali: Teresa Firkowska z Olsztyna, Alicja Głogowska z Warszawy, Marian K. ze Słupska, Marian Trachimowicz z Ostrowa Wielkopolskiego i Jerzy Kaptur z Tomaszowa Lubelskiego. Dziękujemy!

HECA

Obraz wyrażen

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński



Odpowiedz: Młusztarda po obiedzie

Za 1000 złotych można (swojemu autu) • przyciemnić trzy szyby: tylną oraz boczne przy tylnym siedzeniu • dobrać kolor do karoserii, do wyboru: srebrny, niebieski, czarny, brązowy, a nawet czerwony • kupić 14 kompletów gumowych dywaników produkcji niemieckiej dostosowanych do marki samochodu, z nadrukowanym logo marki • sprawić nową tapicerkę ze skóry na dwóch przednich siedzeniach, możliwe nietypowe zamówienia (za tylne siedzenia zapłacisz drugie tyle) • kupić dwie bardzo ergonomiczne gałki do dźwigni zmiany biegów lub dwa zestawy chromowanych nakładek na pedały • umieścić na tablicy rejestracyjnej dowolny wyraz składający się z nie więcej niż siedmiu liter. Nie masz jednak wpływu na wybór dwóch pierwszych liter, ponieważ zależą one od województwa. Wyraz nie może być obsceniczny • cztery razy sprawić mu porządną kąpiel, łącznie z praniem tapicerki. Nieumyte pozostaną tylko silnik i podwozie • kupić elastyczną osłonę na zapasowe koło z nadrukowanym własnym zdjęciem • dla oddechu zamontować szyberdach uchylno-przesuwany Cena nie zależy od marki samochodu, tylko od jakości dachu. Sterowany • wymienić dwa koła matiza na koło z cienkimi oponami i aluminiowymi felgami. W lepszym samochodzie będzie to kosztowało 16 razy więcej • wymienić oba lusterka boczne na „sportowe”, udające BMW, sterowane elektrycznie

O wyobraźni

Jeszcze nikt mnie nigdy tak nie bronił przed wilkami jak Lidunia – lat trzy i pół. Zastępowała mnie rączkami, a kiedy z głośnym tupaniem oddała się na chwilę, upewniała mnie, że zaraz wróci, by mnie chronić.

Wiedziała, że przybyła w samą porę, bo żaden wilk jeszcze tu się nie pojawił. Jak zwykle zresztą w podwarszawskim Brwinowie. Ciekawe, że wilki ciągle są odsądzane od czci i wiary. Lidunia nie tylko zna o nich straszące opowieści, lecz także sama je produkuje.

Ciche popołudnie, więc idziemy na styczniowy spacer – babcia Liduni, Lidunia i ja. W przedwczesnym mroku widać między chmurami światła samolotów. Jakies może 200 metrów od domu w jednej chwili świat się zmienia. Znikąd nadchodzi coś jakby trąba powietrzna, nawałnica, deszcz i wichura. Widzieliśmy, jak antena satelitarna odrywa się od dachu, ale nie miałyśmy czasu niczemu się przyglądać. Z trudem utrzymywałyśmy się na nogach. Lidunia w objęciach swojej babci wcale się nie bała, chociaż infernalny huk wichury zwał się na nas, a ubranie przemakało. W dodatku w całym Brwinowie zgasło światło.

Lidunia nie bała się niczego. Babcia ją na pewno obroni, a ona mnie. Oczywiście, gdyby zjawił się wilk. Bo o zjawianiu się trąby powietrznej nie była uprzedzona. A elektryczność nie była jej potrzebna. Mogą być przecież świece i piec węglowy. W każdym razie jakoś dobrnęliśmy do domu. Miło, pięknie, bezpiecznie.

W czasie kolacji Lidunia jak zwykle nie chciała jeść niczego, w tym kiełbasy. Więc ktoś wpadł na pomysł, żeby ogłosić, iż wilk zje kiełbasę, i zaczął go nawet udawać. I wtedy ta dzielna dziewczynka, na której nagle nawałnica nie zrobiła wrażenia, zobaczyła w straszącym wilka i zaczęła przeraźliwie płakać.

W tym jednym dniu Lidunia przeżyła przygodę, którą dorosli bywa, że przeżywają w ciągu wielu lat. To przygoda wyobraźni. Podobno dzieci bez niebezpieczeństw wyobrażonych nie nauczą się bronić przed rzeczywistością. Ale co z dorosłymi, którzy również potrafią wyhodować wyobrażonego wilka? Pielęgnowanie go szczęściu nie sprzyja, bo nie wiadomo nawet, kiedy ulega przemianie w „wilka samospełniającego się”.

Małgorzata Baranowska

Wcale nie

Jerzy Bralczyk



FOT. MAREK SOBICZYŃSKI

„Wcale” lubi przeczenie. Tak jak „zupełnie”. „Całkiem” jest całkiem inne od „wcale”, a „w pełni” też jest zupełnie odmienne od „zupełnie”.

„Wcale” to powinno być duże słowo. „Zupełnie” też. Wiąza się z „całością” i „pełnią”. Co może być większego? Całe – czyli niczego nie brakuje. Pełne – a więc wypełnione bez reszty. Kiedy wmyśle się w dosłowne znaczenia tych wyrazów, to też wydają mi się one

jakiś takie duże, absolutne. Bo nie ma tu żadnych wątpliwości. Do końca. Bez reszty.

„W pełni” jest jeszcze bardziej pełne. Nawet patetyczne i podniosłe. Jak książyc. „W pełni się z Panem zgadzam”. „To mnie w pełni satysfakcjonuje”. „W pełni popieram”. Rośniemy wzajemnie i cieszymy się własną powagą i uprzejmością.

„Całkiem” jest dużo skromniejsze i trochę się wyłamuje. Chyłkiem, ciszką, milczkiem odbiega od tej rodziny. Ale tu też jest całość, tylko taka mniejsza.

Skromne „całkiem” i pompatyczne „w pełni” nieźle się czują z twierdzeniami. To całkiem w porządku i w pełni zrozumiałe. Całość i pełnia są przecież pozytywne, są na „tak”. Są, a nie nie ma ich. Nawet bardziej są, niż może być coś innego.

A „zupełnie” woli „nie” od „tak”. Zupełnie nieoczekiwane. Zupełnie bym się tego nie spodziewał. A „zupełnie oczekiwać”,

„spodziewać się zupełnie” – nie mogę. Zupełnie nie mogę. A jak coś mogę, to raczej nie „zupełnie”. Któż by „mógł zupełnie”? Mogę za to: niezupełnie. Bo „zupełnie” ma swoje własne zaprzeczenie. Używam go z grzeczności. „Niezupełnie rozumiem, co Pan ma na myśli”. Jakbym był szczery, przestawiłbym to „nie” i powiedziałbym: „zupełnie nie rozumiem”. Bywam taki grzeczny zazwyczaj. Często – zupełnie niepotrzebnie.

Czasem „zupełnie” jest na tak. Kiedy się trochę dziwię, kiedy komuś czy czemuś coś przyznaję. Czytam książkę. „Dobra?” – „Zupełnie przyzwoita!”. Albo i: „Zupełnie dobra!”. Kto by pomyślał.

No, oczywiście mogę chwalić (choć nie: „zupełnie chwalić”, a „zupełnie potępiać” mogę). Ale najlepiej, żebym użył jakiegoś „nie”: „zupełnie nieźła”.

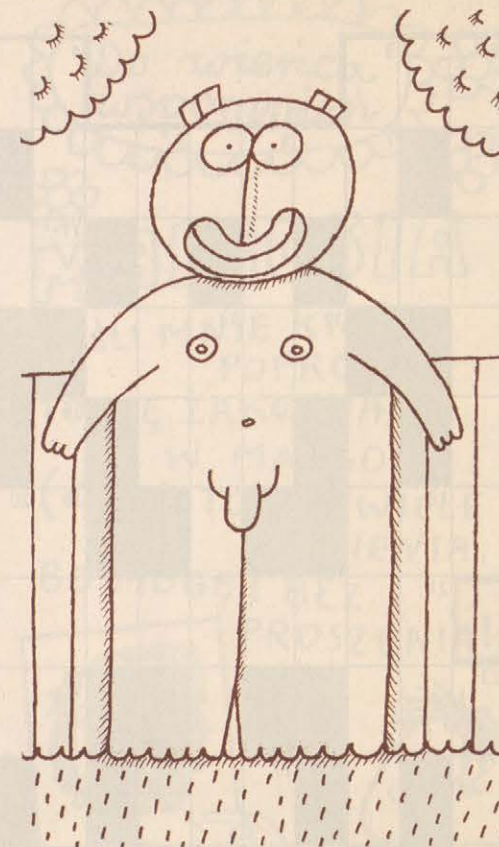
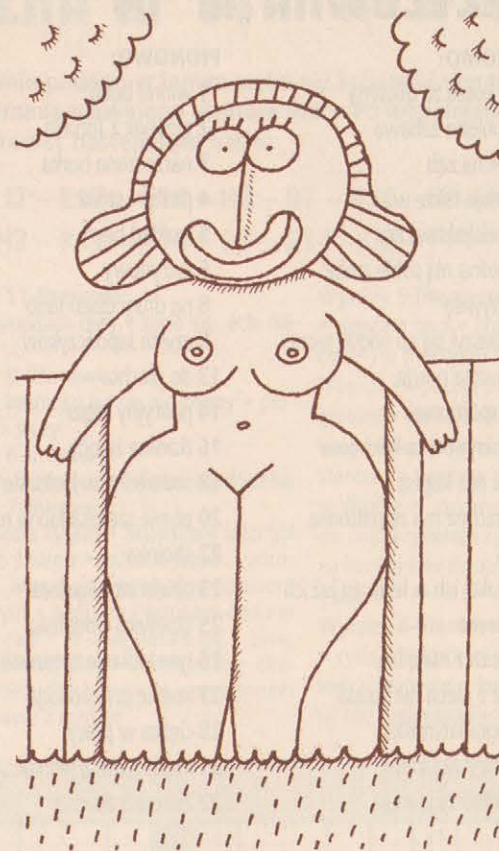
„Wcale” jest jeszcze bardziej grymaśne. Jeszcze trudniej używać go bez „nie”. Potrzebuje wyraźnego przeczenia. „Zupełnie inaczej” – w porządku, a „wcale inaczej” – trochę dziwnie. Mogę czasem tak powiedzieć, podobnie jak powiem czasem „wcale dobre”, ale po brzękuje to staroświeckością. Już lepiej „wcale nieźle”, „wcale niegłupie”. Z wyraźnym „nie”.

Ale mam haka na „wcale”. Niby takie na nie, a bywa w dobrym humorze. Kiedy jest we własnym towarzystwie.

Jak mi się coś bardzo podoba, ale nie bardzo chcę się przyznać do entuzjazmu, mówię: „Wcale, wcale!”.

I wszyscy wiedzą, że to wcale nieźle. Albo zupełnie przyzwoite. Albo całkiem dobre. Albo nawet w pełni satysfakcjonujące.

WYŁĘŻ WZROK...



...i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Pawła Borowskiego. Rozwiązanie na s. 72.

Barbara Labuda, polityk społeczny w rozmowie z Marią Czubaszek

Dlaczego jesteśmy



MARIA CZUBASZEK: Ostatnio Biblioteka Narodowa kupiła, dzięki pomocy prywatnych sponsorów zresztą, rękopisy „Quo vadis” i „Starej baśni”. Czy myśli Pani, że znalazłby się sponsor na kupno rękopisu „Tajemnic Sękoćcina” Piotra Gulczasa Gulczyńskiego z „Big Brothera”? BARBARA LABUDA: Myślę, że tak. Ale nie wiem, czy warto.

Ja wiem.

– Że warto?

Zmienić temat. Czy powiedział ktoś Pani, że jest podobna do muszki owocówki?

– Naukowcy. Nasz materiał genetyczny jest bardzo podobny.

Dzięki czemu jesteśmy już blisko tego, żeby żyć 150 lat. Bo w trakcie doświadczeń na muszce owocówce odkryto, zupełnie przypad-

kowo, eliksir młodości. Chciałaby Pani żyć 150 lat?

– Jeśli będzie trzeba... Ale mówiąc poważnie, choć z Panią trzeba by pewnie żartować, jestem przekonana, że do tego dojdzie. I to nie tylko dzięki zmianom stylu życia, lecz także dzięki manipulacjom genetycznym. To jest nieuniknione.

I nie przez wszystkich akceptowane.

– Jeśli będzie powstrzymywane decyzjami politycznymi, będzie gorzej. Bo przejdzie do podziemia. A mój optymizm zasadza się na przekonaniu, że nauka potrafi zbawić ludzkość. Przecież ostatnie stulecie to co-

dziennie nowe odkrycia! To jest tak niesamowite, że zapiera mi dech!

Bogartowi w „Casablance” zapierała dech Ingrid Bergman. I happy endu nie było.

– Ryszard Kapuściński, z którym ostatnio odbyłam ciekawą rozmowę, też mnie przekonywał, że technikę i technologię wykorzystywano i wykorzystuje się nadal przeciw ludziom. W wojnach, zamachach terrorystycznych...

Czyli wszystko idzie ku złemu. A Pani zdaniem?

– Mimo wszystko ku dobremu. Tak myślałam kiedyś.

A teraz?

– Chciałabym, żeby tak było.

To już brzmi mniej optymistycznie. To inne pytanie. Czy zgodzi się Pani z moim ukochanym Woody Allenem, kiedy mówi, że jego żona jest niedojrzała? Bo kiedy on siedzi w wannie, ona wchodzi, kiedy chce, i topi jego okręcki.

– (śmiech) Oczywiście, że się zgodzę. Pomijając, że też go uwielbiam, to prawda.

Mężczyzna to duży chłopczyk. To bardzo miłe.

Nawet kiedy się denerwuje, że topi się jego okręcki?

– A po co topić?

Trafiony, zatopiony. Ale skoro Pani też uwielbia Allena, jeszcze jeden cytat: „Przez większość czasu słabo się bawię. Przez resztę – w ogóle”. A Pani lubi się bawić?

– Przede wszystkim lubię zabawne sytuacje. Strasznie lubię się śmiać.

Jedno, co warto, to uśmieć się warto.

– Może nie jedno, ale jestem śmieszka. Zabawy typu dancing, impreza nie bawią mnie. Ale jakieś nawet psoty...

Nie pytam, co ostatnio Pani spsociła, ale czy zgodzi się Pani, że kobiety na ogół mają mniejsze poczucie humoru niż mężczyźni?

– To straszne, ale zgadzam się z tym. Na szczęście są wyjątki.

Które, niestety, potwierdzają regułę. Za to kobiety z reguły mają lepszą intuicję.

Mężczyzna to duży chłopak

– Myślę, że mężczyźni mają nie mniejszą. Tylko jej nie doceniają.

Bo utarło się przekonanie, że to cecha kobieca?

– Powiedzmy – mało wartościowa. A to błąd. Intuicja wynika z syntezy wiedzy. I jest bezbłędna. W przeciwieństwie do rozumu, który bywa manipulowany.

A zatem kierować się nie rozumem, nie sercem, tylko intuicją?

– Mnie osobiście nigdy nie zawiodła. W przeciwieństwie do wiedzy.

Ale jednak dobrze jest wiedzieć. Na przykład czy jest coś, za co dałaby Pani wszystkie pieniądze?

– Aż głupio się przyznać, ale tak. Nie tylko pieniądze, ale wszystko bym dała, żeby móc zrozumieć wszechświat. Dlaczego jesteśmy?

Jeśli był Stworzyciel, to kto Jego stworzył? Ciekawiło mnie to od dzieciństwa. Przeczytałam na ten temat strasznie dużo książek, w tym religijnych. Stary i Nowy Testament, Koran... I wciąż nie mam odpowiedzi.

Ale ma Pani intuicję. Nic Pani nie mówi?

– Mówiłam. Intuicja to synteza wiedzy. A ja wiem tylko, że wciąż nie wiem. Ale to strasznie poważna rozmowa.

Postaram się ją uśmieszyć.

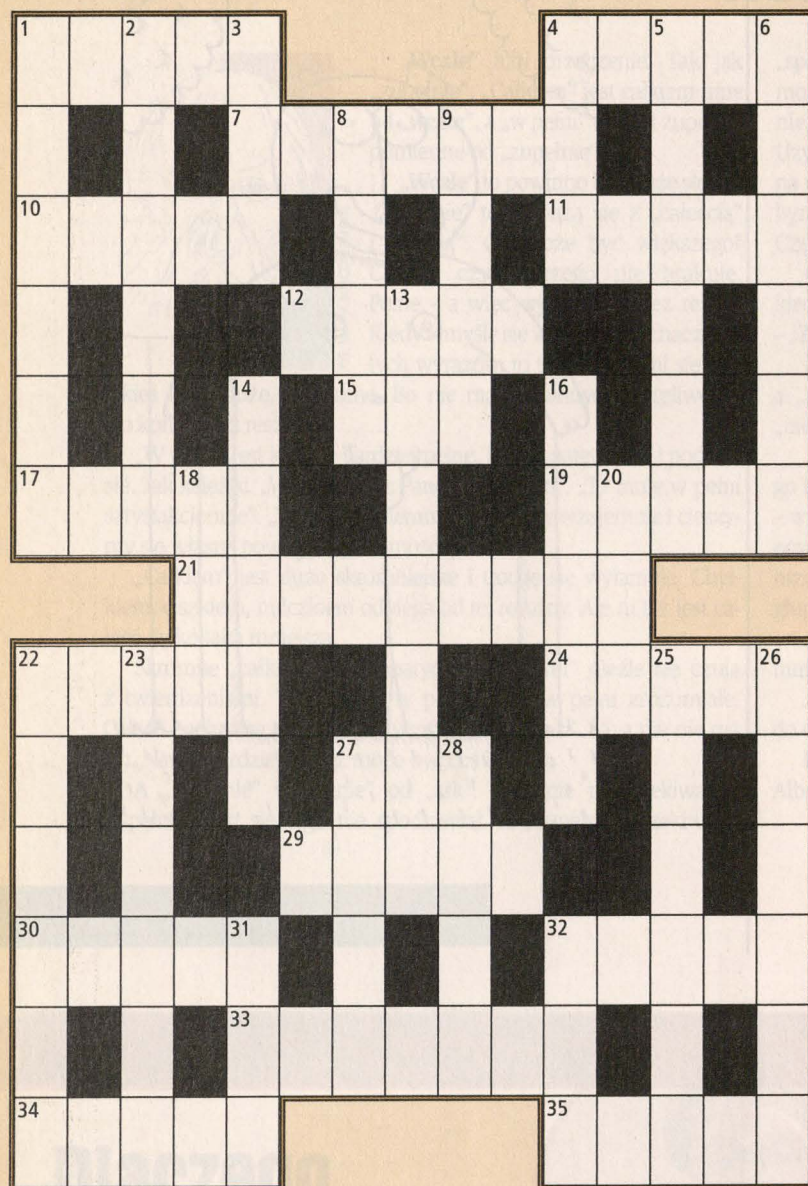
– Tak myślałam. Człowiek mówi poważnie, wywala z siebie flaki...

Redakcja wywala połowę rozmowy. Bo mamy tylko jedną stronę.

– To po co...

Tyle rozmawialiśmy? Bo z Panią cudownie się rozmawia. Poważnie.

– A miało być śmiesznie.



KRZYŻÓWKA nr 14

POZIOMO:

- 1 w koszu za gilotyną
- 4 goniona zabawa
- 7 coś na ząb
- 10 rysuje także w „P”
- 11 podskakiwaczka
- 12 można nią sobie zrobić krzywdę
- 15 ucieszył się na widok tęczy
- 17 słusna porcja
- 19 współziomek
- 21 pokryciówka koldrowa
- 22 już nas kupisz
- 24 Arachne ma za patronkę
- 27 21
- 29 szukaj ich w lesie, tu już ich nie ma
- 30 muza z małą lirą
- 32 już z nieba nie spada
- 33 zagra latynosko
- 34 nakrywka-klops
- 35 niektórzy ją mają

PIONOWO:

- 1 winna butla
- 2 grzybek z Torunia
- 3 naręczona burka
- 4 pusty – stoisz
- 5 rozkład bezA
- 6 cytrynowy
- 8 na drugi dzień rano
- 9 czysta Japończyków
- 13 do piachu
- 14 policyjny zegar
- 16 tkanina żaloby
- 18 śmiertelny w kielbasie
- 20 płynie szeroka lub w rosale
- 22 choinka
- 23 dzieło introligatora
- 25 Dziewica Orleańska
- 26 tym Indianie zatruli strzały
- 27 koniec czworonoga
- 28 ciężka w pracy
- 31 niezła talia, a jednak...
- 32 ziarenka do ciszy

Rozwiązanie krzyżówki nr 12:

POZIOMO: 1. jaskier 5. trzepak 9. spirale 10. Lucyper 11. ska 13. aktorka 16. hołota 17. akcent 20. abstrakcjonista 21. retman 23. tyczka 25. parkiet 30. Zan 31. Tampere 32. drzewko 33. mennica 34. kantata

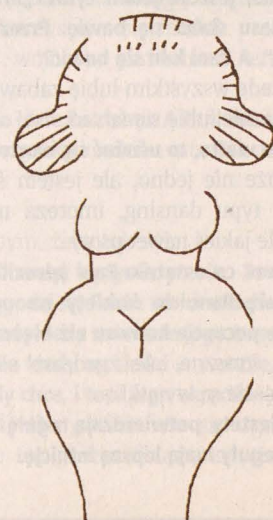
PIONOWO: 1. jaskółka 2. spirytysta 3. Itaka 4. rdest 5. talar 6. Zocha 7. papa 8. karabela

12. kolacyjka 14. kołatka 15. kolonie 16. Homer 18. koszykówka 19. Troja 22. tamtam 24. załoga 25. piegi 26. rzeka 27. indyk 28. trzon 29. amen

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 10 nagrody wylosowali: Stanisław Bonusiak, Olsztyn; Mirosława Pacałowska, Łowicz; Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Anna Kwiatkowska, Nowy Sącz; Kazimierz Rogowski, Wrocław

Gratulujemy!

WYTEŻ WZROK rozwiązanie ze s. 71.



JOLKA nr 14



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

C11 – I2 – E17 – G10 – H6 – B7 – K14 – F8 – K6 – L1 – A5 – L11 / H3 – K17 – A14 – E3 – G14 – D2 – F11 – Ł15 – C6 – L13.

Wyrazy 11-literowe:

• na antypodach buty • życie mu, ech, nie takie...

Wyrazy 9-literowe:

• tego z kosmosu już się nie boimy • piórem partii służy

Wyrazy 8-literowe:

• latający Europejczyk • liczba wyraziciela

Wyrazy 7-literowe:

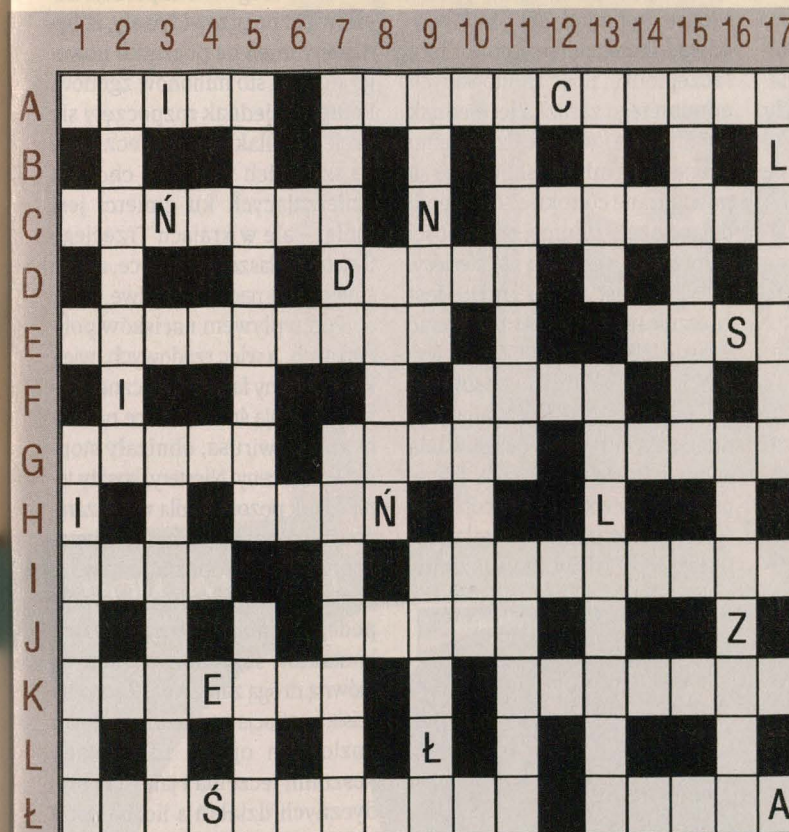
• do wzięcia księcia • akustyczny szczegół biegu po śniegu • miasto przed... zdrowiem • literat, który na rym spożiera okiem złym • pannom i wannom dodano • lisi środek • w lesie nassie się • blok, blok, blok, blok, blok • mnich jak lis • okulary dla bezuchych • cacko z paragonem • Burusiowe z rzepem

Wyrazy 5-literowe:

• mascara gara • hobby syreny • w malachcie i w mosiądzu • ostatni – jest łowcą łabędzi • epatuje proporczykiem, godzi grotem • po Luksemburgu i chacie • enklawa literatury w komiksie • czasem starcza, a czasem nie starcza • pływa w Wigilię • „przewrotny” rolnik • ekipa ds. uatrakcyjniania zamku • nie nadaje się na kucyka (i to dwuznacznie!) • złośliwość ciśnienia

Wyrazy 4-literowe:

• ryba z nierobem • na wiec wali • zielony rozmówca • Jan zza Odry • zapierały bez detergentów • się nie prześliznie



AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 12:

SKŁO POWIĘKSZAJĄCE BABUNI (tytuł filmu G.A. Smitha z roku 1900).

Rzędami: windsurfing, wikary, destylarnia, fototapeta, pasjonat, egzotyka, Dwidzius, rozbitek, Hipokrates, mikroklimat, szpica, konspirator. Kolumnami: wodospad, zwierzę, Nessos, jadtospis, szydło, rumak, fabuła,

furkot, regres, odgłos, gwałt, Butler, skarpetki, termit, wrzątek, ankieter.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 10 nagrody wylosowali: Jolanta Wesołowska, Kielce; Franciszek Bywalec, Katowice–Kostuchna; Mariola Zawadzka-Kamola, Ożarów Mazowiecki, Jadwiga Ktos, Warszawa; Małgorzata Mirynowska, Wrocław
Gratulujemy!

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Dobrzy i źli ludzie

Zgrana paczka sześciu przyjaciół wyruszyła dookoła świata w podróż życia. Egzotyczne krainy, dzikie puszcze, niebotyczne góry, bezludne pustkowia. Z początku było wspaniale. A potem, jak to w życiu – wyszło szydło z worka. Trójka z nich – żeby było śmieszniej trójka słabszych – okazała się złymi ludźmi. To delikatnie powiedziane. Tak naprawdę to chcieli po prostu... sami już się domyślcie. Tak, tak, chcieli zabić po-

została trójka, zabrać ich pieniądze i dalej ruszyć w drogę. Ale ci dobrzy nie tacy głupi. Zorientowali się, o co chodzi. Pilnują się. Wiedzą, że nie mogą dopuścić do sytuacji, w której źli będą mieli przewagę liczebną. Kiedy w grupie jest tyle samo dobrych i złych – źli ludzie nie mają szansy zrobić coś złego dobrem.

Cała szóstka będzie się teraz przeprawiać przez rwącą rzekę. Mają jedną dwuosobową łódkę. Po dwie osoby będą przeprawiać się na drugi brzeg po czym jedna z nich będzie wracać po następną. Jak dobrzy ludzie mają zorganizować przeprawę, aby przeżyć? W jakiej kolejności powinni się przeprawiać, aby w żadnej chwili nie dopuścić do sytuacji, w której źli na dowolnej stronie rzeki będą mieli liczebną przewagę?

Rozwiązaniem rebusu humanistycznego z nr 13/2962 jest myśl Samuela Johnsona: IM WIĘCEJ ZNAM LUDZI TYM MNIEJ OD NICH OCZEKUJĘ

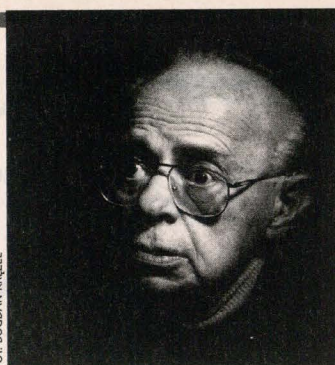
Pomiędzy Czytelników, który do niedzieli 14 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłają poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki „Dwanaście opowiadań tułających” Gabrieli Garcii Marqueza (wydawnictwo MUZA).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 14 lub Krzyżówka 14.



Żniwo śmierci

FOT. BOGDAN PRZEŁ



Co Pan na to,

Panie LEM?

Spełniły się, niestety, moje przewidywania z lat 80. – szczepionki przeciwko wirusowi HIV nie mamy i na razie mieć nie będziemy

W połowie lat 80., kiedy po całym świecie rozbiegła się już ponura wiadomość o chorobie wywołanej przez wirusa, który stopniowo niweczy wszelką odpornościową obronę organizmów, rozpoczęły się badania biegnące zasadniczo w dwu różnych kierunkach: diagnostyki i terapii.

Z jednej strony uczeni usiłowali zorientować się, skąd ów wirus się wziął. Rychło wypłynęła – jako najbardziej prawdopodobna – hipoteza, że był to zarazek roznoszony w organizmach małp afrykańskich. Po wytrzebieniu zwierząt zapadających na ten sam zespół przypadłości co potem ludzie, ostatecznie udało się wyizolować wirusa, który okazał się być niezwykle odporny na wszelkie próby zniszczenia. Poprzez kontakty z nimi najpierw zaraził się Murzyni. Potem, kiedy XX-wieczny rozkład cywilizacyjny umożliwił zarażonym przeloty w kierunku Ameryki Północnej, drobnoustroje przekoczyły wraz z nimi na teren Stanów Zjednoczonych. Na koniec ich istna fala pojechała rozlewać się po całej kuli ziemskiej.

Prawdopodobnie taki był rzeczywisty początek rozrzutu wirusa zwanego AIDS. Dokładniej mówiąc, pod tym akronimem ukrywa się nazwa śmiertelnej przypadłości zwanej Zespołem Nabytego Upośledzenia Odporności (*Acquired Immunity Deficiency Syndrome*), natomiast sam wirus występujący pod akronimem HIV (*Human*

Immunodeficiency Virus) wykazał przy dokładniejszym badaniu zaiste koszmarną sprawność automutacyjną. Nie tracąc wirulencji, czyli zdolności do uszkodzenia komórek zaatakowanego organizmu, potrafił się przemieniać i dzięki temu przestawał go razić środki farmaceutyczne, jakie uprzednio były skuteczne.

Równocześnie rozpoczęły się poszukiwania efektywnych metod leczenia. Badaniami wirusów zajmował się między innymi niemiecki profesor Manfred Eigen, który wykazał, że zespół molekuł HIV jest chwiejny mutacyjnie, wskutek czego wirus tworzy tak różnorodne szczepy, iż bez trudu potrafi opierać się skierowanym przeciwko niemu medykamentom. Już wtedy – to znaczy w późnych latach 80. – zamieściłem we francuskiej prasie ponurą pro-

gnozę, że mianowicie szczepionki przeciwko AIDS wyhodować się nie da. Opierałem się na danych, jakie zawiadziłem mikrobiologicznemu ośrodkowi w Szwecji.

Wirus HIV, przenoszony z krwią lub spermą, nie jest oczywiście jedynym zdolnym do częstego przetwarzania się w kolejnych mutacjach. Mutacjom podlega również wirus grypy, wskutek czego rokrocznie laboratoria światowe muszą pierw ustalić, w jaki sposób przekształciły się zeszłoroczne drobnoustroje, aby wyhodować skuteczną przeciwko nim szczepionkę. Ilość zmutowanych odmian tego zarazka jest jednak ograniczona i właśnie dzięki temu w znacznej mierze skuteczne są powtarzane co roku szczepienia dające około 80 proc. odporności na przeciąg z grubsza 12 miesięcy.

Natomiast wirus AIDS jest znacznie mniej skłonny przybierać własności i postaci dające się wykryć i uprzedzić dostosowaną szczepionką. Tak więc, niestety, moje pesymistyczne oczekiwania sprawdziły się i skutecznej szczepionki przeciwko zapaści odpornościowej nie mamy. Powstał natomiast szereg leków, które przeciw-

działają namnażaniu się wirusów i niszczeniu przez nie odporności ustroju, ale nosiciel, czyli zakażony, musi otrzymywać cały zestaw medykamentów. Znacząco to, mówiąc krótko, że kuracja jest ciągła, a tym samym bardzo kosztowna, i zaprzestanie podawania leków oznacza właściwie wydanie pacjenta na łup śmiertelnej choroby.

Początkowo uważano, że śmiertelność wywołana zarażeniem tym wirusem wynosi sto procent, wskutek czego ekstrapolacje zeszłowieczne przewidywały, iż będziemy mieli na początku nowego stulecia sto milionów zgonów. Ponieważ jednak rozpoczęły się akcje profilaktyczne i lecznicze na szerokich frontach, chorych zmierzających ku śmierci jest mniej – ale w krajach Trzeciego Świata, zwłaszcza w Afryce, żniwo śmierci jest nadal straszliwe.

Pod wpływem nacisków politycznych, a więc rządowych, wielkie koncerny farmaceutyczne, które produkują środki rażące nazwany rodzaj wirusa, obniżały stopniowo ich ceny. Niestety, koszty terapii i tak pozostały dla wielu zarażonych zbyt wysokie, zaś niepodobna sobie wyobrazić, ażeby ludzie mogli zaprzestać całkowicie podejmowania i utrzymywania kontaktów seksualnych, które są główną drogą zarażenia. Zachodzi ścisła korelacja pomiędzy ogólnym poziomem opieki zdrowotnej, kosztami leczenia i jakością medycznych działań a liczbą osób wciąż padających ofiarami tej ogólnoświatowej już infekcji. Współcześnie medycyna osiągnęła wprawdzie znaczne postępy w leczeniu schorzeń wywołanych przez bakterie, ale wobec wirusów jest praktycznie wciąż bezradna.

STANISŁAW LEM
22 marca 2002



RYS. DMITRI SZEWNIKOW-KSIEGOW

już w sprzedaży

DOM & WNETRZE

NR 4(79)/2002 KWIECIEŃ CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

KUCHNIA
najnowsze baterie:
pomysłowe i wygodne

APARTAMENT ROCKMANA

JAK MIESZKA BONO

wokalista irlandzkiego zespołu U2



WIELKANOCNE STOŁY
aranżacje w trzech kolorach

ODROBINA LUKSUSU
z wanną w sypialni

ŁAZIENKA
w stylu orientalnym



tej płyty nie kupisz w sklepie

DOM & WNETRZE

oddech
przestrzeń
lekkość

**60 minut
muzyki Wschodu**
relaks i wypoczynek

SUPERPREZENT!

PŁYTA CD

60 MINUT MUZYKI WSCHODU.
ODKRYJ ORIENTALNE
BRZMIENIE MUZYKI RELAKSACYJNEJ

rozmaitości

Rys. Andrzej Krauze

HI!

— Niektórzy psują tylko w tym celu, żeby to naprawić i na tych naprawach dobrze zarabiać.

FLUTER

PROSIMY O ODPOWIEDŹ



Dlaczego sklepy otwarte 24 godziny na dobę mają zanki?

PANI MINISTER MARZY

„Viva” nr 3/2002 zamieszcza wywiad z ministrem sprawiedliwości Barbarą Pivnik. Na pytanie Piotra Najstuba: „Ale wtedy Pani sobie tutaj płacze w tym gabinecie?”, minister odpowiada: „Tu nie ma czasu.

A poza tym, nakijaż rozmarzę”.
O Barbarze Pivnik mówiło się, że to silna kobieta, a tu, pro-szę, marzycielka.
(Nadesłała Teresa Firlikowska z Olsztyna)

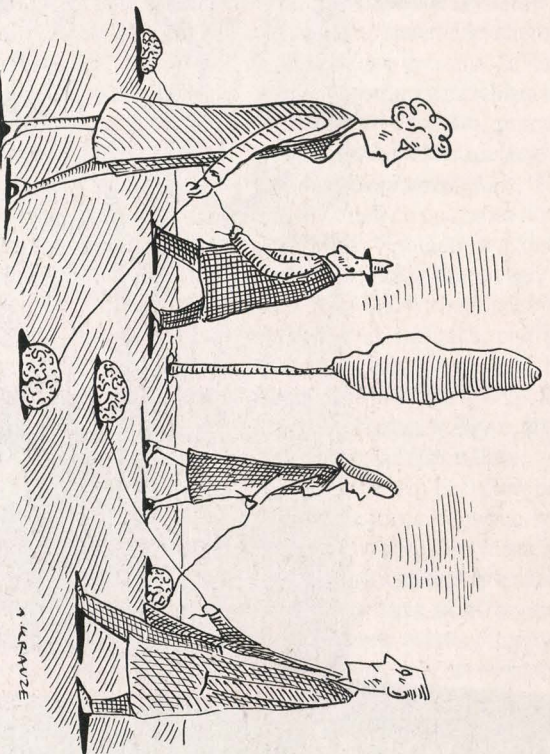
GWOŹDZIEM MURU NIE PRZEBIJEŚ



ANIMOWANO SCENĘ WYKROCZEŃ. JEJ REŻYSER TYTUŁ BUDOWE POWSTAŁY, NAGŁOŚ DOKŁADNIEJ

Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić wbijanie gwoździ w kamienie...

(Zdjęcie z dodatku „Turystyka” do „Gazety Wyborczej” z 9 marca nadesłała Maria Stanisławska z Warszawy)



KINOTEATRZYK P. JURKA

„Dziecko Rosemary”

Występują:
ROSEMARY
ORAZ JEJ DZIECKO

ROSEMARY
(nuci, podchylając się nad kotyską):
— La, la, la...
(muz. Krzysztof Komeda)
JEJ DZIECKO
(z szatańskim błyskiem w oku):
— A gu gu, a gu gu...
(muz. Robert „Lica” Friedrich)

Groza.
THE END/KURTyna

LINGWISTYCZNA SEKSUOLOGIA

„Gazeta Poznańska” z 13 lutego jeden z tekstów opatrzył tytułem:

„W Szczepieszynie chrząszcza stanie w trzęsienie”.

Jak spodka ponętną chrząszcza czynię?

(Nadesłał Jan Downarowicz z Poznania)

HAI!

— Mąż często stawia swoją żonę na piedestale tylko dlatego, żeby nie patrzeć jej w oczy.

HUMOR ZESZYTOW SZKOLNYCH

Ojcem Hannibala był Kani-bal.

Król Kazimierz był sprawiedliwy, bo kazał, aby ludzi sądzono, zanim się ich zabije.

Moja rodzina składa się z ojca, matki i mnie. Ja jestem najmłodszy.

Leonardo był malkutem, bo nie pochodził z prawego łozła.

System internatów umożliwia obecnie szybkie komuni-kowanie się ludzi na całym świecie.

PRZEMYŚLAŃ BORKOWSKI
List w sprawie bezrobocia

W kwestii zwalczania bezrobocia mam pomysł, co miliony zbawi: zacząć należeć od ministrów. A reszta? Sama się naprawi.

Posłowie także mają problem wielki, ze znalezieniem pracy. Wystarczy spojrzeć na obrady: jakże się nudzą ci biedacy!

Tutaj krzyżówka, tam gazetka, drzemka ucięta na komisji. Kochany pośle, żyćże tobie, niech ci się jakaś praca przysni!

To może nie być nic wielkiego: mała ustawa, co wspomoże, program, co wkrótce już ożywi, żeby nie było ciągle gorzej.

Na razie nuda. Spójrzcie tylko: zarówno z prawa, jak i z lewa. Znany obrońca uciśnionych w ławie sejmowej — ziewał!

Na to ukryte bezrobocie sposób jest pewny, bez obawy: za cztery lata wszystkim wręczyci wypowiedzenie — bez odpłaty.

Skaly najbardziej wietrza się podczas halnego.

„Bogurodzicę” najczęściej śpiewano przed bitwami pod Grunwaldem.

HEI!

— Dzisiejsza dziewczyna za-wsze potrafi dostrzeć w tłumie właściwego mężczyzny. To jest ten, który się za nią ogląda.